OSTRA RIPOSTA LIDERA KORONY

List otwarty Grzegorza Brauna do Tuckera Carlsona

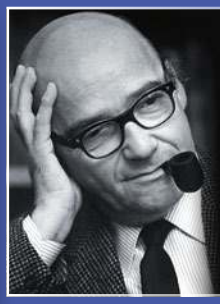


Rząd okłamuje nas w sprawie ukraińskiego drona?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 45/705 2–8 LISTOPADA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)



KRZYSZTOF MASŁOŃ O POGMATWANYM LOSIE ROMANA BRANDSTAETTERA

Czy udział w Nord Stream to była dobra oferta dla Polski?



Czy oni mają się czego bać?

Monika Olejnik, Piotr Kraśko, Katarzyna Kolenda-Zaleska

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl ed08a7b740



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Jak premier Izraela ośmiesza holocaustianizm

To, co w izraelskiej kampanii wyborczej było najbardziej szokujące, to język. Tak, nigdy wcześniej jeszcze tak tanio i tak łatwo żydowscy politycy, na czele z urzędującym, choć nie wiadomo jak długo, premierem Beniaminem Netanjahu, nie odwoływali się do zagrożenia Holokaustem. Tuż przed wyborami oficjalne konto premiera udostępniło na platformie X wpis prawicowego publicysty Juwala Bloomberga. Wezwał on do głosowania na Netanjahu i ostrzegł, że zwycięstwo innego kandydata narazi Izrael na „niebezpieczeństwo drugiego Holokaustu" ze strony Iranu. Do wpisu dołączono grafikę wygenerowaną przez sztuczną inteligencję, przedstawiającą wybuch bomby atomowej nad Tel Awiwem. A więc sprawa jasna: dla obecnego premiera Izraela jego przegrana z gen. Gadim Eizenkotem oznacza… drugi Holokaust. Kto nie głosuje za nim i za jego ludobójczą polityką, ten szykuje Żydom masową zagładę.

Nie jest to w retoryce izraelskiej nic nowego. Aż trudno przytoczyć wszystkie przykłady używania przez lidera Likudu odniesień do Holokaustu, chociaż do tej pory zwykle w roli „nazistów" w wypowiedziach premiera występowali: Hamas, Palestyńczycy jako tacy, ogół Arabów albo ostatnio Irańczycy, a więc w większości Persowie. Pamiętam, jak jeszcze w marcu tego roku słuchałem w Budapeszcie, podczas międzynarodowej konferencji CPAC, syna premiera Izraela, Jaira. Z miedzianym czołem opowiadał on, że łamiący wszelkie reguły prawa międzynarodowego atak USA i Izraela na Iran to właśnie obrona przed Zagładą. Zdaniem Jaira Donald Trump i jego ojciec, Beniamin, pospołu uchronili świat przed drugim Hitlerem, którym w tym przypadku miał być ajatollah Chamenei, zabity na początku amerykańsko-izraelskich nalotów.

Ta łatwość izraelskich polityków w posługiwaniu się analogią historyczną jest niebywała. Właściwie każdy w dowolnym momencie może zostać uznany za potencjalnego antysemitę i brunatnego agresora. Co ciekawe, całkiem niedawno, bo dwa tygodnie temu, premier Netanjahu obsadził w tej roli znanego rosyjskiego myśliciela i publicystę, a mianowicie Aleksandra Dugina. Otóż według izraelskiego polityka to rosyjski filozof jest głównym sprawcą antyizraelskich nastrojów wśród zachodnich konserwatystów. Premier Netanjahu nie dostrzegł, że jeśli ktoś za tę zmianę nastawienia do Izraela jest odpowiedzialny, to nie Dugin, ale on sam.

Po pierwsze, co jest swego rodzaju paradoksem, Zagłada Żydów miała być, według wyznawców religii Holokaustu, wydarzeniem jedynym, niepowtarzalnym, absolutnym, transcendentnym, niezrównanym. W ten sposób mogli się oni do niej odwoływać jako do quasifaktu sakralnego. Holokaust, w ich mniemaniu, nie dawał się ująć w system historycznych przyczyn i skutków. Jak zatem to, co jedyne i niepowtarzalne, ma się teraz powtórzyć? Nie jest to tylko problem logiczny, ale ostatecznie polityczny. Im częściej izraelscy i ogólnie żydowscy aktywiści i politycy straszą drugim Holokaustem, tym bardziej kompromitują całą holocaustiańską ideologię, zasadzającą się na „jedyności". Tym wyraźniej widać, czym ona jest: pałką do bicia niepokornych. Trzeba się na coś zdecydować: albo jest to jedyna, niepowtarzalna zbrodnia, albo wciąż może się ona powtórzyć.

Ta dialektyka ma być, i długo była, skuteczna: wyróżnianie, wyodrębnianie i nadawanie absolutnego znaczenia tej jednej zbrodni wojennej, a mianowicie nazistowskiej, niemieckiej polityce masowego zabijania Żydów od 1941 r., ma być kapitałem moralnym, dzięki któremu to dzisiaj, a więc kilkadziesiąt lat po wojnie, Izrael może posługiwać się w stosunku do innych państw i narodów szantażem moralnym. Jednak ta metoda jest skuteczna tylko w sytuacji, w której temu, co „święte", nie grozi dewaluacja. Im częściej i łatwiej środowiska żydowskie używają odwołań do Holokaustu do załatwiania swoich interesów, tym waluta holocaustiańska traci na wartości.

Po drugie, to, co robi na globalną skalę premier Izraela, dokonuje się także w Polsce na miarę bardziej lokalną. Także tu mechanizm wymuszania jest ten sam. Pseudohistorycy dwoją się i troją, żeby najpierw wyodrębnić Zagładę Żydów z całego systemu hitlerowskiego terroru, a następnie, gdy już wynieśli na metafizyczny poziom cierpienie żydowskie, przypisują winę za nie całemu światu, a więc ogółowi Polaków. Tak samo jak w debacie izraelskiej cel jest prosty – szantażując Polaków emocjonalnie, próbuje się narzucić im obcą narrację, co w przyszłości ma przynieść odpowiednie efekty: zgodę na ewentualne roszczenia i wsparcie dla polityki izraelskiej.

Wszystko, co ziemskie, ma na szczęście tylko ograniczoną wartość. Inflacja oskarżeń sprawia, że skuteczny do tej pory mechanizm dyscyplinowania się zacina. Coraz więcej ludzi dostrzega izraelską manipulację i coraz więcej próbuje się od niej wyzwolić. Nawet jeśli w Polsce system kontroli nad umysłami wydaje się szczelny i wciąż dominuje „Polska Szkoła Badań nad Holokaustem", to propaganda wojenna premiera Netanjahu coraz wyraźniej jej ustalenia ośmiesza. ©℗

eprasa.pl ed08a7b740



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DRŻĄCE GWIAZDY TUSK VISION NETWORK
Czy mają się bać zmian na Wiertniczej?

19 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
BLADY STRACH W TVN

KRAJ

22 KRYSTIAN KAMIŃSKI
UKRAIŃSKI DRON NAD POLSKĄ
Czy rząd nas okłamuje w kwestii bezpieczeństwa?

25 ŁUKSZA WARZECHA
CZY UDZIAŁ W NORD STREAM TO BYŁA DOBRA OFERTA DLA POLSKI?

28 PIOTR SEMKA
„WIELKI" POWRÓT SZYMONA HOŁOWNI

30 ROZMOWA Z DR. ANDRZEJEM ANUSZEM
MORAWIECKI JAKO SZCZEPIONKA

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
DYNASTIA KINGÓW
Rodzina skazana na pisanie

34 KRZYSZTOF MASŁOŃ
POGMATWANY LOS ROMANA BRANDSTAETTERA

38 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
STANISŁAWA WOKULSKIEGO WEWNĘTRZNA WOLNOŚĆ

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 LECH MAŻEWSKI
ODZYSKAĆ NIEPODLEGŁOŚĆ
Państwo polskie nie spełnia kryteriów suwerenności

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
BITWA O PRZYSZŁOŚĆ EUROPY



HISTORIA

50 MAREK JAN CHODAKIEWICZ
OJCIEC Z WILNA I INNE NASZE DUSZE
Wspomnienie Witolda Janusza Chodakiewicza

54 PIOTR WŁOCZYK
CIA I SOWIECKIE RAKIETY

ŚWIAT

58 WOJCIECH GOLONKA
CO ZROBI BENIAMIN NETANJAHU?
Czy współpraca dwóch najliczniejszych ugrupowań w Knesecie będzie możliwa?

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
CZY UKRAIŃCY POPIERAJĄ ZEŁENSKIEGO?

65 JACEK PRZYBYLSKI
ROSZADY NA GLOBALNEJ SZACHOWNICY

68 ROZMOWA Z GEORGEM SIMIONEM
VON DER LEYEN NIE JEST „PREZYDENTKĄ" EUROPY

EKONOMIA

70 ADAM WIELOMSKI
OSTRY ZAKRĘT CHIŃSKIEJ GOSPODARKI
Rewolucja polityczno-ekonomiczna w Państwie Środka

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
TEN PIĘKNY SYN
Demony dziecka sławnych rodziców

FELIETONY:

SEMKA (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (10), JASTRZĘBOWSKI (11), ŻEBROWSKI, KOPER (56), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl ed08a7b740

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl ed08a7b740

List otwarty Grzegorza Brauna do Tuckera Carlsona

Sz.P. Tucker Carlson
Tucker Carlson Network
Reno, Nevada, USA

„Życzeniem państw demokratycznych byłoby, żeby tam na Wschodzie doszło do rozgrywki wojennej pomiędzy Rzeszą Niemiecką a Rosją".

Listopad 1938 r.
William C. Bullitt, ambasador USA we Francji, do hr. Jerzego Potockiego, ambasadora RP w Waszyngtonie
Źródło: Polnische Dokumente zur Vorgeschichte des Krieges, Auswärtiges Amt, Bazylea, 1940, str. 40

Szanowny Panie!

Z wielką ciekawością i – do niedawna przynajmniej – z dużą sympatią obserwowałem Pańską długą drogę powrotną, jaką przebywa Pan z propagandowego fałszu zorganizowanego w AIPAC do rzeczywistości, co można porównać do sytuacji, w której dziecko odkrywa, do czego może służyć rozum, i zaczyna z tego odkrycia robić użytek.

Jeśli zatem tak niedawno jeszcze był Pan jednym z frontmanów AIPAC, to trudno wymagać, by w tak krótkim czasie Pańskie rozumienie geopolityki i historii osiągnęło poziom wystarczający do tego, by dotrzeć do smutnej prawdy, zakrytej przed Pańskimi oczyma zasłoną kłamstw przez większą część życia. Droga samodzielnego dochodzenia do prawdy jest i będzie naznaczona potknięciami i błędami, tak samo jak pierwsze, dziecięce próby samodzielnego chodzenia, zwłaszcza gdy dziecko nabierze błędnego przekonania, że jest już w stanie biegać.

W epoce masowych kłamstw i dezinformacji nie tylko nie ma niczego złego w „historycznym rewizjonizmie", ale taka właśnie postawa historyka, intelektualisty, polityka, jest konieczna – jeśli faktycznie szczerze dąży do prawdy. Nawet jeśli trzeba za to zapłacić więzieniem, czego najlepszym przykładem jest David Irving. Nie musimy tu chyba nikomu tłumaczyć, kim był, czego dokonał i jaką cenę musiał za to zapłacić.

Powodem, dla którego zdecydowałem się jednak tym razem skomentować Pańskie wyrażone publicznie błędne opinie, jest fakt, że po pierwsze, dotyczą one historii mojego kraju – i mają silne odniesienia do współczesności (co jest chyba powodem, dla którego te sprawy Pana interesują do tego stopnia, że wypowiada się Pan na ich temat), oraz to, że te błędne opinie dają pożywkę różnej maści manipulatorom i propagandystom w utrzymywaniu propagandowej fikcji jako „jedynie słusznej" wersji historii, ergo – polityki. Obaj zgadzamy się, że polityka prowadząca nieuchronnie do wojny jest błędna, ale jeśli chce się rozbroić minę prowadzącą do fatalnych rezultatów – tak wtedy, w czasach bezpośrednio poprzedzających wybuch II Wojny Światowej, jak i teraz, to nie wolno tego próbować robić w sposób, który daje argumenty podżegaczom wojennym do podważania wiarygodności takiego wysiłku. A tak należy niestety ocenić Pańskie wyrażone publicznie opinie na temat rzekomych „błędów", popełnionych przez Wielką Brytanię w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch II Wojny Światowej.

W największym możliwym skrócie: Brytyjczycy nie popełnili błędu, to MYŚMY go popełnili, uznając anglosaskie gwarancje za realny czynnik odstraszający i nie rozumiejąc nikczemnych intencji rządu brytyjskiego, polegających na PRZEKIEROWANIU nieuchronnej (na skutek długów) agresji niemieckiej na wschód, w kierunku Polski. Ostatecznym celem Wielkiej Brytanii było militarne zwarcie pomiędzy III Rzeszą a Związkiem Sowieckim, a środkiem wiodącym do tego celu była likwidacja państwa polskiego, które nie mogłoby dłużej pełnić roli bufora pomiędzy tymi kolosami. Wielka Brytania, dając nam fałszywe (jak się okazało) gwarancje, skutecznie też zapobiegła porozumieniu ówczesnej Polski z III Rzeszą, które to porozumienie mogło przesądzić wynik nieuchronnego starcia między Niemcami a Sowietami i uczynić Niemcy dużo groźniejszym dla Zachodu przeciwnikiem, niż nim już wtedy były, a Polskę ocalić od potwornych strat, których skutki odczuwamy do dzisiaj. Innymi słowy – Pańska krytyka dowodzi zupełnego braku zrozumienia ówczesnych uwarunkowań geopolitycznych, co skutkuje z kolei błędnym rozumieniem historii. A nieuchronnym skutkiem błędnie rozumianej historii jest błędna polityka, jaką się uprawia współcześnie.

Nie zaprzątałbym sobie tym uwagi, gdyby swoich rozumowań nie próbował Pan podpierać hitlerowską propagandą, dotyczącą rzekomych realnych powodów ówczesnej napaści na mój kraj.

To jest słabe, bardzo słabe.

Smutna prawda o polskiej tragedii z września 1939 r. jest taka, że odpowiada za nią anglosasko-francuska perfidia i nasza własna, polska głupota, która kazała nam odrzucić jedyną istniejącą wtedy szansę ocalenia, jaką było polityczne porozumienie z III Rzeszą, leżące jeszcze wiosną 1939 r. w granicach naszych możliwości. Notabene, w odróżnieniu od Polski, prawie cała Europa w taki czy inny sposób dogadała się z Hitlerem, wspomagając jego wysiłek wojenny bez monstrualnych strat, które stały się niestety naszym, polskim udziałem.

Ponieważ zza oceanu sprawy i rzeczy wielkie mogą wydawać się całkiem małe i nieistotne, służę pomocą i chętnie zapoznam Pana z faktycznym rozmiarem tych polskich strat, ułatwię Panu zrozumienie prawdy historycznej o polskiej sytuacji i polskim honorze w obliczu niemieckiego barbarzyństwa. Najzupełniej szczerze zapraszam Pana do Warszawy, do Oświęcimia i do innych miejsc, w których spojrzenie z bliska na historię i współczesność otwiera oczy na to, co z anglosaskiej perspektywy może pozostawać nadal niewyraźne, a czasem nawet wprost zakłamane. Osobiście oprowadzę Pana po Muzeum Powstania Warszawskiego oraz Muzeum II Wojny Światowej. Zaprowadzę do miejsc, gdzie zginęli również moi krewni. Podejmiemy próbę zwiedzenia Muzeum w Auschwitz – o ile żydowski nadzór nad zarządem tego miejsca polskiej pamięci narodowej nam na to pozwoli. Naprawdę warto przylecieć do Polski, by wyposażyć się

eprasa.pl ed08a7b740

w prawdę tak uporczywie ignorowaną przez naszych sojuszników.

Jeśli zatem dziś mamy z jednej strony przeważające głosy, które popychają nas do konfrontacji zbrojnej z Rosją w imię „kolektywnej obrony kolektywnego Zachodu", z drugiej zaś takie jak Pański, które już zawczasu umywają ręce od tego całego „wschodniego bałaganu", to powinno nam, Polakom, dać mocno do myślenia, kto tak naprawdę chce nas ZNÓW wepchnąć pod pociąg i w imię jakich interesów to robi.

Ale to już zupełnie inne rozważania, do których na razie Pana nie zapraszam, bo wpierw trzeba nauczyć się dobrze chodzić, nim stanie się do zawodów w bieganiu.

Z wyrazami szacunku
Grzegorz Braun
Polski Poseł do Parlamentu Europejskiego
Warszawa, 20 października 2026 r.

„Albo my, albo oni", Krzysztof Masłoń, „DRz" nr 39/2026

Szanowny Panie Redaktorze,
z dużym opóźnieniem zareagowałam na Pański felieton rekomendujący tym razem nową powieść Pawła Rzewuskiego pt. „Czarne złoto", przypominającą bohatera jego debiutanckiej powieści „Syn bagien".

A właśnie do tej powieści pragnę się odnieść jako do „osadzonego w realiach II Rzeczypospolitej kapitalnego kryminału", ponieważ od czasu jej przeczytania, czyli od czterech lat, męczy mnie jedna kwestia, a mianowicie, skąd u oficera „dwójki" w 1937 r. taka refleksja: „A w Bangladeszu co?" (Rozdział III, str. 61, wiersz 15).

Nie zdecydowałabym się Pana o to zapytać, gdyby nie aktualne nawiązanie do tej powieści. Może nie jestem pierwszą osobą, która zwróciła uwagę na fakt, że Bangladesz „zaistniał" oficjalnie w 1971 r. jako Ludowa Republika Bangladeszu, będąc do czasu rozpadu imperium brytyjskiego w 1947 r. po prostu Bengalem, jednym ze stanów/prowincji Indii. Nie jestem taka pewna, że tego typu szczegóły są zauważane przez ogół czytelników, a w jakimś sensie zależy mi na dobrym imieniu autora.

Książka spodobała mi się i mimo kłopotów ze wzrokiem (stąd opóźnienie w lekturze) zamierzam przeczytać również „Czarne złoto", licząc się z Pańską rekomendacją. Sądzę, nie znając wieku autora, że dla niego Bangladesz istniał „od zawsze" jako synonim nędzy, przywoływany powszechnie w PRL, jednak jest historykiem, a to już zobowiązuje... Nazwisko – z pewnymi zastrzeżeniami (!) – też...

Jako rodowita Lwowianka interesuję się dziejami Kresów i nie przeszkadza mi w tym literacka fikcja, ponieważ od historii nie stronię, czego dowodzi moja uwaga. Myślę, że i Pan Redaktor, i autor potraktują ją jako swoiste ostrzeżenie.

Z poważaniem
Teresa Janiszewska

Rzeczywistość taka, jak ją rozumieją

Szanowni Państwo,
w „Klęsce Zachodu" Emmanuel Todd analizuje przyczyny upadku. Po osiągnięciu zerowego stanu religii, moralności, obywatelskości następuje etap zniesienia rzeczywistości i zaprzeczania prawdzie. W urojonym świecie nic nie stoi na przeszkodzie, by twierdzić, że ludobójstwo w Strefie Gazy to walka z terroryzmem, wspomagane samobójstwo narodowe Ukrainy oznacza jej zwycięstwo, a upadająca pod każdym względem Europa to mocarstwo itp.

Z zaprzeczania rzeczywistości zrodził się obecny nihilizm, którego przypieczętowaniem jest rejestrowanie par jednopłciowych jako małżeństw. Konsekwencje życia w kuriozalnym pseudoświecie, gdzie zimno znaczy ciepło, rosły imigrant to matka z dzieckiem, kobieta to mężczyzna i odwrotnie, są szczególnie dotkliwe dla młodych ludzi.

Nieustannie rośnie liczba zaburzeń psychicznych i prób samobójczych, europejscy licealiści demolują ulice od Paryża po Tiranę. W Polsce uczniowie uzbrojeni w noże dopuścili się niespotykanego dotąd w naszym kraju okrucieństwa niedługo po złamaniu konstytucji przez rząd i zaleceniu USC transkrypcji małżeństw homoseksualnych.

Może to rozpaczliwa demonstracja niezgody na taką rzeczywistość, jak ją rozumieją grupy rządzące.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: **Tygodnik DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Anna Zalewska, Tomasz Zbigniew Zapert**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA),* **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Brukselа),* **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym),* **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Filip Memches, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Radosław Wojtas, Jakub Wozinski, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **FOTON/PAP (x3), Adobe Stock**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraszy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl ed08a7b740

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zasada ciągłych przypadków



PIOTR SEMKA

Usłyszałem głośne, mocne walenie w drzwi mieszkania i wezwania »Policja, otwierać!«. Otworzyłem. Na ich polecenie wyszedłem na klatkę schodową z rękami za karkiem. Policjanci sprawdzili mieszkanie, a po wykluczeniu zagrożenia i wyjaśnieniu sytuacji zakończyli interwencję. Całość trwała około pół godziny".

Takim incydentem ubarwione zostało niedawno życie adwokata Bartosza Malewskiego, prezesa Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. Pan mecenas przeżył wizytę siedmiu funkcjonariuszy policji w kuloodpornych kamizelkach z tarczami, a dwóch z nich trzymało w dłoniach broń palną. Wspaniały show dla wszystkich sąsiadów.

Komunikat Komendy Stołecznej Policji w Warszawie był jak w wielu wcześniejszych wypadkach lakoniczny. Wyjaśniono, że na jednej z platform komunikacyjnych pojawił się wpis, którego autor informował o popełnieniu zabójstwa i przygotowaniu do targnięcia się na swoje życie. Urzędnicy policji wyjaśniają, że taka jest procedura i nie można od niej odstępować. A politycy Koalicji pouczają, że przecież gdyby policja nie sprawdziła takiego przypadku, to dopiero mógłby wybuchnąć jakiś skandal.

Problem jest jeden – takich incydentów od początku roku było już kilkanaście i za każdym razem ich ofiarami padają wyłącznie ludzie, którzy zaszli za skórę ekipie Donalda Tuska. Od Sławomira Cenckiewicza, poprzez dziennikarzy TV Republika, po adwokatów Piotra W. Osoby, która stała się głównym bohaterem nie do końca jasnej próby legitymowania jednego z organizatorów miasteczka namiotowego pod Trybunałem Konstytucyjnym. Gdybyśmy mieli epokę rządów PiS i kilkanaście takich interwencji dotknęłoby czy to dziennikarzy TVN, czy to „Babcię Kasię", czy to Władysława Frasyniuka, pisałyby o nich już największe zachodnie gazety.

W wypadku majowej interwencji w mieszkaniu Tomasza Sakiewicza, szefa TV Republika, ewidentna była próba wykorzystywania przy interwencji obleśnych insynuacji obyczajowych. Jeśli takie incydenty się powtarzają, a ich ofiarami padają osoby, które zaszły za skórę obecnej władzy, to nie można mówić o przypadkach. Ale wszystkie te sprawy wydają się jakby z góry dobrze wykalkulowaną operacją nękania. Nie są na tyle dolegliwe, by wywoływać powszechne oburzenie społeczne, ale są jak dotkliwy kuksaniec komplikujący życie tym, którzy z punktu widzenia władzy są „mącicielami".

Załóżmy najbardziej korzystną dla ekipy Tuska wersję, że tego typu prowokacje szykują jacyś fanatyczni przeciwnicy opozycji zaczytani w tweetach „Soku z Buraka" czy „Silnych Razem". Gołym okiem widać, że jest to zorganizowana akcja. W takiej sytuacji ambicją policji czy Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości powinno być jak najszybsze zlikwidowanie takiego procederu. A jednak wciąż one trwają, mimo że w paru sprawach ogłoszono namierzenie sprawców. Jeżeli organy ścigania są w tych sprawach nieskuteczne, to niech nie dziwią się, że podejrzewane są o akcję będącą zemstą władzy. Za nieudolność zawsze się płaci. ©℗



FOT. ALEX KUHN/ARTSERVICE/FORUM

KACZYŃSKI MÓWI O POLEXICIE

Prezes PiS Jarosław Kaczyński podczas środowego wystąpienia na Krynica Forum 2026 ostro skrytykował Unię Europejską. Zdaniem Kaczyńskiego instytucję tę trzeba gruntownie zreformować. Prezes PiS przedstawił kilka sposobów przebudowy UE. Zasugerował też możliwość rozpoczęcia rokowań w sprawie zupełnie nowego traktatu i wyjścia Polski z Unii Europejskiej. Słowa te wywołały gwałtowną reakcję polityków, którzy zarzucili Kaczyńskiemu otwieranie drogi do polexitu. ©℗

CPK WRESZCIE MA NOWEGO PREZESA

Piotr Borys został powołany przez radę nadzorczą Centralnego Portu Komunikacyjnego na stanowisko prezesa. Poprzedniego szefa spółki – Filipa Czernickiego – oraz członka zarządu Dariusza Kusia rada nadzorcza CPK odwołała 30 lipca. Obowiązki prezesa powierzono Marcinowi Michalskiemu. Rząd Zjednoczonej Prawicy zakładał uruchomienie lotniska w Baranowie w 2028 r. Obecne władze przesunęły ten termin na 2032 r., ale zdaniem ekspertów i ta data może być już nierealna. ©℗

eprasa.pl ed08a7b740

dwaj panowie g


FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jak wiadomo, w nadchodzącym tygodniu jest planowana Rada Bezpieczeństwa Narodowego. Przy tej okazji zaplanowano nieplanowaną rozmowę w cztery oczy między osobą głowy państwa a osobą głowy rządu. Jednym z nieplanowanych tematów nieplanowanej rozmowy ma być obsada stanowisk ambasadorskich. I w tym przypadku Tusk będzie odgrywał rolę pragnienia, a Nawrocki: Sprite. W Dużym Pałacu uznano bowiem, że Sikorski w kwestii ambasadorów jest niepoważnym gościem. Innymi słowy: zamiast grać z małpą, trzeba pogadać z kataryniarzem.

Prezydent Karol Tadeusz ma tu jednak pewną przewagę nad kataryniarzem. Otóż – jak wiadomo – Tusk chce za Pełczyńską-Nałęcz powołać niejaką Agnieszkę Bartol. Problem polega na tym, że żeby ją powołać, najpierw trzeba ją odwołać. Skąd? Z funkcji ambasadora przy Unii Europejskiej. A zgodnie z konstytucją ambasadora odwołuje Prezydent RP. Robi się jeszcze ciekawiej, bo zasadniczo konstytucyjny minister nie może w tym samym czasie pełnić innej funkcji. KONSTYTUCJA, KONSTYTUCJA, KONSTYTUCJA!!!

Jeszcze o Agnieszce Bartol. Rozumiemy, dlaczego media tak szeroko podawały wiadomość o wskazaniu jej nazwiska na następczynię Pełczyńskiej-Nałęcz. Nie rozumiemy, dlaczego z nagłówkiem „ważne!”.

Pozostając przy Radku Sikorskim: pojawiły się plotki, że nowym sekretarzem generalnym ONZ z woli USA ma zostać Viktor Orbán. Według „Wall Street Journal” Chiny i Rosja też są na „tak”. Radek Sknerus Sikorski ogłosił więc, że Polska nie będzie głosowała na Orbána jako sojusznika Putina. Mamy pytanie: A jako sojusznika Tuska? Bo wiele lat partia Orbána była razem z partią Tuska w jednej EPP (Europejskiej Partii Ludowej).

Tymczasem w koalicji. Dojeżdżanie WKK, czyli Władka Kosiniaka-Kamasza, robi się bardziej interesujące niż WKKW, czyli Wszechstronny Konkurs Konia Wierzchowego. Otóż WKK zaproponował Tuskowi, że zgodzi się na wspólny start pod warunkiem, że zieloni bracia dostaną na liście koalicyjnej 16 miejsc biorących do Sejmu. Przypomnijmy: klub w Sejmie można utworzyć, mając minimum 15 posłów. Tusk zgodził się raptem na sześciu, w porywach siedmiu, a to wystarczy raptem na koło.

Pamiętacie tę zagadkę: „Co to jest – śpiewa, tańczy, recytuje i gotuje, a w dodatku jest okrągłe? Koło Gospodyń Wiejskich”. Nam się to wydaje fajną nazwą, gdyby nie fakt, że jedyną babką, która mogłaby wystartować w ramach tej szóstki pewniaków, jest Ulka Pasławska. Mówią, że to wystrzałowa babka. Wystrzałowa – bo uwielbia polować.

Człowiekiem Roku Forum w Krynicy został nowy włodarz Krakowa, Łukasz Gibała. Nasze złośliwe wiewiórki szepczą, że to jeden z nielicznych laureatów w historii tego Forum, który nie musiał go finansować. Gibała poważnie sobie do serca wziął głosy, że krakowski ratusz pod poprzednimi rządami to siedlisko korupcji. Zaczął czyścić oraz zamierza zatrudnić w charakterze bezpiecznika CBA. Od razu dodajmy – stare CBA z miejscowej delegatury, które wprawdzie przeszło na emeryturę, ale którego wiedza na emeryturę się nie wybiera. A jest ona ogromna. Wiedza, nie emerytura.

Na tym samym Forum w Krynicy piekło zamarzło: Jarosław Kaczyński zaczął mówić o korzyściach z wyjścia z Unii Europejskiej. Dotąd w PiS obowiązywała linia, że takie tezy to tylko oszołomy i braunowcy. Nie wszyscy są zadowoleni. O dziwo, nie chodzi o tych, którzy martwią się o wizerunek PiS i prezesa w oczach TVN. Ale o tych, którzy uważają, że mówieniem takich rzeczy publicznie naczelnik uwiarygadnia Brauna i robi mu kampanię. No bo w sumie wniosek jest prosty – on miał rację, a my nie.

Udało nam się posłuchać tu i ówdzie, popytać i powęszyć i mamy rezultaty. Otóż przyczyną nagłej radykalizacji stanowiska szeregowego prezesa PiS są wyniki sondaży. Ale nie tych partyjnych. Otóż kilka lat temu wedle wewnętrznych badań tylko jeden wyborca PiS na 10 popierał wyjście z UE. Obecnie jest to ponoć 49 proc. wyborców.

Spełniły się nasze apele do św. Demosa i w referendum odwołany został prezydent Częstochowy, Krzysztof Matyjaszczyk. Miarą jego upadku niech będzie fakt, że w 2024 r. ten tuz Lewicy w drugiej turze pokonał kandydatkę PiS Monikę Pohorecką 58 proc. do 42 proc. Odwołano także radę miasta, w której PiS miał dziewięciu radnych, KO – siedmiu, Lewica – sześciu, Trzecia Droga – dwóch i komitet Matyjaszczyka – jeden. Nie było w 2024 r. listy Konfederacji. Ale teraz będzie.

Nowi właściciele TVN rozpoczęli już swe tyrańskie, brutalne rządy. Na początek nakazano ludziom chodzić do pracy. Jesteśmy zaszokowani. To się w głowie nie mieści. Jak to? Chodzić? Do pracy? Potem sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót: ogłoszono program dobrowolnych odejść. Polega na tym, że jakby ktoś chciał zrezygnować z roboty, to dostanie kupę forsy. Uważamy, że tym bezprecedensowym okrucieństwem powinna zająć się Helsińska Fundacja Praw Człowieka.

Hasło „program dobrowolnych odejść” w TVN przypomniało nam jedną z naszych ulubionych scen z filmu Piotra Szulkina „Wojna światów – następne stulecie”. Otóż pensjonariusze ulicznej noclegowni słyszą rano przez megafony następujący komunikat: „Zapraszamy do oddawania krwi. Oddawanie krwi jest dobrowolne. Kto nie odda krwi, nie dostanie śniadania”. ©℗

eprasa.pl ed08a7b740



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wyparcie

W procesie, jaki Karol Nawrocki (wtedy jeszcze nie prezydent RP, ale osoba prywatna) wytoczył niemieckiemu koncernowi medialnemu, od początku pozycja powoda i pozwanych jest niesymetryczna – na korzyść portalu Onet. Jego pracownicy, którzy tuż przed wyborami sfabrykowali kłamstwo o rzekomym doprowadzaniu przez Nawrockiego prostytutek do hotelu, nie muszą udowadniać, że naprawdę był on sutenerem. Zgodnie z prawem wystarczy im przekonać sąd, że nie kłamali świadomie, upublicznili swe podejrzenia w interesie społecznym i dochowali rzetelności. Jeśli im się to uda, ogłoszą, iż sąd oskarżenia potwierdził. Podobną pułapkę zastawiono już w chwili publikacji, której towarzyszyło wyzwanie: „Jeśli to nieprawda, to niech nas Nawrocki pozwie w trybie wyborczym". Ale trybu wyborczego nie stosuje się do publikacji medialnych, taki pozew byłby odrzucony, dając propagandzie żer już wtedy.

Dziennikarskie wycirusy, które wyprodukowały kłamstwo o „alfonsie", równie jak niemoralne, są także nieudolne. Ich świadkowie okazali się nie wiedzieć nic. Jeden słyszał od informatora, i uwierzył, bo polecił mu go „znany profesor historii", ale nazwisk profesora i informatora nie podał. Drugim świadkiem okazała się pani, która pamięta tylko, że raz widziała Nawrockiego w towarzystwie jakiejś kobiety i „odniosła wrażenie", że była to prostytutka. Zapamiętała też rozmowę z Nawrockim sprzed 20 lat, choć w zasadzie go wtedy – jak twierdzi – nie znała, a nie mogła sobie przypomnieć żadnej innej ze spraw, o które pytał ją sąd, nawet rozmowy z pracownikiem Onetu. Przyznała za to, że dzień przed rozprawą była w Onecie rozmawiać z jego prawnikami.

Najciekawsza jest w tym reakcja lewicowych mediów. Zgodnie zapodały „klikbajty", że „świadkowie potwierdzili" rewelacje Onetu. I roztkliwiły się nad „hejtem", polegającym na zaglądaniu pani będącej „źródłem" Onetu w media społecznościowe i liczeniu brzydkich spraw, w jakie jest umoczona.

„Fakty są inne? Tym gorzej dla faktów!". ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

W poszukiwaniu źródła

Francuski film „Camino dla opornych" obejrzałem w dniu, gdy w Paryżu trwały walki zrewoltowanych grup młodzieży z policją, płonęły samochody i trwała grabież sklepów. Ta koincydencja sprawia, że film zyskał niespodziewaną siłę. Oglądając doniesienia z Paryża, zapamiętałem reakcję kilkunastoletnich demonstrantów, którzy na pytania reportera o przyczyny protestu i postulaty pokazali środkowy palec i wykrzykiwali wulgaryzmy. Zero programu politycznego, zero identyfikacji, jakieś bazgroły na murach, tu i ówdzie palestyńskie flagi, rozróba, agresja, generalnie HWDP w wersji znad Sekwany.

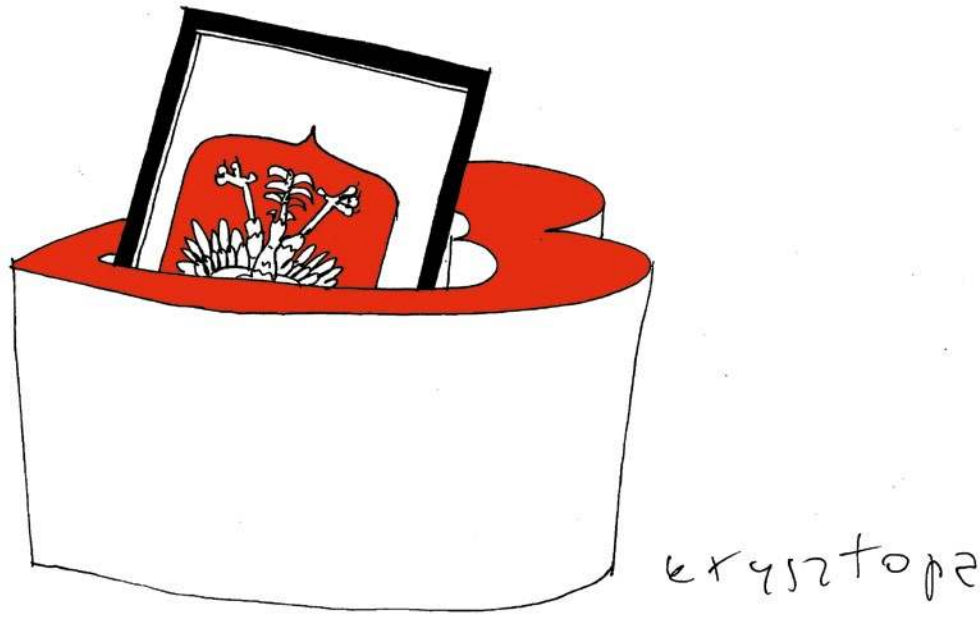
Adam, 17-latek, główny bohater filmu „Camino…", mógłby właśnie być jednym z tych ulicznych zadymiarzy. Chłopak wielokrotnie stawał przed sądami dla nieletnich, teraz ma do wyboru: iść za kraty albo w ramach resocjalizacji podjąć dwumiesięczną wędrówkę do Santiago de Compostela. Liczący ponad 1,5 tys. km pielgrzymi szlak młody skazaniec ma przejść w towarzystwie przewodnika wychowawczyni, bez telefonu, bez gwarancji komfortu, tylko we dwoje.

Świetnie opowiedziana historia, ukazuje nie tylko relację, która zawiązuje się pomiędzy zbuntowanym podopiecznym i dojrzałą panią pedagog. Widzimy, jak wielotygodniowa wędrówka pozwala bohaterom odkryć prawdę o sobie i podjąć trud przemiany. Jest jeszcze jedna warstwa tej opowieści. Historia bohaterów osadzona jest w cudownej scenerii górskich farm pasterskich, średniowiecznych miasteczek, gotyckich klasztorów i zabytkowych mostów. Ciężka praca farmerów, modlitwa chorałem gregoriańskim i pątniczy, tysiącletni szlak pozwalają nam zrozumieć, gdzie biło źródło Europy. Tej, która nie była w stanie wpisać do traktatu EU nawet wzmianki o swoich chrześcijańskich korzeniach. Tej samej, która dziś zmaga się ze śmiertelnym deficytem wartości i sensu.

Ponurą puentę dopisała firma Helios, odmawiając dystrybucji tego pięknego i mądrego filmu. ©℗

eprasa.pl ed08a7b740

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Turlając się ze wzruszenia



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Rzadko się wzruszam, a słuchając zeznań świadków w sądzie, to już w ogóle, a tu takie zaskoczenie, takie zaskoczenie. Stop. Przed warszawskim sądem okręgowym w sprawie Onetu, który twierdził, że Karol Nawrocki w młodości zajmował się sutenerstwem, stanęła pani Natasza Geldon lat 39. Stop. Wszyscy już wiedzą, co zeznała i jakie miała wrażenia, więc pozwolę sobie zwrócić uwagę tylko na to wzruszające. Stop. Pani Natasza, publicystka lewackiej „Krytyki Politycznej", zeznała mianowicie, że dzień przed tym, jak stanęła przed sądem, spotkała się z prawnikami niemiecko-szwajcarskiego Onetu. Stop. Ktoś mógłby pomyśleć, że ale jak to, że hańba, że na pewno prawnicy mówili jej, co ma zeznawać, a o czym ma milczeć, że manipulowali świadkiem itd. Hańba, hańba, po trzykroć hańba. Stop. Ale właśnie o to chodzi, że nic takiego! Nic takiego. Stop. Pani Natasza zeznała, że celem spotkania z prawnikami Onetu było coś zgoła innego. Otóż prawnicy powiedzieli jej, jak dotrzeć do sądu okręgowego. Stop. Czy to nie wzruszające? Sama w wielkim mieście, niepewna i zagubiona, niepotrafiąca korzystać z taksówek i prostych aplikacji w telefonie Polka, Polka, której w tak trudnym czasie rękę podają niemieccy prawnicy, to znaczy, przepraszam, pracujący dla Niemco-Szwajcarów. Stop. Łzy popłynęły z moich oczu, musiałem przestać się turlać, by je osuszyć…

W mieście Poznaniu protestowali ludzie, bo grunty, na których mieli ogródki pracownicze i świetlice, sprzedano deweloperowi. Stop. Interweniowała milicja Boronia i trochę Kierwińskiego. Stop. Internet obiegł filmik, jak spokojnie stojący, szczupły facet nagle, zupełnie bez sensu, atakowany jest przez policjanta, który zaczyna go dusić. Stop. Nie że jakiś chwyt obezwładniający, tylko normalnie milicjant dusi faceta, tak jakby chciał go udusić na amen. Stop. W związku z tym milicja poznańska trochę Kierwińskiego, reszta Boronia wydała oświadczanie, że… duszony facet popełnił wykroczenie i stanie przed sądem. Stop. Może tym od Tuska chodzi o to, żebyśmy się sami dusili, żeby się milicjant nie pocił?

Niecałe dwa miesiące Sławomir Cudak był rektorem Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. Stop. Powołali go Żurek i milicja, a odwołali koledzy w głosowaniu. Stop. Jakkolwiek by patrzeć, pobił rekord Trzaskowskiego, który prezydentem był dwie godziny. Brawo! ©℗

eprasa.pl ed08a7b740



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

BOGACI TEŻ PŁACZĄ

Para influencerów Andziaks i Luka (czytelnicy rubryki z pewnością ich już kojarzą) opublikowała sesję Q&A. Jedno z pytań dotyczyło zarobków i odprowadzanych podatków. Angelika uznała, że to dobry moment, aby powiedzieć wprost, co myśli. – W Polsce się rozliczamy, płacimy polskie podatki. Czasami mnie zaskakuje, właśnie ludzie mówią: „Czy wy się na pewno rozliczacie w Polsce?". To by było bezprawne, gdybyśmy tutaj siedzieli i nagrywali, musimy się rozliczać w Polsce, ale ja bym bardzo chciała się rozliczać za granicą. Bo ja np. nie korzystam z żadnych tych wszystkich, nie wiem, usług, z kasy chorych, wszędzie chodzę prywatnie, za wszystko płacę i chciałabym płacić mniejsze podatki, bo płacę strasznie duże. Każdy chce jak najmniej płacić, umówmy się – stwierdziła Trochonowicz. – My się nawet nie staramy mniej płacić, bo nie ma jak. Tylko też jest tak, że jeżeli nawet mniej się zarabia, to aż tak też nie boli oddawanie tych podatków, jak zarabiasz naprawdę duże kwoty i nagle oddajesz takie... To bardziej boli, jak oddajesz nagle, nie wiem, no, nie chcę mówić, ile, ale... – wyznała gorzko. Sytuację próbował ratować jej mąż. – Mysza, same shit. Jak ktoś zarabia 400 tys., a oddaje 100, a ktoś inny zarabia 4 tys. i oddaje 1 tys. – same shit. I to jeszcze gorszy, bo tamten musi za to przeżyć – zauważył trzeźwo Luka. Andziaks jednak nie odpuszczała. – A takie moje pytanie np.: Czy myśleliśmy, żeby się wyprowadzić za granicę i właśnie tę rezydencję podatkową sobie przenieść? Myśleliśmy o tym, żeby się przenieść, wyprowadzić. Ale czy chcielibyśmy się kiedyś przeprowadzić do Dubaju? Chcieć byśmy chcieli kiedyś. Na cały czas nie, tylko właśnie na ten ciemny, zimny czas – wskazała. Cytując klasyka: Niech jadą!

SKRUCHA W DRESIE

Wypowiedź Angeliki wywołała niemałe oburzenie, influencerka rzuciła się więc ratować nadszarpniętą reputację. Po fali krytyki opublikowała materiał, w którym wystąpiła w domowych ubraniach, bez makijażu, taka zwykła. Powiedziała, że rozumie negatywne komentarze. – To była głupota. Powiedziałam nieprawdę i nie powinnam była tego mówić, więc rozumiem wasze oburzenie i negatywne komentarze na moje słowa. Szczególnie chciałabym przeprosić za wypowiedź dotyczącą osób, które zarabiają mniej. Nie uważam tak, jak mogłoby to wybrzmieć z tego nagrania. Naprawdę tak nie uważam – przekonuje. Celebrytka tłumaczy, że prowadzi kilka biznesów, a jedna z jej firm korzysta z estońskiego CIT-u zaproponowanego przez doradcę. W tym modelu podatek jest odroczony do momentu wypłaty dywidendy, która ma być objęta 25-procentową stawką. Dodała, że zyski woli przeznaczać na rozwój, a znaczące kwoty co miesiąc odprowadza z jednoosobowej działalności gospodarczej. – Właśnie, mówiąc w Q&A o tych podatkach, miałam na myśli moją jednoosobową działalność gospodarczą, nie moje spółki. Nie chcę tutaj absolutnie podawać kwot ani publicznie rozliczać się ze swoich zarobków. Nie o to w tym filmie chodzi. Kwota dotycząca jednej spółki nie oznacza sumy wszystkich podatków, które płacę. Wszystkie moje działalności są prowadzone legalnie i są rozliczane zgodnie z obowiązującymi przepisami – zakończyła.

NIECH ŻYJE HAJS!

Prawdziwym mistrzem biznesu okazuje się Filip Chajzer, który monetyzuje swój nowy związek do granic możliwości. Najpierw podcast z młodą żoną, który stał się hitem, a teraz wspólne życzenia za pieniądze. Filip i Bianka Chajzerowie poinformowali o uruchomieniu serwisu Niech Żyje Nam. Za jego pośrednictwem można zamówić nagranie wideo z życzeniami na urodziny, ślub, imieniny czy inną okazję. Klient wypełnia formularz, opisuje osobę, dla której przygotowywany jest prezent, i płaci za usługę. Życzenia składają oczywiście celebryci. Ile za taką przyjemność? Początkowo standardowe nagranie kosztowało 150 zł, a za wersję ekspresową, realizowaną w ciągu 24 godzin, trzeba było zapłacić 300 zł. Szybko okazało się, że jest tak wielu chętnych, że cenę trzeba podnieść. I tak już kilka godzin po premierze ceny wzrosły do 250 zł i 500 zł. Niedługo później małżonkowie ponownie zaktualizowali cennik – standardowe życzenia zaczęły kosztować 300 zł, a ekspresowe 600 zł. Dodatkowo wydłużono również czas realizacji droższego wariantu z 24 godzin do 48 godzin. Prezenter wyjaśnił w rozmowie z portalem Plotek, że zainteresowanie przerosło jego oczekiwania. Przyznał, że w pierwszej godzinie napłynęło 50 zamówień, a przez pierwszą dobę aż 300. Według Chajzera podwyżka cen nie wpłynęła negatywnie na sprzedaż. Możliwość „chajzerowych" życzeń szybko zaczęła być wykorzystywana przez różnych internetowych żartownisiów. I tak Michał Marszał, wieloletni współpracownik tygodnika „NIE", zamówił życzenia dla zmarłego w 2022 r. Jerzego Urbana z okazji Święta Zmarłych. Filip Chajzer odmówił jednak realizacji, uznając zamówienie za żart przekraczający granice przyzwoitości. Marszał skomentował sprawę słowami: „Nie umiecie się bawić". ©℗

eprasa.pl ed08a7b740



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak w tym kraju ma być dobrze, jeśli nie szanuje się u nas autorytetów? Już nawet nie chce nam się powtarzać, że obecne pokolenia za nic sobie mają takie postaci jak Michnik czy Wałęsa, no ale jeśli Polacy nie szanują influencerów, no to, co my niby chcemy w tym kraju osiągnąć, jak żyć, jak się rozwijać?

Widzieliśmy wyniki badania mówiącego, że tylko 8 proc. mieszkańców tego kraju traktuje porady influencerów poważnie i kieruje się ich rekomendacjami. Jest to dla nas szczególnie bolesne, iż – jak wiecie – nasza redakcja od wielu lat już pełni funkcje trendsetterskie oraz influencerskie. W ogóle to nie wiemy, czy zauważyliście, ale trendsetterów właściwie dzisiaj już nie ma. Wszyscy oni zostali zastąpieni przez influencerów.

A kogo w takim razie słucha statystyczny, przeciętny Polak? No jak to kogo: Jarosława Kaczyńskiego, księdza proboszcza, wujka Staszka, syna koleżanki waszej matki czy Stanowskiego i Mazurka, a nawet Zenka Martyniuka. Sami przyznacie, iż nie jest to zestaw osobowości, w którym ktokolwiek budziłby pozytywne skojarzenia.

My na przykład lubimy, kiedy ktoś nam powie, co należy myśleć w kwestiach politycznych, światopoglądowych – dzięki temu nie musimy sobie przesadnie zajmować głowy rozkminianiem tego, co już ktoś wcześniej rozkminił, przez co z kolei mamy więcej przestrzeni na myślenie kreatywne, rozwijanie naszych pasji, spotkania z przyjaciółmi.

A taki Polak, który nie słucha rekomendacji i musi wszystko zrobić sam, wszystko samemu sprawdzić, przeczytać – dlatego ciągle chodzi taki napięty i na koniec pluje jadem w mediach społecznościowych, drogie osoby, apelujemy, więcej zaufania do influencerów!

Zmartwiły nas ostatnie zawirowania w rządzie, że pamiętamy, iż już za rok będą wybory, a jak wybory, to istnieje kolejna szansa, aby na trwałe odsunąć PiS od władzy. A tymczasem wiadomo, iż gdy w obozie demokratycznym pojawiają się, podkreślmy to: normalne, naturalne w demokracji



tarcia, różnice poglądów, niezgody dotyczące kierunków reform, to wtedy w Internecie aktywizuje się rzesza (nomen omen) prawackich trolli, które robią wszystko, aby najsilniejszemu z Silnych razem obrzydzić pana premiera, Koalicję Obywatelską, rząd i demokrację w ogóle.

Wiecie, my generalnie popieramy różnicę zdań i poglądów, ale pod warunkiem, iż najskrajniejszy z nich mieści się w demokratycznym spektrum i nie narusza stabilności myśli demokratyczno-liberalnej. Dlatego też nawet podoba nam się, jak czasami z rządu dochodziły nas jakieś pomruki niezadowolenia niektórych koalicjantów, iż był to sygnał, że o! coś się dzieje, zachodzą tam jakieś intelektualne procesy, które powodują żywiołowe dyskusje, a wiadomo, iż w takich okolicznościach nie każdy może być zadowolony.

Kiedy jednak ktoś zachowuje się jak ministra Pełczyńska-Nałęcz i sama rząd opuszcza, to jednak nie możemy pozostać obojętni i musimy z tego miejsca udzielić poparcia koalicji i premierowi, gdyż różnić się można pięknie, no ale jednak nie za bardzo, iżby na koniec nie było z tego jakiegoś nieszczęścia w postaci przegranych wyborów i utrzymania PiS przy władzy.

Tak, tak, kochani, dobrze widzicie. PiS jest przy władzy, czy to wam się podoba, czy nie. Nawet jeśli nie jest to oficjalna władza gabinetowa poparta zajmowanymi stanowiskami, to jednak złowrogi cień Kaczafiego rozpościera się nad rządem, któremu paraliżuje działania, nie pozwala na podjęcie zdecydowanych, skutecznych i odważnych reform, iż jak tylko reforma się nie powiedzie, to wzburzone Podkarpacie tłumnie pójdzie na wybory, co ostatecznie może zachwiać demokratycznym procesem i wynikami.

Dlatego mamy nadzieję, iż na ten ostatni rok przed wyborami koalicja się pozbiera i zrobi porządek we własnych szeregach, oczywiście porządek demokratyczny, iż wróg nie śpi, a czyha i ostrzy sobie zęby na władzę. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Minister

Szymon, aport!
Donald, na to się nie umawialiśmy.

A masz na piśmie, na cośmy się umawiali?
No nie, ale...

To aportuj.
Ale tylko raz!

To się jeszcze zobaczy. Chcesz być ministrem?
No, chcę...

To jeszcze buty mi wyczyść.
Ale to wyjątkowo...

No nie, nie jakąś ściereczką. Koszulą swoją czyść. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Polska 2050 przejdzie i ten zakręt, bo siłą jej ludzi zaradzimy skutkom słabości jednostek".

SZYMON HOŁOWNIA, *poseł, w serwisie X, po odejściu z rządu Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz*

eprasa.pl ed08a7b740

TRAGEDIA NA HISZPAŃSKICH TORACH

Co najmniej 74 osoby zginęły, a ponad 100 zostało rannych w wyniku zderzenia dwóch pociągów dużych prędkości. Doszło do niego w środę 28 października w Kastylii-La Manchy, w centralnej części Hiszpanii.

Na miejsce katastrofy błyskawicznie wysłano służby ratunkowe, dźwigi, a także śmigłowce medyczne. Kilkadziesiąt godzin po katastrofie ratownicy wciąż szukali ocalałych w wypadku i próbowali wydobyć z wraków wagonów ciała ofiar. Nikt nie potrafił jednak odpowiedzieć na pytanie, ile czasu potrwa identyfikacja wszystkich odnalezionych zwłok. Z kolei policja zwróciła się do rodzin pasażerów z prośbą o dostarczenie próbek DNA, które ułatwią rozpoznanie zwłok. Tymczasem zrozpaczeni bliscy pasażerów przeszukują lokalne szpitale w poszukiwaniu jakiejkolwiek informacji o swoich krewnych.

Ze wstępnych ustaleń wynika, że maszynista pociągu państwowego przewoźnika Renfe AVE otrzymał zgodę na kontynuowanie jazdy z normalną prędkością mimo czerwonego światła. Pociąg uderzył we wciąż stojący na torach skład prywatnego operatora Iryo.

To już druga katastrofa kolejowa w Hiszpanii w tym roku z udziałem pociągów dużych prędkości. W połowie stycznia w prowincji Kordoba wykoleiły się trzy ostatnie wagony pociągu należącego do Iryo, a następnie w skład uderzył pociąg Alvia. Zginęło wówczas 46 osób, a 122 zostały ranne. I do ubiegłego tygodnia była to najtragiczniejsza katastrofa kolejowa w Hiszpanii od 2013 r.

W ubiegłym tygodniu w Madrycie wybuchły zatem protesty przeciwników gabinetu socjaldemokratycznego premiera. Szef rządu Pedro Sánchez ogłosił trzydniową żałobę narodową i zapowiedział wyciągnięcie surowych konsekwencji wobec winnych tragedii.

Czołowi światowi politycy – w tym prezydent Karol Nawrocki oraz premier Donald Tusk – złożyli kondolencje narodowi hiszpańskiemu. ©℗

FOT. JAVIER SORIANO/AFP/EAST NEWS





Rafał A. Ziemkiewicz

Wycofanie TVN z propagandowej orkiestry władzy oznacza wybicie Tuskowi zębów jadowych. Na ile zasadne są strach gwiazd TVN i nadzieje tych, dla których stały się one symbolem bezprawia „demokracji walczącej”?

Parafrazując klasyka: widmo krąży po Wiertniczej. Widmo „prawicowych zmian”, rozumianych oczywiście przede wszystkim jako zmiany personalne. Gwiazdy stacji, te, które swą pozycję zawdzięczają obsługiwaniu emocji pomagdalenkowych „elit” III Rzeczypospolitej, chyba po raz pierwszy poczuły się zagrożone. Ludzi szeroko rozumianej prawicy, przez wiele lat na antenie tej stacji demonizowanej, znieważanej i ośmieszanej, perspektywa ta napełnia zrozumiałą ekscytacją, bliską uczuciu nazywanemu z niemiecka schadenfreude – radością z cudzych kłopotów, ale usprawiedliwioną postrzeganiem tych kłopotów jako akt wymierzenia „historycznej sprawiedliwości”. W końcu chodzi o telewizję, którą stworzyli kiedyś Mariusz Walter, pupilek kolejnych komunistycznych prezesów Radiokomitetu, polecany przez Jerzego Urbana gen. Czesławowi Kiszczakowi, oraz Jan Wejchert, któremu Partia i SB dały były przywilej prowadzenia na całym świecie rozmaitych biznesów jeszcze w latach 70. Telewizję, która przed 18 laty w spektakularny sposób, ryzykując nawet stanie się na moment „prawicową” i sięgając do, jak zawsze określał to Adam Michnik, „lustracyjnego szamba” (myślę o wyprodukowaniu i emisji filmu Ewy Stankiewicz i Anny Ferens „Trzech kumpli”), zmiażdżyła wszechpotężną po Okrągłym Stole „Gazetę Wyborczą”, przejęła od niej berło głównego opiniotwórczego medium liberalnych salonów i nigdy go już nikomu nie oddała. Wycofanie tej telewizji z propagandowej orkiestry władzy oznacza, napisałem jakiś czas temu i podtrzymuję to, wybicie Tuskowi zębów jadowych.



FOT. FOTON/PAP

Drżące gwiazdy

Na ile zasadne są strach gwiazd TVN i nadzieje tych, dla których stały się one symbolem bezprawia „demokracji walczącej”?

GWIAZDY PROBLEMEM, NIE ATUTEM?

W menedżmencie mediów korporacyjnych, do których prawie od początku swego istnienia należy telewizja TVN, od zawsze ścierają się dwie koncepcje. Część „CEO’s” uważa, że media trzymają się na gwiazdach, należy je więc lansować, hołubić i nawet znosić ich kaprysy, byle utrzymać je na antenie. Część przeciwnie – że gwiazdy są raczej problemem niż atutem – w ich wylansowanie wkłada się wielkie pieniądze, a zawsze gotowe są „bryknąć” albo nawet uciec do konkurencji, więc lepiej inwestować w „brand” firmy i tak dobierać grono pracowników, by każdego można było w każdej chwili zastąpić innym.

Tę pierwszą opcję wybrali Walter i Wejchert w początkach swej telewizyjnej przygody (nie od razu ją planowali – zaczęli, jako firma ITI, od zyskownego sprowadzania do Polski sprzętu elektronicznego oraz dystrybucji wideokaset; wśród polityków prawicy często wyrażano domniemanie, że z racji swych PRL-owskich koneksji zostali do stworzenia prywatnej telewizji wytypowani i zaproszeni przez politycznych macherów, którzy tworzyli po Okrągłym Stole medialny ład, mający chronić „historyczny kompromis” postopozycyjnej lewicy ze „światłą częścią byłej PZPR”).

Nie wszystkie gwiazdy okazały się istotnie wartościowymi nabytkami. Jednym z rozczarowań Waltera (to on głównie zajął się programem, pozostawiając wspólnikowi troskę o kwestie czysto biznesowe) był np. Krzysztof Ibisz, który święcił wtedy wielkie triumfy jako prowadzący pierwszego tego typu show „Czar par”. TVN skopiował program niemal jeden do jednego, przejął będącego jego twarzą prezentera i… szybko musiał klon „Czaru Par” zdjąć z anteny, okazało się, że cokolwiek było przyczyną sukcesu „Czaru Par”, nie był to prowadzący. Trzeba było go dopiero, skoro został już wciągnięty na pokład, wylansować, powierzając inne produkcje. Nie był to jedyny taki przypadek, ale inne chybio-

eprasa.pl ed08a7b740


FOT. FOTON/PAP


FOT. FOTON/PAP

Tusk Vision Network

ne inwestycje Waltera pozostawmy już niepamięci.

POLITYKA FABRYKĄ GWIAZD

Ostatecznie o sukcesie głównej anteny zadecydowały trafione, przeważnie importowane formaty – doskonale wstrzelony w „target" reklamowy, a zarazem tani jak barszcz serial „Kasia i Tomek", „Big Brother", „Taniec z gwiazdami", „X Factor" i kolejne talent show. Ostatni z wymienionych programów przyniósł stacji konkretny zysk w osobie Jakuba „Kuby" Wojewódzkiego. Wcześniej niszowy dziennikarz muzyczny, w kolejnych talent show – początkowo w konkurencyjnym Polsacie – wykazał się tak cieszącą widzów zdolnością prawienia złośliwości i ośmieszania aspirujących do kariery uczestników, że TVN odkupił go i uczynił gospodarzem własnego programu. Co charakterystyczne, w dotychczasowym disc jockeyu ocknął się wtedy syn i dziedzic zaufanego prokuratora z czasów PRL (o randze Wojewódzkiego seniora świadczy fakt, że to jemu właśnie powierzono reprezentowanie władzy w „procesie toruńskim") oraz temperament polityczny, wskutek czego zamienił swój popkulturowy teoretycznie show w trybunę pomagdalenkowych „pryncypiów", wygłaszanych w swoisty, „luzacko-kontrkulturowy" sposób.

Właśnie polityka okazała się bowiem główną „fabryką gwiazd" stacji, która szybko rozrosła się, czego demonstracją była przeprowadzka z Augustówki do nowej, „wypasionej" siedziby przy ulicy Wiertniczej. Specjalnością TVN stało się ściąganie do siebie ludzi – głównie z telewizji państwowej – rodzinnie zakorzenionych w nomenklaturze dawnej PZPR lub instytucji służebnych wobec niej. I to takich, którzy, w przeciwieństwie do Ibisza juniora, mieli ambicje robić nie w „rozrywce", ale w, nazwijmy to, „masowej perswazji" i „wychowywaniu" Polaków do demokracji – takiej, jak ją rozumiała pomagdalenkowa elita władzy.

RÓWNI I RÓWNIEJSI

Takie właśnie „gwiazdy" zdominowały główny program informacyjny TVN, „Fakty", a potem całodobowy program informacyjno-komentatorski TVN24. O wielu z nich przeczytać można w książce Doroty Kani, Jerzego Targalskiego i Macieja Marosza „Resortowe dzieci". Ta książka, odsądzana przez salonowe media od czci i wiary i wręcz opluta przez michnikowszczyznę, wiele wyjaśniła adeptom dziennikarskiego fachu z mojego pokolenia, którzy uwierzyli kiedyś, że upadek „komuny" otworzył przed każdym możliwości awansu na miarę jego marzeń i zdolności. Z daleka obserwowałem wtedy to zjawisko w państwowej telewizji, dominującej przez wiele lat na medialnym rynku – wielu moich rówieśników obserwowało je z bliska i odczuwało na własnej skórze. Wbrew temu, co się mówiło oficjalnie, nawet najzdolniejsi mogli dojść tylko do pewnego poziomu, a potem zderzali się ze szklanym sufitem. Ponieważ na fali ogólnej radości z budowania nowych, wolnych mediów nikt wtedy nikomu nie patrzył w życiorysy, nie rozumiano, dlaczego ów szklany sufit przebijają wcale nie najzdolniejsi ani najlepiej sobie radzący.

Chyba najbardziej charakterystycznym przedstawicielem dziennikarskiej „czerwonej dynastii" jest Piotr Kraśko – z racji licznych dysfunkcji (jąkanie się, nerwowe tiki twarzy, które zyskały mu wtedy przezwisko „pan animowany") wydawał

eprasa.pl ed08a7b740

był się ostatnią osobą predestynowaną do kariery telewizyjnego spikera. A jednak stał się cud na miarę sepleniącego „kolegi spikera" z radiowej „sześćdziesiątki": nie w kim innym, jak właśnie we wnuku towarzysza Wincentego Kraśki i synu redaktora Tadeusza zobaczyło kierownictwo potencjał i, przyznajmy, z czasem rzeczywiście nauczył się on czytać z promptera na tyle poprawnie, że w TVN, dokąd go ściągnięto, mógł zająć pozycję głównego specjalisty od informowania Polaków, co powinni myśleć i kim się zachwycać, a z kogo się śmiać. O pozycji gwiazdora „Faktów TVN" świadczyły nie tylko pełne podziwu reportaże kolorowej prasy z jego rodzinnej stadniny na Mazurach i codziennego życia jaśnie państwa, lecz także bezkarność, z jaką – okazało się w pewnym momencie – przez kilka lat jeździł pomimo skonfiskowania mu przez policję prawa jazdy i „zapominał" o płaceniu podatków. Można sobie wyobrazić, jak za takie zapomnienie zostałby potraktowany zwyczajny obywatel!

JEDYNE „WOLNE MEDIA"

Jedną z pierwszych gwiazd, ściągniętych przez Waltera, do dziś bardzo oddaną TVN, była Monika Olejnik, która każdy swój program zaczyna od iście orwellowskiego zareklamowania TVN24 jako „wolnych mediów". Można to zrozumieć o tyle, że zapewne jej samej nikt w TVN nigdy nie próbował niczego narzucać. Przeciwnie – to ona stworzyła nowy model wywiadu telewizyjnego, służącego nie, jak w wypadku klasyków amerykańskiej telewizji, zaprezentowaniu gościa i jego poglądów widzom, ale wtłoczeniu im do głów – w dużym stopniu za pomocą ciągłego agresywnego przerywania i sygnałów niewerbalnych, min, prychania czy podawania słów rozmówcy w wątpliwość zawieszaniem głosu – co oni powinni o zaproszonym gościu myśleć. Metoda dziennikarska Olejnik doczekała się nawet na jednej z uczelni opracowania naukowego – analizując czysto ilościowo liczne jej wywiady, policzono tam, że gościowi z szeroko rozumianej „prawicy" przerywa Olejnik zwykle co mniej więcej 20 sekund, podczas gdy przedstawicielom establishmentu pozwala mówić swobodnie nawet minutę.

Olejnik karierę zrobiła jeszcze w schyłkowym PRL, w radiowej „Trójce" – była częścią tej fali adeptów dziennikarstwa, których pochodzenie uznano za na tyle obiecujące, by zastąpić nimi wyrzuconych wskutek „weryfikacji" po stanie wojennym. W przestrzeni publicznej wielokrotnie pojawiały się oskarżenia o ówczesne związki z SB, padał nawet pseudonim domniemanej TW „Stokrotka". Zapisuję na plus Monice Olejnik, że nigdy nie wikłała się w wykręty i zaprzeczenia, ucinając dyskusje na ten temat stwierdzeniem: „To moje prywatne sprawy".

PROPAGANDOWA SŁUŻBA

Oczywiście pochodzenie od PRL-owskich funkcjonariuszy propagandy, MSW czy prokuratury nie było warunkiem sine qua non uzyskania akceptacji kierownictwa TVN. W gronie gwiazd znalazło się miejsce również dla ludzi ze społecznego awansu, jak Jarosław Kuźniar czy Kamil Durczok, a nawet dla dziennikarki z przeszłością opozycyjną, Katarzyny Kolendy-Zaleskiej (co prawda, przyznającej się, że jej mentorem i nauczycielem zawodu był osławiony Lesław Maleszka). Warunkiem dopuszczenia do elity było jednak całkowite oddanie w propagandowej służbie pokrągłostołowemu establishmentowi. Monice Olejnik zdarzało się skrytykować poszczególne posunięcia Millera, Kwaśniewskiego czy Tuska. Lis albo Kolenda-Zaleska nie pozwolili sobie na to nigdy.

Perspektywa utraty pozycji jawi się gwiazdom jako naruszenie oczywistego porządku świata

Mówiąc krótko: tak jak w latach 90. spełnieniem snu o społecznym awansie było dla aspirujących do lewicowo-liberalnego salonu zostać pochwalonym i zatrudnionym przez Adama Michnika, tak w ostatnich dwóch dekadach gwarancją pozycji stało się zaakceptowanie przez programujących redaktorów z Wiertniczej. I nic się w tej kwestii nie zmieniło po podwójnej wyborczej wygranej PiS, przeciwnie – „elita wolnych mediów" udrapowała się jeszcze w szaty opozycyjnych męczenników – szczególnie po nieudanej próbie opodatkowania przez rząd PiS zysków medialnych korporacji. Jak gdyby nie byli świetnie opłacanymi gwiazdami medialnego koncernu, brylującymi na salonach, w kolorowych pismach i bratnich mediach zachodnich, ale grupą zaszczuwanych dysydentów, zmuszonych swe idee propagować w powielaczowych odbitkach domowej roboty sitodruku.

PROGRAM DOBROWOLNYCH ODEJŚĆ

Perspektywa utraty tej pozycji jawi się gwiazdom pomagdalenkowej propagandy jako naruszenie oczywistego porządku świata. I tak już mocno nadgryzionego zębem czasu. Bo przecież telewizja, zwłaszcza telewizja informacyjno-publicystyczna, w typie TVN24, niepostrzeżenie zmieniła się w medium dla staruszków. W badaniach telemetrycznych „grupę docelową", kiedyś zdefiniowaną jako „16–49", dyskretnie zmieniono w rozliczeniach z reklamodawcami w „16–59", ale jest tajemnicą poliszynela, że „wyrabiają" ją głównie widzowie blisko tej nowej górnej granicy. Gwiazdy politycznego komentariatu TVN też nie są już młode. Jeśli w ogóle o nich się dziś rozmawia, to dlatego, że postrzegane są jako gwaranci protuskowej linii stacji, której skrót właśnie za ich sprawą rozwijany jest od dawna w ten sposób jak w tytule. Oczywiście obrońcy rządu starają się wmówić samym sobie, że ta linia jest właśnie gwarancją zysków stacji, że zależą one od jej „wiarygodności", a tę zapewnia pozostawienie w roli twarzy politycznego przekazu Sobieniowskich i Knapików, Kolendy-Zaleskiej, Kraśki i Olejnik. Ale nie sądzę, żeby zdołali to wmówić nowym właścicielom. Wszystko wskazuje zresztą, że należą oni do wyznawców teorii przeciwstawnej tej, na której TVN budowano – że to nie gwiazdorzy, ale firma przyciąga odbiorców.

Na razie zapowiedzieli w TVN program dobrowolnych odejść. Jest okazja, by pójść w ślady Christiane Amanpour, liberalnej gwiazdy TVN, i przejść na emeryturę z twarzą i odpowiednią, zapewne na tle zwykłych dziennikarskich zarobków wysoką, odprawą. Rola męczennika jest atrakcyjna, gdy – jak za rządów PiS – cierpi się na pluszowym krzyżu. Ale obecna sytuacja niczym tamtej nie przypomina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740

Blady strach



FOT. ADOBE STOCK

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Przejęcie TVN i TVN24 przez koncern kontrolowany przez rodzinę Ellisonów, bliską Donaldowi Trumpowi, kończy pewną epokę w polskich mediach. Zmiana linii politycznej stacji wydaje się prawdopodobna

27 października wszyscy mogli się przekonać, że zapowiedzi zmian w Skydance nie są pustymi deklaracjami. Z centrali do zatrudnionych trafiła informacja o planach ujednolicenia zasad funkcjonowania koncernu. Portal Wirtualne Media poinformował, że zarząd zamierza wprowadzić pięciodniowy model pracy z biura, rezygnując z dotychczasowej pracy zdalnej. Jednocześnie zapowiedziano Voluntary Buyout Program, czyli program dobrowolnych odejść. „Wszyscy jesteśmy w szoku. Wiele osób pracowało w formacie 3:2. Trzy dni pracy na żywo i dwa zdalnej" – relacjonował anonimowy dziennikarz TVN24. Kierownictwo przedstawiało zmiany jako element budowania wspólnej kultury organizacyjnej, szybszej komunikacji i efektywniejszego zarządzania. „Nie chcemy tylko odnosić sukcesów. Chcemy wygrywać" – czytamy w e-mailu skierowanym do pracowników. Na razie nie wiadomo, od kiedy zasady dotyczące trybu pracy będą obowiązywać w Polsce. Z kolei „Presserwis" podał, że Voluntary Buyout Program nie obejmuje redakcji w naszym kraju. „Jest ulga, że większe zmiany nas ominą. Szefowie zespołów dostali informacje o cięciu kosztów na symbolicznym poziomie 5 proc. Nie ma obaw przed zwolnieniami" – powiedział jeden z dziennikarzy. To na razie uspokajający sygnał dla pracowników z ulicy Wiertniczej, chociaż poseł KO Roman Giertych trzyma rękę na pulsie. „Nowy właściciel TVN ma oczywiście prawo proponować nowe zasady funkcjonowania swojej organizacji, lecz przejęcie spółki TVN S.A. wymaga zgody Rady Ministrów, która jeszcze nie została udzielona. Na to jest czas do stycznia. Wszelkie zmiany we władzach polskiej spółki są nieważne z mocy prawa" – napisał w serwisie X.

OBIETNICA REWOLUCJI

Przez lata dla dużej części prawicy TVN był symbolem wszystkiego, co najgorsze w polskich mediach. Stacji zarzucano stronniczość, prowadzenie politycznej wojny z Prawem i Sprawiedliwością, a później z obiema Konfederacjami, sprzyjanie partii Donalda Tuska i stosowanie podwójnych standardów wobec polityków obu stron sporu. Politycy PiS wielokrotnie oskarżali dziennikarzy o manipulacje. Dzisiaj w tym środowisku coraz głośniej wybrzmiewa nadzieja na zmiany. 6 października Paramount Skydance (koncern zmienił nazwę na Skydance) sfinalizował zakup Warner Bros. Discovery, dotychczasowego właściciela TVN. Wartość transakcji określono na ok. 110 mld dol. Pod jednym korporacyjnym szyldem znalazły się m.in. Warner Bros., Paramount Pictures, HBO, CBS, CNN, a także polska Grupa TVN. Najważniejsze nazwisko w nowej układance brzmi Ellison. Na czele firmy stoi David Ellison, syn Larry'ego Ellisona, współzałożyciela Oracle i jednego z najbogatszych ludzi na świecie. Rodzina od lat pozostaje blisko amerykańskich

eprasa.pl ed08a7b740

republikanów, a Larry Ellison ma dobre relacje z Donaldem Trumpem. Dla polityków PiS to obietnica rewolucji, w której ramach TVN24 przestaje być telewizją krytyczną wobec prawicy. Tyle że biznes medialny rządzi się innymi prawami. Nowi właściciele mogą zmienić TVN, ale trudno uwierzyć, że wydadzą miliardy dolarów na przejęcie globalnego koncernu tylko po to, by spełnić marzenia polskiej opozycji. Bardziej prawdopodobne, że w instytucji z ulicy Wiertniczej rozpocznie się proces powolnej, choć konsekwentnej korekty dotychczasowego kursu.

GŁOSY Z PRAWEJ STRONY

Politycy Prawa i Sprawiedliwości nie ukrywali zainteresowania losami TVN jeszcze zanim amerykańska transakcja została sfinalizowana. We wrześniu poseł PiS Kazimierz Smoliński obwieścił w mediach społecznościowych: „Coraz bliżej zmiany właściciela TVN. Paramount Skydance porozumiał się w sprawie ugody z Kalifornią oraz innymi stanami USA, które próbowały zablokować przejęcie koncernu Warner Bros. Discovery. Tak że już nic nie zatrzyma zmian w TVN". Z kolei Marcin Przydacz, szef Biura Polityki Międzynarodowej prezydenta Karola Nawrockiego, napisał: „Paramount usunął ostatnią dużą przeszkodę przed przejęciem WBD, a zamknięcie transakcji jest blisko. Niedługo później TVN miał znaleźć się pod kontrolą nowego właściciela". Parlamentarzysta PiS Michał Woś nie krył nadziei: „W tłumaczeniu na język prosty: na Wiertniczej panika. Wielkie wietrzenie magazynów się szykuje". We wrześniu w mediach społecznościowych zaczęły krążyć wygenerowane przy pomocy sztucznej inteligencji materiały przedstawiające dziennikarzy Telewizji Republika w studiu TVN, a nawet Daniela Obajtka wręczającego wypowiedzenia Monice Olejnik i Piotrowi Kraśce. W połowie października tygodnik „Newsweek" opisał nastroje panujące w środowisku PiS. Z relacji wynikało, że niektórzy politycy spodziewają się zmian kadrowych w „Faktach", czyli głównym serwisie informacyjnym. Jeden z rozmówców, menedżer związany z prawicą, stwierdził: „Na czym polega linia TVN? To przecież tylko TVN24 i »Fakty« na głównej antenie. Kilka nazwisk z tych redakcji musi polecieć". Daniel Obajtek, były prezes Orlenu, już na początku 2024 r. żartował publicznie o zamiarze zakupu TVN. – Będę robił montaż finansowy, by kupić TVN – oświadczył w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim. Dopytywany, czy mówi poważnie, przyznał, że żartuje. Kilka miesięcy później były szef Orlenu znów odniósł się do stacji. Po przesłuchaniu w Najwyższej Izbie Kontroli powiedział dziennikarzowi TVN24: „Powiem panu szczerze, że my się będziemy częściej spotykać, ale już niedługo u was".

AMERYKAŃSKI PRZYKŁAD

Zmiany kierownictwa, korekty programowe czy ograniczenie dotychczasowego politycznego zaangażowania są możliwe. Właściciel nie musi jednak przeprowadzać widowiskowej czystki, żeby doszło do zmian. W Stanach Zjednoczonych widać już, że nowi właściciele nie pozostaną bierni. Interesujący jest przykład stacji CBS News. Po przejęciu jedną z najważniejszych decyzji było powierzenie kierowania CBS News Bari Weiss, dziennikarce i publicystce znanej z krytyki części liberalnego establishmentu medialnego oraz założycielce serwisu „The Free Press". Weiss zaczęła realizować odmienną koncepcję działalności informacyjnej, kładąc większy nacisk na komentarz, poszerzenie grona współpracowników i docieranie do odbiorców nieidentyfikujących się z dotychczasowym profilem stacji. W lutym 2026 r. branżowy serwis Press.pl informował, że CBS News planuje zwolnienie co najmniej 15 proc. pracowników. Wcześniej z redakcją rozstała się grupa kilkunastu producentów związanych z programem „CBS Evening News". Szczególne kontrowersje dotyczyły programu interwencyjnego „60 Minutes", od dziesięcioleci uchodzącego za jeden z filarów amerykańskiego dziennikarstwa telewizyjnego. Pracownicy i komentatorzy zarzucali nowemu kierownictwu ograniczanie niezależności redakcyjnej, ingerowanie w materiały oraz podporządkowywanie części decyzji programowych nowej strategii polityczno-wizerunkowej. To właśnie amerykański przykład tak silnie oddziaływał na wyobraźnię pracowników warszawskiej stacji. W lutym, gdy stało się jasne, że Paramount ma szansę wygrać rywalizację z Netfliksem o Warner Bros. Discovery, Wirtualna Polska opisywała atmosferę panującą w siedzibie TVN. „Ludzie nie rozmawiają o niczym innym" – mówiła wówczas anonimowo jedna z osób pracujących w telewizji. Zwracano uwagę na doświadczenia CBS i możliwość przeprowadzenia podobnej reorganizacji w Polsce. Inny z rozmówców WP wskazywał, że powraca pytanie o dalsze losy osób kierujących redakcjami i odpowiadających za ich program. „To jest scenariusz, którego wszyscy się obawiają" – dodawał. Jednocześnie kolejny z dziennikarzy zauważył, że TVN przez lata wielokrotnie zmieniał właścicielskie otoczenie i niemal stale pojawiał się w rozważaniach o kolejnych transakcjach. Inni przekonywali, że nawet jeśli dojdzie do poważnych zmian, zanim obejmą one zwykłych pracowników, minie jeszcze sporo czasu.

Przez lata dla dużej części prawicy TVN był symbolem wszystkiego, co najgorsze w polskich mediach

MILIARD DOLARÓW MUSKA

W Polsce dodatkowe emocje wokół przejęcia wywołała wiadomość o wejściu do gry nowego gracza, czyli Elona Muska. Amerykański serwis Semafor podał w drugiej połowie października, że szef Tesli i X zainwestował w Skydance ok. 1 mld dol. Jak wiadomo, Musk blisko współpracował z Donaldem Trumpem, choć ich relacje nie były wolne od konfliktów. Związek biznesmena z rodziną Ellisonów również nie jest nowy. Larry Ellison pomagał finansować zakup Twittera przez właściciela Tesli w 2022 r., a wcześniej był związany ze spółką jako inwestor i członek jej rady dyrektorów. Miliard dolarów brzmi imponująco, ale w zestawieniu z wartością całej fuzji to kropla. Wiadomo, że nowy koncern potrzebuje pieniędzy. Według doniesień mediów z USA sfinansowanie przejęcia WBD wymagało zaciągnięcia ok. 80 mld dol. długu, a Skydance

eprasa.pl ed08a7b740

zapowiada wielomiliardowe oszczędności. To może mieć dla przyszłości TVN większe znaczenie niż poglądy polityczne Larry'ego Ellisona czy sympatia Muska do określonych ugrupowań. Jeśli nowy właściciel uzna, że istniejące struktury są zbyt kosztowne, to będzie je ograniczał.

PODMIOT PODLEGAJĄCY SZCZEGÓLNEJ OCHRONIE PAŃSTWA

Polityczne znaczenie przejęcia TVN wykracza daleko poza pytanie o przyszłe losy konkretnych dziennikarzy, choć to, czy w stacji pozostaną Piotr Kraśko, Monika Olejnik, Maciej Knapik czy Katarzyna Kolenda-Zaleska, rozgrzewa emocje. Chodzi również o to, jak zmiana właściciela wpłynie na medialny krajobraz przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. Dla Donalda Tuska obecna sytuacja jest niewygodna. Nic dziwnego, że po przejęciu rozpoczęła się dyskusja o możliwościach działania państwa. Ministerstwo Aktywów Państwowych rozpoczęło postępowanie związane z przejęciem polskiej spółki przez nowego właściciela. Jest to możliwe dlatego, że w grudniu 2024 r. TVN znalazł się na liście podmiotów podlegających szczególnej ochronie państwa. Przepisy pozwalają kontrolować określone transakcje pod kątem bezpieczeństwa i porządku publicznego. Jak wyjaśniali na łamach Onetu profesorowie Tomasz Siemiątkowski i Piotr Marcin Wiórek, współtwórcy ustawy o kontroli niektórych inwestycji, transakcja w Polsce ma charakter przejęcia pośredniego. Formalnie nie chodzi bowiem o prosty zakup akcji TVN S.A. od dotychczasowego akcjonariusza, lecz o zmianę podmiotu sprawującego ostateczną kontrolę nad rozbudowaną strukturą korporacyjną. Zawiadomienie do MAP wpłynęło 13 października. Ministerstwo ma 90 dni na wydanie rozstrzygnięcia. W postępowaniu uczestniczyć ma także Komitet Konsultacyjny, obejmujący przedstawicieli najważniejszych instytucji państwowych, w tym służb specjalnych. Autorzy analizy wskazują, że w razie stwierdzenia zagrożenia dla bezpieczeństwa Polski minister może zdecydować o niedopuszczalności wykonywania praw z akcji TVN. Może również nakazać ich zbycie. Ewentualna decyzja wiązałaby się z daleko idącymi skutkami dla zarządzania polską spółką. „Myślę, że kluczowym obszarem, który zbada resort, jest struktura własnościowa i sposób finansowania nowego właściciela TVN. Chodzi o zweryfikowanie powiązań kapitałowych Skydance, w tym pochodzenia jej inwestorów. Celem jest wykluczenie sytuacji, w której za wehikułem inwestycyjnym stałyby podmioty pochodzące z państw wrogich sojuszom Polski, w szczególności z jurysdykcji objętych sankcjami międzynarodowymi" – powiedziała Wirtualnym Mediom mecenas Barbara Załęcka-Wysocka, radca prawny, ekspert do spraw prawa mediów.

DWA SCENARIUSZE

Takie działania wymagają jednak wykazania ustawowych przesłanek. Sama sympatia właściciela do Donalda Trumpa, Elona Muska czy amerykańskiej prawicy nie stanowi jeszcze dowodu zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa. Minister aktywów państwowych Wojciech Balczun starał się tonować polityczne emocje. – To wyłącznie decyzja administracyjna – mówił 7 października w Kanale Zero, odnosząc się do procedury kontroli. Media donosiły, że nieoficjalnie w kręgach władzy mówi się, iż nie da się „obronić TVN". To transakcja Amerykanów z Amerykanami. Balczun zapewnia, że nie ma zamiaru jej blokowania, zaś ministerstwo realizuje tylko obowiązki wynikające z ustawy.

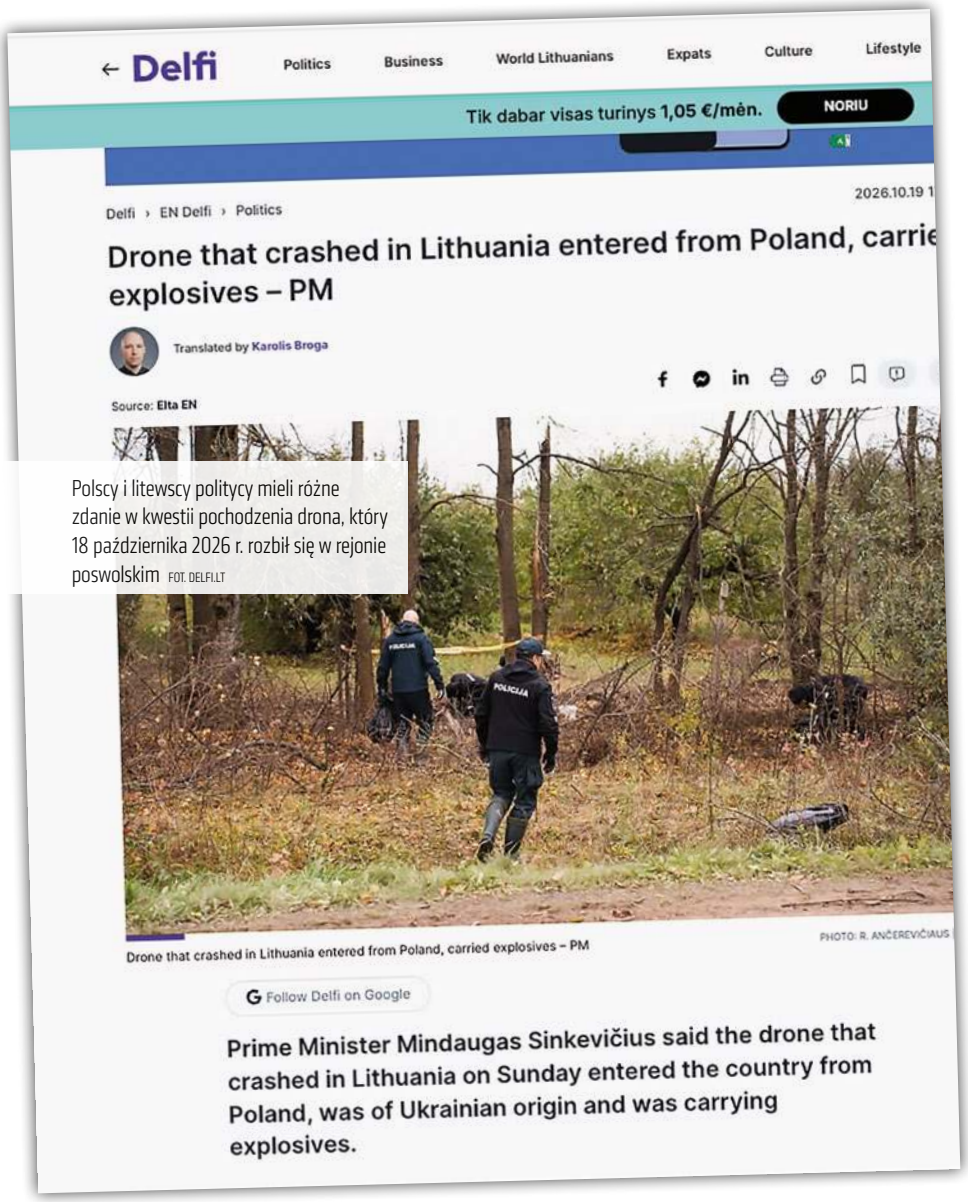
Europoseł PiS Adam Bielan w rozmowie z Wirtualną Polską określił sytuację jako absurdalną, sugerując, że reakcja władz jest nieproporcjonalna do charakteru transakcji.

Nie można wykluczyć jeszcze jednego scenariusza: po przejęciu Warner Bros. Discovery Skydance zdecyduje się wystawić TVN na sprzedaż. Pogłoski na ten temat pojawiły się niemal natychmiast po zakończeniu amerykańskiej transakcji. 9 października serwis Wirtualne Media podał, że wśród pracowników stacji zaczęły krążyć informacje o możliwej sprzedaży polskiego nadawcy. „Pojawiają się głosy w firmie, że Amerykanie chcą nas sprzedać. Podejrzewam, że rząd nie dopuści do takiej ewentualnej sprzedaży przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi" – mówił anonimowy pracownik stacji. Doktor habilitowany Mirosław Filiciak, profesor Uniwersytetu SWPS, wskazywał, że z perspektywy globalnej strategii koncernu polska stacja nie musi być jednym z kluczowych aktywów. Jej sprzedaż mogłaby zatem pomóc w spłacaniu długu zaciągniętego na wielką transakcję. Redaktor naczelny Onetu Bartosz Węglarczyk stwierdził z kolei, że „Skydance nie kupił Warner Bros. Discovery dla aktywów zagranicznych, tylko dla aktywów amerykańskich". „Aktywa zagraniczne nie są dla nich istotne, skupiają się na rynku amerykańskim, więc mogą sprzedać TVN" – komentował. Innego zdania jest Zbigniew Benbenek, twórca Grupy ZPR Media. Ocenił on, że TVN jest rentownym przedsiębiorstwem i może stać się dla Skydance źródłem stabilnych przychodów pomagających obsługiwać zadłużenie. Zwracał również uwagę na potencjał Polski jako zaplecza produkcyjnego. Z ekonomicznego punktu widzenia oba scenariusze mają swoje uzasadnienie. Sprzedaż pozwoliłaby szybko uzyskać gotówkę i uprościć strukturę koncernu. Zachowanie TVN oznaczałoby natomiast utrzymanie dochodowego przedsiębiorstwa działającego na jednym z największych rynków Europy Środkowej. Według danych przywoływanych przez „Newsweek" TVN wypracował w 2025 r. ok. 660 mln zł zysku netto.

Niepewność związana z przyszłością stacji wywołała reakcję części środowiska dziennikarskiego. Na początku października Towarzystwo Dziennikarskie zaapelowało do nowych właścicieli i zarządu o powołanie specjalnej rady do spraw niezależności redakcyjnej. Organizacja powołała się na porozumienie zawarte w Stanach Zjednoczonych, zgodnie z którym w CNN i CBS mają powstać pięcioosobowe rady złożone z doświadczonych dziennikarzy. „Jeśli dla treści informacyjnych rozpowszechnianych na terenie Stanów Zjednoczonych ustanowiono radę do spraw niezależności redakcyjnej, to analogiczna rada powinna powstać w TVN, który w strukturze Paramount Skydance takie treści będzie publikował dla rynku polskiego" – napisano w apelu. Towarzystwo przekonywało, że polscy dziennikarze powinni otrzymać podobne gwarancje jak ich amerykańscy koledzy. Przypomniało też o obowiązującym w Unii Europejskiej akcie o wolności mediów, który przewiduje mechanizmy służące ochronie niezależności redakcyjnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740



Polscy i litewscy politycy mieli różne zdanie w kwestii pochodzenia drona, który 18 października 2026 r. rozbił się w rejonie poswolskim FOT. DELFI.LT

Ukraiński dron nad Polską



Krystian Kamiński

Czy obecny obóz rządzący prowadzi politykę osłaniania Ukrainy za cenę oszukiwania własnego społeczeństwa czy też mamy do czynienia z dziurawym systemem ostrzegania i rozpoznania przestrzeni powietrznej nad Polską?

W niedzielny poranek, 18 października, w rejonie poswolskim (północna część Litwy) w pobliżu wsi Juodžioniai rozbił się i eksplodował dron. Tylko krok dzielił od tragedii kierowcę przejeżdżającego w pobliżu samochodu. Odłamki uszkodziły drzwi pojazdu, ale prowadzący nie odniósł obrażeń. To właśnie on zawiadomił litewską policję. Władze Litwy dysponowały więc niemal od początku istotnymi informacjami o incydencie. Niedługo wcześniej w powietrze poderwane zostały dwa włoskie myśliwce Eurofighter, stacjonujące w bazie lotniczej w Szawlach w ramach misji NATO. Do przechwycenia i zniszczenia drona jednak nie doszło. Jak wyjaśniło oficjalnie Wilno, trudne warunki meteorologiczne uniemożliwiły pilotom nawiązanie kontaktu wzrokowego z obiektem. Niemniej powołując się na dane swojego systemu obserwacji przestrzeni powietrznej, władze Litwy od początku wskazywały, że dron wleciał nad jej terytorium znad Polski.

NOCNE ALARMY

Incydent miał miejsce w szczególnym kontekście operacyjnym. W tym samym czasie Ukraińcy prowadzili zmasowane uderzenie dronowe na Petersburg i rosyjski obwód leningradzki. Zaatakowane zostały m.in. centrum danych potentata cyfrowego VK, terminal naftowy w Petersburgu oraz baza paliwowa Ruczji. Według rosyjskich władz w wyniku nalotu uszkodzonych zostało również 12 budynków wielorodzinnych i dwa domy prywatne. Tego samego niedzielnego

eprasa.pl ed08a7b740

ranka Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych poinformowało o podejrzeniu naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej w rejonie Lublina przez niezidentyfikowany obiekt. Informacje te pojawiły się po nocnych zgłoszeniach mieszkańców i zarejestrowaniu sygnału radiolokacyjnego. Uruchomiono procedury poszukiwawcze, jednak obiektu nie odnaleziono. Polskie Ministerstwo Obrony Narodowej nie potwierdziło naruszenia przestrzeni powietrznej. Rzecznik MON Janusz Sejmej przekazał: „Nasze systemy radarowe nie potwierdzają przekroczenia granicy z Polski na Litwę przez odnaleziony tam obiekt".

BEZ KONTAKTU WZROKOWEGO

Tymczasem stanowisko Wilna pozostawało niezmienne: dron, który rozbił się na północy Litwy, wleciał znad Polski. W poniedziałek minister obrony Litwy Robertas Kaunas odwołał się do zwyczajowego w takich przypadkach wyjaśnienia, mającego usprawiedliwiać tego rodzaju wloty ukraińskich dronów. Twierdził, że aparat zboczył z kursu i znalazł się nad Litwą prawdopodobnie pod wpływem rosyjskich środków walki radioelektronicznej. O wlocie drona znad Polski mówił także doradca prezydenta Litwy do spraw bezpieczeństwa narodowego Deividas Matulionis, który oświadczył, że Litwa dysponuje wiarygodnymi danymi potwierdzającymi przekroczenie granicy. Premier Litwy Mindaugas Sinkevičius w dyplomatycznej formie, lecz jednoznacznie, korygował stanowisko Warszawy. „Nie ma żadnych wątpliwości, że dron wleciał przez strefę Schengen, od strony Polski" – oświadczył. Wskazywał również na to, że według posiadanych przez Litwę informacji maszyna była pochodzenia ukraińskiego. Określił ją mianem drona „FPV", choć w późniejszych doniesieniach dotyczących incydentu pojawiała się identyfikacja FP-1. Wyjaśniał ponadto, że poderwane myśliwce wykryły obiekt radarowo, ale nie mogły nawiązać z nim kontaktu wzrokowego ze względu na niekorzystne warunki pogodowe. Tymczasem przedstawiciele najwyższych polskich władz cywilnych i wojskowych nadal twierdzili, że nie ma dowodów na to, iż ukraiński dron wleciał do bałtyckiego państwa znad Polski.

PODSTAWOWA SPRZECZNOŚĆ

Dopiero we wtorek 20 października premier Donald Tusk, odnosząc się do incydentu przed posiedzeniem Rady Ministrów, przyznał, że według wszystkich dostępnych danych ukraiński dron wleciał na Litwę od strony polskiej. Zapowiedział ścisłą współpracę z Wilnem i domaganie się wyjaśnień od strony ukraińskiej. „Bez emocji, bez jakichś złych intencji, ale będę bardzo natarczywy, występując o pełne wyjaśnienia" – oświadczył. Następnie złożył deklarację o zasadniczym znaczeniu: „Polska nie zezwala na prowadzenie operacji na naszym terytorium czy nad nim bez wyraźnej zgody państwa polskiego. To się nie zmieni, niezależnie od tego, kto te operacje miałby przeprowadzać". Słowa te brzmiały stanowczo, ale nie usuwały podstawowej sprzeczności między wcześniejszymi komunikatami polskich służb a informacjami przekazywanymi przez Litwinów. Skoro bowiem dron nadleciał na Litwę od strony Polski, należało wyjaśnić nie tylko okoliczności jego zboczenia z kursu, lecz także to, dlaczego polski system rozpoznania przestrzeni powietrznej nie potrafił jednoznacznie potwierdzić jego przelotu.

ZNAK ZAPYTANIA

Co się więc stało? Pierwsza możliwa odpowiedź jest taka, że polskie siły zbrojne, a za nimi władze Rzeczypospolitej nie miały dostatecznej wiedzy o tym, co dzieje się na polskim niebie. Może o tym świadczyć fakt skierowania w niedzielę rano żołnierzy WOT do akcji poszukiwawczej w okolicach Zalewu Zemborzyckiego w Lublinie. Nie była to przy tym jedynie symboliczna reakcja na doniesienia mieszkańców. W poszukiwaniach uczestniczyło około 30 żołnierzy WOT, kilkudziesięciu policjantów i Żandarmeria Wojskowa, a akcję kontynuowano przez trzy dni, wykorzystując także śmigłowiec i bezzałogowce. Istniały więc dostatecznie poważne przesłanki, by wojsko brało pod uwagę możliwość upadku niezidentyfikowanego obiektu w rejonie Lublina. Tymczasem, jeśli przyjąć litewską wersję wydarzeń oraz założenie, że chodziło o tę samą maszynę, dron nie spadł pod Lublinem, lecz kontynuował lot nad Polską, by następnie rozbić się na Litwie. Nie wiemy, czy zawiódł sam system wykrywania, czy raczej identyfikacja obiektu, interpretacja danych radarowych albo procedury przekazywania informacji. Każda z tych możliwości stawiałaby jednak poważne pytania o skuteczność polskiego systemu rozpoznania i obrony przestrzeni powietrznej. Jeżeli bowiem polskie służby nie były w stanie prawidłowo ustalić trasy pojedynczego drona, oznaczałoby to kompromitację nie tyle rządu czy dowództwa wojskowego, ale całej naszej struktury polityczno-wojskowej oraz

REKLAMA



eprasa.pl ed08a7b740

polityki bezpieczeństwa prowadzonej w latach ubiegłych. Oto mimo że Polska od lat wydaje gargantuiczne pieniądze na obronę narodową, nasz kraj mógłby się okazać pod tym względem bardziej ślepy od Litwy. I to wobec środka napadu odgrywającego kapitalną rolę w największej wojnie w Europie od 1945 r., a mogącego mieć jeszcze większe znaczenie w przypadku działań hybrydowych lub konfliktu ograniczonego do powietrznej wymiany ciosów. Sytuacja ta stawia pod znakiem zapytania rzeczywisty stan polskiego systemu obrony powietrznej.

DWA SCENARIUSZE

Druga wersja jest jednak taka, że polskie władze dysponowały informacjami o przelocie ukraińskiego drona, lecz świadomie nie ujawniały ich opinii publicznej, aby ukryć fakt wykorzystania polskiej przestrzeni powietrznej do operacji wojennej przeciwko Rosji. Pozostaje przy tym zasadnicze pytanie: Czy doszło do tego za zgodą polskich władz, czy bez niej? Oba scenariusze rodziłyby poważne pytania o sposób prowadzenia polityki bezpieczeństwa przez polski rząd. Szczególnie niebezpieczny byłby jednak ten pierwszy, oznaczający świadome dopuszczenie do wykorzystania przestrzeni powietrznej Rzeczypospolitej w operacji zbrojnej przeciwko Rosji, a tym samym zwiększenie ryzyka wciągnięcia naszego kraju do konfliktu. Polska znalazłaby się wówczas w sytuacji pod pewnym względem przypominającej rolę, którą Białoruś odgrywa dla Rosji, państwa udostępniającego własne terytorium lub przestrzeń powietrzną na potrzeby działań wojennych prowadzonych przez sąsiada. Nie byłaby to oczywiście sytuacja tożsama pod względem prawnym, politycznym czy wojskowym, ale samo podobieństwo mechanizmu wymagałoby poważnej debaty. Jeżeli natomiast ukraiński dron znalazł się nad Polską bez wiedzy i zgody naszych władz, a jego przelot został następnie świadomie przemilczany, mielibyśmy do czynienia z innym, lecz również bardzo poważnym problemem: wiarygodności państwa wobec własnych obywateli.

POLITICAL FICTION?

Przypomnijmy sprawę Przewodowa. 15 listopada 2022 r. o godz. 15.40 na polską wieś spadł pocisk rakietowy. Zginęło dwóch Polaków. Do końca dnia władze Rzeczypospolitej nie przedstawiły jednoznacznej informacji, kto go wystrzelił. Ministerstwo Spraw Zagranicznych podało jedynie, że pocisk był produkcji rosyjskiej. Premier Mateusz Morawiecki mówił o ogólnej odpowiedzialności Rosji za tragedię, wynikającej z prowadzonej przez nią wojny przeciwko Ukrainie. Prezydent Andrzej Duda jeszcze w nocy z 15 na 16 listopada oświadczył: „Nie mamy w tej chwili żadnych jednoznacznych dowodów na to, kto wystrzelił rakietę", dodając, że „najprawdopodobniej była to rakieta produkcji rosyjskiej". Tymczasem nad ranem czasu polskiego prezydent USA Joe Biden, odpowiadając na pytania dziennikarzy podczas szczytu G20 na Bali, stwierdził, że wstępne informacje dotyczące trajektorii lotu wskazują, iż jest mało prawdopodobne, aby pocisk został wystrzelony z Rosji. Jeszcze tego samego dnia stanowisko polskich władz stało się znacznie bardziej konkretne. Andrzej Duda poinformował, że nic nie wskazuje na intencjonalny atak na Polskę, a istnieje wysokie prawdopodobieństwo, iż był to pocisk ukraińskiej obrony przeciwlotniczej. Trudno nie odnieść wrażenia, że polskie władze świadomie zwlekały z ujawnieniem informacji o ukraińskim pochodzeniu pocisku, pozostawiając opinię publiczną w przekonaniu, że za tragedię mogli bezpośrednio odpowiadać Rosjanie. Tym bardziej, że późniejsze relacje osób mających wiedzę o wydarzeniach w Przewodowie wskazują, iż rzeczywisty przebieg incydentu mógł być znany znacznie wcześniej, niż wynikałoby to z oficjalnych komunikatów.

Jeśli przyjąć litewską wersję wydarzeń, to dron nie spadł pod Lublinem, lecz kontynuował lot nad Polską, by następnie rozbić się na Litwie

W wydanej w 2024 r. książce „Polska na wojnie" Zbigniewa Parafianowicza znalazła się wypowiedź wysokiego rangą oficera Wojska Polskiego: „Dość szybko stało się jasne, że to zabłąkana rakieta ukraińskiej obrony powietrznej". Oficer dodawał, że szczątki pocisku przewieziono do jednostki wojskowej w Lublinie, gdzie analizowały je służby i wojsko. Co więcej, jeden z rozmówców autora, przedstawiony jako człowiek z bliskiego otoczenia prezydenta, relacjonował, że Andrzej Duda rozmawiał z Wołodymyrem Zełenskim o incydencie i nie rozumiał, dlaczego ukraiński przywódca upiera się przy wersji o rosyjskim pocisku. Z innych przytoczonych przez Parafianowicza relacji wynika, że polscy przedstawiciele przekonywali Ukraińców, iż rakieta była ukraińska. Wszystko to stanowi dodatkową przesłankę do postawienia tezy, że polskie władze wiedziały o rzeczywistym pochodzeniu pocisku wcześniej, niż zdecydowały się przekazać tę informację opinii publicznej, a przynajmniej miały ku temu poważne podstawy. W mojej ocenie świadczy to o świadomym osłanianiu Ukrainy kosztem prawa polskiego społeczeństwa do rzetelnej informacji. I to bez względu na to, że pozostawianie otwartą kwestii bezpośredniej odpowiedzialności Rosji za śmierć dwóch Polaków miało w ówczesnej sytuacji bardzo poważne implikacje polityczno-strategiczne dla naszego kraju i NATO. Być może o takie właśnie implikacje chodziło ówczesnemu obozowi rządzącemu, biorąc pod uwagę wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego o konieczności wprowadzenia „misji pokojowej NATO" na Ukrainę, formułowane w marcu 2022 r., gdy Rosjanie stali pod Kijowem.

Czy obecny obóz rządzący Donalda Tuska, Władysława Kosiniaka-Kamysza i Włodzimierza Czarzastego prowadzi taką samą politykę osłaniania Ukrainy za cenę oszukiwania własnego społeczeństwa, jaką – w mojej ocenie – prowadziły władze w czasie incydentu w Przewodowie? Czy też po prostu mamy do czynienia z dziurawym jak sito systemem ostrzegania i rozpoznania przestrzeni powietrznej? A może oba te problemy występują jednocześnie? To pytania o fundamentalnym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa, które przez ostatnie tygodnie nie wybrzmiały w Polsce z należytą siłą, zagłuszone kakofonią dyskusji i pyskówek o sprawach zdecydowanie bardziej błahych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740

Wojna o Nord Stream



Łukasz Warzecha

Jeśli realizowane jest przedsięwzięcie, które nasze państwo uznaje z jakiegoś powodu za niekorzystne dla siebie, ale nie jest w stanie go zablokować, za to pojawia się możliwość, aby do tego przedsięwzięcia dołączyć, to należy to zrobić, zamiast bezproduktywnie protestować

Błędem było niedołączenie się do projektu [Nord Stream], gdy jasne się stało, że nie potrafimy go zatrzymać. Mogliśmy uzyskać miejsce w zarządzie i przebieg rurociągu po naszym terytorium. Ale urzędnika, który o tym napomknął, brutalnie usunięto".

Jakaż to ruska onuca mogła wygłosić taką opinię? To słowa nie kogo innego, jak samego Radosława Sikorskiego. Ten jego wpis na X (wówczas jeszcze Twitterze) jest na portalu wciąż obecny i nosi datę 20 października 2015 r. Było to zatem pięć dni przed wyborami parlamentarnymi, które dały zwycięstwo Prawu i Sprawiedliwości, rządzącemu następnie Polską przez dwie kadencje. Temat relacji z Rosją był wtedy żywy, a więc również temat Nord Stream, którego pierwsza nitka została uruchomiona w 2011 r., a druga niemal dokładnie rok później. Przed wyborami sprzed 11 lat obie strony konfliktu oskarżały się wzajemnie, a przedstawicielom Platformy Obywatelskiej zdarzało się również stwierdzić, że PiS nie starało się budowy zablokować – co było nieprawdą.

PRZYWRÓCIĆ GAZOCIĄG

Radosław Sikorski zapewne dzisiaj swoich ówczesnych słów by nie powtórzył – wszak można by go w związku z nimi postawić blisko Grzegorza Brauna, który niedawno pokazał się z politykami AfD – Steffenem Kotré, Stephanem Reukenem oraz Kevinem Kurtzem – w Lubminie w Meklemburgii-Pomorzu Przednim, gdzie gazociąg wychodzi na powierzchnię, stwierdzając, że Nord Stream powinien zostać ponownie uruchomiony możliwie szybko. Mało tego – Braun w części powtórzył to, co napisał w 2015 r. Sikorski: „Wyrażamy zaangażowanie naszej partii w ideę nie tylko zaprzestania bojkotu takich projektów jak Nord Stream 1 czy 2. Nie tylko nie chcemy bojkotować, chcemy wziąć udział. Chcemy zostać licytatorami tego wspaniałego projektu, który oczywiście na to zasługuje, co wymagałoby od naszego państwa polskiego zaangażowania w przywracanie bezpieczeństwa tego typu projektów w sąsiedztwie Morza Bałtyckiego".

Występując na nagraniu opublikowanym na profilu Konfederacji Korony Polskiej, poseł AfD Steffen Kotré (wcześniej zdarzyło mu się być w Sejmie na zaproszenie Grzegorza Brauna) mówi, że Niemcy i Polska potrzebują taniego rosyjskiego gazu, aby utrzymać swój dobrobyt. Na profilu opublikowano również stanowisko KKP w sprawie polityki surowcowej. Możemy w nim przeczytać, że korzystanie ze wznowionej ewentualnie pracy Nord Stream poprzez istniejące połączenie rewersowe z Niemcami – a zatem bez konieczności natychmiastowej budowy odrębnego połączenia z Polską – pozwoliłoby na większą dywersyfikację źródeł surowca. „Dywersyfikacja oznacza rozproszenie bazy dostawców oraz korytarzy transportowych, nie zaś zastąpienie jednego dominującego kierunku importowego innym" – czytamy w oświadczeniu KKP.

POD PUTINOWSKIM BUTEM

Wizyta Grzegorza Brauna w Lubminie wywołała w Polsce przewidywalną reakcję, czyli rytualne potępienie. „Nie ma bardziej sprzecznego z polskim interesem energetycznym i naszą racją stanu projektu niż Nord Stream. Poparcie Brauna i jego partii dla tego projektu to dyskwalifikacja i zapisanie się do grona zwolenników bycia pod putinowskim butem. Nie można nazywać się patriotą i wspierać projekty zagrażające żywotnym interesom Polski. Wstyd!" – napisał na X w typowo pompatycznym tonie minister energii Miłosz Motyka.

Polska polityka rytuałami stoi, a jednym z nich jest potępianie Rosji oraz winienie Putina za praktycznie wszystko, co można uznać za niekorzystne – obojętnie, czy Rosja ma z daną sprawą cokolwiek wspólnego czy nie. Z argumentacją przedstawioną w oświadczeniu KKP można się nie zgadzać, ale trudno uznać, aby była ona pozbawiona racjonalności i logiki. Nikt jednak rzeczowej polemiki z nią nie podjął. To wykraczałoby poza rytuał.

To, co w 2015 r. napisał Radosław Sikorski, można było odczytywać jako przejaw realistycznego myślenia. Jeśli realizowane jest przedsięwzięcie, które

eprasa.pl ed08a7b740

nasze państwo uznaje z jakiegoś powodu za niekorzystne dla siebie, ale nie jest w stanie go zablokować, za to pojawia się możliwość, aby do tego przedsięwzięcia dołączyć, to należy to zrobić, zamiast bezproduktywnie protestować.

PRZEDSIĘWZIĘCIE CZYSTO BIZNESOWE

Tu trzeba przypomnieć, dlaczego projekt realizowany wspólnie przez Niemcy i Rosję, a rozpoczęty za rządów kanclerza Gerharda Schrödera – potem przygarniętego do władz tego przedsięwzięcia dzięki Władimirowi Putinowi – był uznawany za wymierzony przynajmniej pośrednio w Polskę. Za taką oceną stały mocne argumenty. Zarzut wobec Nord Stream brzmiał, że nie jest to przedsięwzięcie czysto biznesowe – jak próbował je przedstawiać rząd Niemiec, także ten, na którego czele stała kanclerz Angela Merkel – lecz w dużej mierze, a nawet w przeważającej części polityczne. Oczywistym bowiem i znacznie tańszym w budowie wariantem byłby ten lądowy. Taka koncepcja zresztą istniała – gazociąg miałby przebiegać przez kraje bałtyckie i Polskę (gazociąg Amber). Skoro zamiast tego wybrano znacznie droższą budowę na dnie Bałtyku – a jest to najdłuższy gazociąg na świecie, mierzący 1222 km – to sugeruje, że musiały za tym stać względy inne niż zwykły interes ekonomiczny. Berlin i Moskwa odpowiadały, że ostatecznie taka trasa się opłaca, jako że pozwala uniknąć opłat za tranzyt przez terytorium Polski i Ukrainy.

Poprowadzenie gazociągu przez nasz kraj dawałoby Polsce możliwość traktowania tego surowca jako broni

Geopolityczne wyjaśnienie było jednak inne. Rosja standardowo traktowała swoje surowce jako rodzaj broni, nawet jeśli formalnie były w dyspozycji prywatnych firm. Należało zatem liczyć się z tym, że w razie napięcia politycznego dopływ surowca do Polski czy na Ukrainę może zostać odcięty. Gazociąg omijający Polskę i Ukrainę, a dostarczający surowiec prosto do Niemiec powiększał rosyjskie pole manewru. Można było odciąć gaz płynący gazociągiem Jamał przez Polskę i do Polski, a finalnie do Niemiec (południową odnogą przez Ukrainę na Słowację), bez szkody dla niemieckiego odbiorcy, którego nadal zasilałby Nord Stream. Niektórzy interpretowali projekt bałtyckiego gazociągu jako wprost przygotowywanie takiego scenariusza.

POGWAŁCENIE UNIJNEJ SOLIDARNOŚCI

Gwoli uczciwości trzeba jednak przedstawić możliwy rosyjsko-niemiecki punkt widzenia: skoro polska polityka zagraniczna jako jedno z założeń – niezależnie od tego, kto sprawował rządy – przyjmowała konfrontacyjną naturę relacji z Rosją, to poprowadzenie gazociągu przez nasz kraj dawałoby Warszawie możliwości sięgnięcia po kurek i traktowania surowca jako broni dokładnie tak, jak robi to Rosja. Albo tak, jak zrobiła Ukraina tuż przed wyborami na Węgrzech, gdy to rzekomo Rosjanie zniszczyli ropociąg Drużba przebiegający przez ukraińskie terytorium. Trudno dzisiaj mieć wątpliwości, że była to akcja ukraińska, skierowana przeciwko rządowi Viktora Orbána. Polska zatem miała powody obawiać się Nord Stream, a Rosja – obawiać się poprowadzenia kolejnego gazociągu przez nasz kraj.

Warszawa faktycznie na różne sposoby próbowała sprzeciwiać się budowie Nord Stream. Odwoływaliśmy się zarówno do argumentów z dziedziny prawa międzynarodowego, jak i do unijnej solidarności energetycznej, której ten projekt był ewidentnym pogwałceniem (aczkolwiek powstawał w czasie, gdy zasady tej solidarności nie były jeszcze formalnie zdefiniowane). Nie dało to literalnie nic. Można postawić tezę, że taki rezultat był do przewidzenia. A w takim razie być może przyłączenie się do przedsięwzięcia było jedynym sensownym rozwiązaniem.

POLSKA POWINNA SIĘ WŁĄCZYĆ

Pomysł dołączenia do Nord Stream zgłosił i był owym brutalnie potraktowanym – zdaniem Sikorskiego – urzędnikiem nie kto inny, jak Ryszard Schnepf. Swoją koncepcję przedstawił w 2006 r., będąc sekretarzem stanu w rządzie



Grzegorz Braun (w środku), postulujący jak najszybsze powtórne otwarcie Nord Stream, ze Steffenem Kotré i Romanem Fritzem w Lubminie, 7 października

FOT. KONFEDERACJA KORONY POLSKIEJ/YOUTUBE

Kazimierza Marcinkiewicza. Przy czym pomysł byłego ambasadora nie zakładał zmiany trasy gazociągu, bo to byłoby niewykonalne. Propozycja mówiła o tym, aby Polska uzyskała jakąkolwiek kontrolę nad przedsięwzięciem poprzez wejście do organów kontrolujących gazociąg i dołączenie kapitałowe. Pomysł został odrzucony przez braci Kaczyńskich w atmosferze politycznej awantury. Dzisiaj można by jednak zapytać, przy wszystkich zastrzeżeniach do osoby pomysłodawcy: Czy faktycznie był tak zły? Stanowisko tradycyjnie i doktrynersko antyrosyjskich braci Kaczyńskich zakładało, że projekt jest skierowany przeciwko Polsce, i rzeczywiście taka interpretacja miała podstawy. Czy jednak nasz sprzeciw cokolwiek zmieniał? Literalnie nic.

Do kwestii powrócił jeszcze w 2008 r., już za rządów PO, były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Najpierw jego wypowiedź na temat Nord Stream ukazała się w jednym z niemieckich serwisów informacyjnych, a potem były prezydent wyjaśnił swój pogląd dziennikowi „Rzeczpospolita": „Nie ma co zamykać oczu na fakty. Jeżeli nie uda się zablokować gazociągu ze względu na zagrożenie dla środowiska, to Polska powinna się

eprasa.pl ed08a7b740



włączyć w projekt. Rurociąg może być częścią wspólnej europejskiej polityki energetycznej i w ten sposób możemy na tym projekcie skorzystać".

Natychmiast odezwały się oburzone komentarze przedstawicieli obu największych ugrupowań. Co ciekawe, „Rzeczpospolita" cytowała w tej roli polityków, którzy dzisiaj są już na marginesie: Konrada Szymańskiego i Bogusława Sonika. „Do tej pory wszystkie poważne partie w tym kraju uważały, że nie możemy się zgodzić na ten projekt. Kwaśniewski się z tego wyłamał. To bardzo szkodliwe" – stwierdził Szymański. Sonik zaś przypominał, że sam były prezydent wskazywał jakiś czas wcześniej na zagrożenia wynikające z Nord Stream.

NEGOCJACJE Z ROSJĄ

Patrząc z punktu widzenia późniejszych wydarzeń – czy jednak Aleksander Kwaśniewski nie miał racji? Konrad Szymański mówił, że „nie możemy zgodzić się na ten projekt". Przypomina to bardzo dzisiejsze opinie politycznego mainstreamu, dotyczące sposobu zakończenia (lub zawieszenia) wojny na Ukrainie. W ubiegłym tygodniu szef Biura Polityki Zagranicznej Kancelarii Prezydenta, Marcin Przydacz, podczas wystąpienia na forum w Krynicy oznajmił, że powinniśmy być „bardzo ostrożni" w kwestii negocjacji z Rosją i że takie negocjacje są dopuszczalne jedynie wtedy, gdy to Moskwa będzie pod presją i będzie przegrywać. Rzecz jednak w tym, że Polska w tej sprawie ma do powiedzenia jeszcze mniej, niż miała do w sprawie Nord Stream, więc takie deklaracje są jedynie śmieszne.

Dzisiaj sytuacja wydaje się zmierzać ku zakończeniu działań zbrojnych na Ukrainie. Być może nastąpi to jeszcze zimą, być może u jej końca, gdy Ukraina zostanie przyciśnięta rosyjskimi atakami i będzie bardziej skłonna do ustępstw. Możliwość tychże w kwestii gwarancji bezpieczeństwa dla Rosji zaczął zresztą sygnalizować nawet Wołodymyr Zełenski. To znamienne, ponieważ w Polsce samo pojęcie gwarancji bezpieczeństwa dla Rosji jest uznawane za przykład skrajnego onucyzmu.

NIEMIECKIE POŁOŻENIE

W Niemczech sytuacja jest politycznie dramatyczna. Poparcie dla Friedricha Merza szoruje po dnie, a AfD zdobywa kolejne przyczółki – dlatego deklaracje polityków tej partii w sprawie konieczności wznowienia działalności gazociągu, wysadzonego najpewniej przez Ukraińców we wrześniu 2022 r., mają dużą wagę. Ich uzasadnienie ekonomiczne jest oczywiste – Niemcy mają gigantyczne problemy gospodarcze przede wszystkim dlatego, że Energiewende (kurs na transformację energetyczną, który same przyjęły na początku poprzedniej dekady) opierała się na założeniu łatwego dostępu do taniego gazu. Gdy wskutek wojny na Ukrainie, a następnie aktu ukraińskiego sabotażu tego gazu zabrakło, cała konstrukcja się wywróciła. Co prawda, ostatnie wskaźniki gospodarcze są trochę lepsze niż wcześniejsze prognozy – PKB Niemiec zamiast o 0,6 proc. wzrośnie w tym roku o 1,1 proc.; rośnie delikatnie również wskaźnik optymizmu gospodarczego – jednak jest to odbicie z bardzo niskiego poziomu. Problemy są zaś ogromne: Niemcy mają poczucie, że biednieją. Powrót do importu węglowodorów z Rosji z pewnością złagodziłby sytuację, a ponieważ współpraca niemiecko-rosyjska ma wielowiekową tradycję, Niemcy zaś kierują się bezwzględnie własnym interesem, można założyć, że gazociąg ruszy, gdy tylko okoliczności polityczne na to pozwolą. Zwłaszcza że cena gazu w Europie bije rekordy – niedawno w holenderskim hubie TTF kontrakty na kolejny miesiąc przez chwilę kosztowały nawet 100 euro za jedną megawatogodzinę, co jest poziomem najwyższym od pierwszych miesięcy 2022 r.

ODNALEŹĆ SIĘ W SYTUACJI

Co z tego wynika dla Polski? Może pora odejść od doktrynerstwa i zacząć realnie patrzeć na naszą sytuację. Oddzielić kwestie, na które możemy mieć jakikolwiek wpływ, od tych, na które wpływu mieć nie możemy. Skoncentrować nasze dyplomatyczne zabiegi na tych pierwszych, a w przypadku tych drugich – do których zalicza się sytuacja Nord Stream – zacząć jak najszybciej opracowywać koncepcję odnalezienia się w sytuacji, która od nas nie zależy, a najlepiej wykorzystania jej dla naszych korzyści. Niestety, wszystko wskazuje na to, że ten oczywisty postulat przekracza możliwości większości polskiej klasy politycznej, która zajmuje się głównie pouczaniem świata, jak powinien wyglądać. Świat, o dziwo, nie za bardzo słucha.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740



Piotr Semka

„Wielki” powrót Szymona Hołowni



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Pozycję lidera Polski 2050 odzyskuje jej inicjator. Tyle że dla Tuska nie jest to już żaden partner. Liczyć się z Hołownią nie musi już wcale

Nie planowałem takiego rozwoju sytuacji, ale trzeba złapać stery – tymi słowami Szymon Hołownia ogłosił swój powrót do roli lidera Polski 2050. Pytany, czy planował taki wielki powrót, niegdysiejszy gwiazdor TVN, zarzeka się, że absolutnie nie. Odejście z rządu wicepremier i szefowej Polski 2050 Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz miało być dla niego zaskoczeniem. Jak deklaruje, dowiedział się o nim z mediów.

„Ale ponieważ się to dokonało, to nie ma co marudzić, złapać stery, jeżeli kapitan odszedł [...]. Ten statek jest za cenny, żeby ładował się na jakieś rafy”.

Jak wyjaśnił Hołownia, nie chce on, aby miejsce Trzeciej Drogi zajęła Konfederacja:

„Jestem wierny swoim ideałom. Trzeba stworzyć lepszą propozycję, coś w centrum, co będzie wyborem dla tych, którzy są dziś zmęczeni i jednymi i drugimi, a nie chcieliby zostawić Polski bez swojego głosu. Oni coraz częściej patrzą na Konfederację jako naturalny drugi wybór, bo jest największa w tych okolicach i mówią: »No, to dobrze, to niech oni. A Konfederacja nic nie robi«”.

PONIŻEJ PROGU WYBORCZEGO

Hołownia wraca do przewodzenia swej partii w momencie jej totalnego kryzysu. W ciągu ostatnich miesięcy Polska 2050 w żadnym z sondaży nie przekroczyła progu wyborczego. W niektórych badaniach zyskiwała wręcz śladowy wynik 0,5 proc. głosów. W tej sytuacji rzucanie wyzwania Konfederacji, która zdobywa w sondażach ok. 12 proc., brzmi jak kiepski żart.

Cały pomysł na stworzenie Trzeciej Drogi dawno już upadł. PSL dawno już odsunął się od Polski 2050. Ludowcy wydają się być pogodzeni z wizją wejścia na jedną listę Donalda Tuska. A co z partią Hołowni?

Gdy w 2022 r. rejestrował on swoje stowarzyszenie, wybrał nazwę Polska 2050. Chodziło o zaznaczenie, że jest to jedyne ugrupowanie, które zamiast skupiać się na bieżączce politycznej, myśli parę dekad do przodu. Dziś nikt nie jest w stanie zagwarantować, że Polska 2050 będzie jeszcze istnieć za półtora roku.

WAŃKA-WSTAŃKA

Czarną passę Hołowni rozpoczęły kontrowersje wokół przyjęcia przez niego w roli marszałka Sejmu przysięgi prezydenckiej od Karola Nawrockiego. Najbardziej agresywna część elektoratu Platformy zwyzywała go w sieci od sługusów Jarosława Kaczyńskiego, tchórza lub niekiedy wręcz ukrytego stronnika Putina. Z lubością wypominano mu niejawne spotkanie w mieszkaniu Adama Bielana z liderem PiS. Wręcz twierdzono, że wtedy, w lipcu 2025 r., doszło do jakiegoś przejścia chłopaka z Białegostoku na żołd prawicy. Wreszcie jesienią 2025 r. Hołownia musiał pożegnać się z fotelem marszałka Sejmu na rzecz Włodzimierza Czarzastego. 23 lutego 2026 r., przy okazji Ogólnopolskiego Dnia Walki z Depresją, reporter dziennika „Rzeczpospolita” Jacek Nizinkiewicz zasugerował, że Hołownia zmaga się z tą chorobą. Hołownia zaprzeczył tym doniesieniom, oświadczając: „Nie, nie choruję na depresję, zmagam się z innymi wyzwaniami. Jestem na dobrej drodze, leki działają, odzyskuję siły”.

Ten komunikat był wewnętrznie sprzeczny. Hołownia dementował, że jest w depresji, ale jednocześnie tajemniczo wspominał o jakichś innych wyzwaniach i „byciu na dobrej drodze”. Nietrudno było powiązać to z wcześniejszymi skargami Hołowni na skalę hejtu, któremu został poddany po ujawnieniu jego kolacji z Kaczyńskim, a potem po zaprzysiężeniu Karola Nawrockiego. W międzyczasie jego partia przeżyła najpierw wybory na następcę Hołowni, a potem doszło do rozłamu. Gdy kierownictwo nad partią wygrała w demokratycznych wyborach minister funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, jej rywalka ogłosiła secesję i wraz z ok. połową klubu parlamentarnego Polski 2050 założyła nowe ugrupowanie Centrum. Według kuluarowych plotek w Sejmie Paulina Hennig-Kloska została wraz z kolegami zachęcona do szukania szczęścia na własną rękę obietnicami od Donalda Tuska, że będą bardzo przychylnie traktowani przy ustalaniu wspólnej listy koalicji 15 października w wyborach do Sejmu w 2027 r.

W mocno osłabionej Polsce 2050 zapanowała dziwaczna sytuacja. Szefem klubu został mało znany polityk Paweł Śliz. Pierwszą wiceprzewodniczącą partii została równie nikomu nieznana Ewa Schaedler, a drugą, tym razem zwyczajną wiceprzewodniczącą, została posłanka z tylnych ław – Wioleta Tomczak. Na dodatek Hołownia odsunął się od udziału w jakichkolwiek imprezach, na których występowała nowa liderka Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Nikt z partii nie wspierał swojej szefowej, która była coraz bardziej lekceważona przez Donalda Tuska. Według przecieków z Rady Ministrów obecny premier z lubością nie dopuszczał do głosu Pełczyńskiej-Nałęcz, a nawet publicznie ją upokarzał.

W odpowiedzi pani minister nie tylko nie przyznawała, że straciła już wiarę

eprasa.pl ed08a7b740

w przyznanie jej stanowiska wicepremiera, lecz także zaczęła się coraz krytyczniej dystansować od głównej linii rządu. A Hołownia ani słowem nie występował w obronie nowej liderki. Trudno było nie wiązać tego z jego nadziejami na uzyskanie od Tuska wsparcia w staraniach o jakąkolwiek funkcję międzynarodową. Wciąż powracały spekulacje, czy miejscem dla byłego marszałka Sejmu nie ma być funkcja ambasadora RP przy Stolicy Apostolskiej.

We wrześniu 2026 r. okazało się, że Hołownia najwyraźniej ma ochotę znów powrócić na czoło swojej partii. To wtedy podał się do dymisji z funkcji szefa klubu Polski 2050 Paweł Śliz, a wybór na stanowisko Hołowni – jak donosiły media – został przyjęty jednogłośną aprobatą całego klubu. Teraz Hołownia mógł czekać już tylko na to, kiedy Pełczyńska-Nałęcz nie wytrzyma nerwowo spychania na margines rządu. I stało się to wieczorem, w czwartek 23 października. Nie obeszło się zresztą przy okazji bez złośliwego prztyczka od pani minister. Pełczyńska odchodząc, pisała Hołowni tak:

„Życzę mu, by przypomniał sobie, w imię jakich wartości szedł do władzy".

Hołownia najwyraźniej odreagował te słowa furią. Już następnego dnia, w piątek 24 października, zarząd Polski 2050 w błyskawicznym tempie wyrzucił ją z partii.

Co charakterystyczne, poinformował o tym najpierw sam Hołownia, a dopiero potem potwierdził to jeden z posłów klubu 2050, Michał Gramatyka. Oficjalna formuła była niejasna: „Za działanie na szkodę ugrupowania".

Hołownia tak hamletyzował na X: „To dla naszego środowiska bardzo trudne, ale wobec znanych faktów niestety nieuniknione".

Nie poinformowano, kiedy odbędzie się wybór nowego przewodniczącego. Milczy na ten temat także sam Hołownia. Woli ogólnikową formułę bycia kimś, „kto musiał chwycić za ster statku". Oprócz Hołowni nie słychać o nikim, kto by sygnalizował chęć rywalizowania z nim o przywództwo. To też wiele mówi o stanie partii.

Na ujawnionych przez Telewizję wPolsce24 taśmach z narad władz Polski 2050 Pełczyńska-Nałęcz utrzymywała, że Hołownia wiele razy chodził do Tuska, proponując mu jej usunięcie ze stanowiska ministra. Były autor książek o tym, jak być dobrym człowiekiem – w polityce zmienił się w bardzo bezwzględnego gracza.

Ale i sama pozycja Hołowni jest niezwykle słaba w koalicji. Tusk po demonstracyjnym triumfie nad Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz tym bardziej nie musi się liczyć z żadnymi życzeniami Polski 2050. Tuż po dymisji Pełczyńskiej-Nałęcz Hołownia wyraził nadzieję, że to ktoś z ich szeregów obejmie wolny fotel ministra funduszy i polityki regionalnej. Ostrzegał, że jeśli tak się nie stanie, to jego partia wprawdzie nie opuści koalicji, ale nie będzie uczestniczyła w pracach rządu.

We wtorek 27 października rozeszła się wieść, że nową „ministrą" funduszy będzie Agnieszka Bartol, nijak niezwiązana z Polską 2050.

Jak staro-nowy lider zareagował na ten afront Tuska? Hołownia w ostrym wpisie na X skrytykował Pełczyńską za „ucieczkę z rządu", która sprawiła, że ich partia traci Ministerstwo Funduszy. A potem spotkał się tego samego dnia z Tuskiem, by przyjąć do wiadomości odebranie resortu funduszy Polsce 2050. Hołownia poinformował o nim tak: „Zyskałem zapewnienie, że Polska 2050 utrzyma wpływ i swój udział w odpowiedzialności za sprawy kraju. Zarysowane wstępne ustalenia sfinalizujemy i zakomunikujemy niebawem" – napisał.

Dziennik „Rzeczpospolita" twierdzi, że Hołownia chce być zarówno wicepremierem, jak i ministrem kultury.

Gdyby tak się stało, ze swoim fotelem musiałaby pożegnać się Maria Cienkowska.

Ale czy staro-nowy lider Polski 2050 ma jakieś pole ruchu wobec lidera KO? Niespecjalnie.

Polska 2050 ma w gabinecie tylko jednego ministra, szefową resortu kultury Martę Cienkowską i ośmiu wiceministrów. Szansa na to, że zechcą opuścić swoje ciepłe posadki, aby zaprotestować przeciwko poniżaniu Polski 2050, nie jest raczej zbyt duża.

Na dodatek Wioleta Tomczak, wiceprzewodnicząca tego ugrupowania, nie kryje, że partia jest wewnętrznie podzielona. Jak wyznaje w jednym z wywiadów: „Nastroje są różne – tego nie ukrywamy [...], są zwolennicy Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, którzy teraz bardzo mocno atakują parlamentarzystów. Z drugiej strony są, nie powiem, że przeciwnicy – ale racjonalne osoby, które patrzą na to, że jesteśmy dorosłymi ludźmi, którzy chcą kreować politykę i każdy w tej polityce może mieć własne zdanie".

Co wynika z tego przydługawego wywodu? Niewiele.

Pani Tomczak nie chce nawet wyznać, czy jej partia wystąpi w przyszłych wyborach w pojedynkę, czy będzie szukać jakiegoś bloku.

„Takie decyzje podejmuje się na wiosnę roku wyborczego", ale dodaje: „Wierzę, że to, co teraz przechodzimy, na tyle nas wzmocni, że będziemy chcieli wystartować samodzielnie".

Jednak sondaże są bezlitosne. Polska 2050 jest od dawna pod progiem wyborczym.

PARTIA „Z NICZEGO" NIEWIELE MOŻE

Casus Szymona Hołowni to przykład, jak kończą partie powoływane przez jedną medialną gwiazdę, która przyciągała do siebie ludzi, którzy chcą podczepić się pod jej sukces. Hołownia powołał swoje ugrupowanie w 2018 r., licząc, że najpierw da się poznać Polakom w wyborach do Sejmu w 2019 r., a potem na fali tego sukcesu zdobędzie prezydenturę. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz zgodziła się być jego doradcą do spraw polityki zagranicznej, bo uznała, że jest to trampolina do kariery u boku domniemanej przyszłej głowy państwa. Dziś jest na politycznym aucie. Czy trudno to było przewidzieć?

Plan wygrania prezydentury w 2020 r. się nie udał i Hołownia tak naprawdę potem nie mógł już znaleźć dla siebie dobrej roli. Na dodatek, gdy rozpoczęły się na niego naciski, aby nie przyjął przysięgi prezydenckiej od Karola Nawrockiego, zwyciężył u niego instynkt samozachowawczy i nie zdecydował się na faktyczny zamach stanu. Zapłacił za to cenę gigantycznej dawki nienawiści ze strony swego obozu. Znacznie osłabiony, oddał stery nad partią swojej byłej doradczyni. Jednak ta miała nieszczęście narazić się wszechwładnemu Donaldowi Tuskowi, który w końcu zmusił ją do odejścia.

Teraz na tym gruzowisku po Polsce 2050 rolę lidera znów odzyskuje Hołownia. Tyle że dla Tuska nie jest to już żaden partner. Jedyne, nad czym może się zastanawiać obecny premier, to czy Hołownię lekceważyć, czy też czymś go kupić.

Lider Koalicji Obywatelskiej nie podjął jeszcze decyzji. Ale liczyć się z Hołownią nie musi już wcale.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740



FOT. GRZEGORZ MOMOT/PAP



Z dr. Andrzejem Anuszem, politologiem i historykiem, członkiem zarządu Instytutu Józefa Piłsudskiego

rozmawia Ryszard Gromadzki

Morawiecki jako szczepionka

RYSZARD GROMADZKI: Kryzys wokół Trybunału Konstytucyjnego, związany z próbą powołania przez rządzącą koalicję w jego skład sędziego Berka, zakusy postawienia przed Trybunałem Stanu prezesa Narodowego Banku Polskiego Glapińskiego, a przede wszystkim kolejna próba podważenia legalności wyboru prezydenta Nawrockiego i skoncentrowany atak ze strony obozu rządzącego na szefa państwa, wskazują, że kampania przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi już się zaczęła i że w tej kampanii nikt nie będzie brał jeńców?

DR ANDRZEJ ANUSZ: Uważam, że prekampania, a właściwie kampania przed wyborami, już trwa. Nie będzie żadnego antraktu. Przez ten rok będziemy obserwatorami coraz ostrzejszej walki politycznej i to w kilku wymiarach. Z jednej strony polaryzacja, która się w tej chwili rysuje, to jest głównie polaryzacja na osi premier Tusk – prezydent Nawrocki. Równolegle widzimy przegrupowania w obu rywalizujących obozach politycznych. Donald Tusk wyraźnie idzie w kierunku jednej, silnej listy.

Z drugiej strony, na prawicy mamy dzisiaj cztery podmioty i pewien znak zapytania, czy w ostateczności środowisko Mateusza Morawieckiego pójdzie do wyborów samodzielnie czy jednak dojdzie do reunifikacji z Prawem i Sprawiedliwością.

Zgodzi się pan z tezą, że Morawiecki i jego środowisko walczą teraz o polityczne przeżycie? Stąd biorą się coraz ostrzejsze ataki na Brauna ze strony byłego premiera i jego ludzi. Jeżeli Morawiecki chce samodzielnie zaistnieć w tych wyborach, to musi doprowadzić za wszelką cenę do obniżenia pozycji Brauna i Konfederacji Korony Polskiej?

Tak. Z jednej strony Morawieckiemu dużo łatwiej będzie odróżniać się od pozostałych ugrupowań prawicowych, bo rzeczywiście najostrzej występuje przeciwko Braunowi. Z drugiej strony przez takie działania wchodzi on w nar-

eprasa.pl ed08a7b740

rację mocno zbieżną z narracją obozu rządzącego, który bezpardonowo atakuje Brauna i Koronę. Zakładam, że Morawiecki poprzez ten atak chce osiągnąć dwa cele. Po pierwsze, odróżnić się od pozostałych ugrupowań prawicowych. A po drugie, pozyskać wyborców, którzy oscylują dziś wokół obozu rządzącego np. z Trzeciej Drogi, bardzo krytycznych wobec Konfederacji Korony Polskiej. Linia, którą stara się realizować Morawiecki, wyraźnie obliczona jest na budowanie tożsamości i politycznej odrębności jego środowiska.

Kiedy można oczekiwać przesilenia na prawicy? Mam na myśli scenariusz ewentualnego powrotu środowiska Mateusza Morawieckiego na łono Prawa i Sprawiedliwości.

W mojej ocenie Morawiecki ma jeszcze kilka miesięcy na decyzję. Ale ten czas będzie dla niego bardzo szybko biegł. Sądzę, że jeśli do stycznia nie uda mu się uzyskać trwałego poparcia na poziomie powyżej 6 proc., a najlepiej ok. 8 proc., to ryzyko związane z nieprzekroczeniem progu wyborczego będzie bardzo duże. Zawsze przed wyborami po obu stronach politycznej barykady pojawia się apel o niemarnowanie głosów.

Myślę, że jeśli PiS użyje tego hasła, to mogłoby to zepchnąć Morawieckiego trwale pod próg wyborczy. Były premier przez te kilka miesięcy musi pokazać nowe elementy programu, jeśli rzeczywiście chce się odwoływać do wyborców Trzeciej Drogi czy być może jeszcze innych części obozu rządowego, patrzących przede wszystkim przez pryzmat swojej sytuacji życiowej czy ekonomicznej. Morawiecki musi próbować wzbudzić w tej grupie jakąś emocję. Po drugiej stronie, gdyby się udało Tuskowi stworzyć jedną listę – chociaż moim zdaniem jest to mało prawdopodobne, ale nie można tego wykluczyć – to największy problem będzie z Lewicą. W takim scenariuszu Partia Razem zostaje jako jedyne lewicowe ugrupowanie samodzielne i podmiotowe, i w ten sposób uzyskuje dość istotny handicap polityczny.

Czy pakt senacki prawicy wciąż jest możliwy? Czy też ostry konflikt na linii Morawiecki-Braun definitywnie go przekreśla?

Pakt senacki jest realny, natomiast jedna lista prawicy do Sejmu jest moim zdaniem całkowicie wykluczona. Natomiast wracając do Morawieckiego, jeśli Tusk rzeczywiście stworzyłby jedną listę, nawet w wariancie, że jej jedynym udziałowcem obok Koalicji Obywatelskiej byłby PSL, to moim zdaniem byłaby to istotna okoliczność ułatwiająca zaaranżowanie tzw. małego zjazdu zjednoczeniowego i pójście środowiska Rozwoju Plus do wyborów wspólnie z PiS.

Czy przed wyborami na scenie politycznej może pojawić się jeszcze nowy podmiot polityczny wzorem Ruchu Palikota, Nowoczesnej czy Trzeciej Drogi? Wydaje się, że taki projekt, o ile by zaistniał, miałby małe szanse przebicia się do świadomości wyborców ze względu na deficyt czasu.

Zgadzam się, że czasu jest bardzo mało. Gdyby taka próba została podjęta, musiałaby ona nastąpić w ciągu najbliższych kilku tygodni i przez bardzo spektakularnego gracza, wywodzącego się raczej z kręgów gospodarczych niż stricte politycznych. Od pewnego czasu spekulowano o możliwym zaangażowaniu się w wybory pana Brzoski, no ale on się od tego odżegnuje, w związku z tym wydaję mi się, że w tej chwili jest mało prawdopodobne, żeby taki poważny byt polityczny powstał. Paradoksalnie, czego by nie mówić o Morawieckim, jego inicjatywa odgrywa bardzo dobrą rolę jako swoista szczepionka przeciwko ewentualnemu powstaniu nowego bytu, dlatego że on próbuje odwoływać się do emocji związanych z wyborcami, którzy szukaliby dla siebie jakichś nowych bytów politycznych. Ponadto zawsze było zapotrzebowanie na ugrupowanie o charakterze antysystemowym. Tę emocję antysystemową w tej chwili zagospodarowuje Grzegorz Braun.

Pakt senacki jest realny, natomiast jedna lista prawicy do Sejmu jest moim zdaniem całkowicie wykluczona

Jeśli okaże się, że czegokolwiek nie podjąłby się w najbliższych miesiącach Donald Tusk, to z sondaży będzie wynikało, że po wyborach jego obóz straci władzę, to można oczekiwać powtórki z roku 2014, kiedy Tusk zrezygnował z bycia premierem i wyjechał do Brukseli.

Powiedziałbym, że sytuacja jest bardzo specyficzna. W dużym stopniu odwołujemy się do scenariuszy i do działań, które mają charakter zamachu stanu. Wydaję mi się, że przesilenie może nastąpić nawet szybciej. Jeśli Tusk pójdzie w kierunku przejmowania Trybunału Konstytucyjnego czy NBP i będzie to tak chaotyczne i nieudolne, jak obserwujemy, to implozja obozu władzy może nastąpić jeszcze wcześniej niż tuż przed wyborami.

Bez aktywnej roli prezydenta Nawrockiego prawica nie wygra przyszłorocznych wyborów? Wydaje się, że prezydent ma szansę stać się polityczną kotwicą obecnej opozycji ze względu na silny mandat polityczny i wysokie poparcie społeczne.

W pełni podtrzymuję to, co mówiłem kilka tygodni temu, że prezydent Nawrocki jest gamechangerem polskiej polityki i myślę, że ten scenariusz, który obserwujemy od kilku tygodni, w pełni to potwierdza. Moim zdaniem do wyborów rola Nawrockiego będzie tylko rosła. Wynika to z jego umocowania konstytucyjnego, siły politycznej i – co trzeba szczególnie podkreślić – z racji silnego mandatu społecznego. Mandat wyboru powszechnego, jakim dysponuje prezydent Nawrocki, jest niezwykle istotny. Zwróćmy uwagę na to, że jak zsumujemy wyborców opozycji, daje to 53 proc. poparcia. Ta tendencja rośnie. A więc prezydent Nawrocki de facto symbolizuje i konsoliduje dziś wyborców opozycji, w związku z tym jego rola polityczna będzie miała w najbliższych miesiącach charakter fundamentalny. To, że Donald Tusk przekierował całe uderzenie polityczne w dużym stopniu w prezydenta, świadczy o tym, że ma on tego pełną świadomość. Polaryzacja, która rysuje się na poziomie Tusk-Nawrocki, moim zdaniem ma szansę sprzyjać właśnie obozowi dzisiaj opozycyjnemu.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Andrzej Anusz
– politolog i historyk, wiceprezes Instytutu Józefa Piłsudskiego.

eprasa.pl ed08a7b740



Piotr Gociek

Dynastia Kingów

Ojciec, matka, dwaj synowie – poznajcie najbardziej wpływową rodzinę pisarską od czasów rodu Mannów

Joe Hill tak naprawdę nazywa się Joseph Hillström King i był skazany na pisanie. Wszyscy znacie jego ojca, to Stephen King, najsłynniejszy twórca literatury grozy ostatniego półwiecza. Matka, Tabitha King, także jest pisarką. Gdy przeczytała napisaną przez 14-letniego Josepha pierwszą powieść, zawyrokowała, że jego przeznaczeniem jest literatura. Sam Joseph również tak uważał. Jego młodszy o pięć lat brat Owen także zajął się pisaniem. Nie tak często, nie z tak wielkim sukcesem, ale jednak. Joseph – czy raczej Joe, bo chce, by świat znał go pod tym imieniem – ma z kolei pięciu synów. Idę o zakład, że przynajmniej jeden z nich także zostanie pisarzem.

W CIENIU SŁAWNEGO OJCA

Tak czy inaczej, możemy o rodzinie Kingów mówić: „pisarska dynastia Kingów". Nie zaznaczy swego miejsca w historii literatury tak znacząco jak, powiedzmy, dynastia Mannów (Tomasz, Henryk, Klaus, Erika, Golo, Frido), ale popularności i poczytności Kingom odmówić nie można. Oczywiście życie w cieniu sławnego ojca nie jest łatwe. Dlatego Joseph Hillström King przyjął pseudonim Joe Hill i pilnie strzegł tajemnicy swej prawdziwej tożsamości. Nie chciał, by drukowano go za zasługi ojca, widząc tylko pokupne nazwisko. Przeszedł tę weryfikację pomyślnie, ale nie było łatwo, z początku odmowa za odmową, potem pojedyncze opowiadania w drugorzędnych antologiach. Aż wreszcie przyszły ciepłe słowa ze strony czytelników i krytyków oraz nagrody. Dopiero wtedy ujawnił światu, że jest synem Stephena Kinga. A debiutancka powieść „Pudełko w kształcie serca" stała się bestsellerem. – Celebrowałem sukces w typowy dla amerykańskiego pisarza sposób: rozwodem i załamaniem nerwowym – żartuje w wywiadach Joe Hill.



Joseph Hillström King, syn słynnego Stephena Kinga, przyjął pseudonim Joe Hill i długo pilnie strzegł tajemnicy swej prawdziwej tożsamości

FOT. FORUMGWIAZD/FORUM

Ostatnie tygodnie to prawdziwa inwazja Kingów na polski rynek. Joe Hill przyleciał na kilka dni spotkać się z fanami na Targach Książki w Krakowie oraz udzielić serii wywiadów w Warszawie. Jednocześnie na rynku pojawiła się jego najnowsza i najbardziej ambitna powieść „Król Smutek". Obok niej na półki trafiła najnowsza powieść Stephena Kinga napisana wspólnie z Peterem Straubem („Inne światy niż te" – domknięcie trylogii rozpoczętej „Talizmanem"), a do Amazon Prime serialowa adaptacja jego debiutanckiej powieści „Carrie". Kto ciekaw jest analizy krytycznej, też znajdzie coś dla siebie, bo właśnie przełożono na polski książkę

eprasa.pl ed08a7b740

„Potwory z archiwum. Mój rok grozy ze Stephenem Kingiem" pióra Caroline Bicks. Autorka otrzymała dostęp do roboczych wersji najbardziej znanych wczesnych utworów Kinga i poświęciła sporo pracy, aby przyjrzeć się temu, jak szukał własnego języka, jak szlifował styl, jak dochodził do najważniejszych kreatywnych decyzji. Bicks została w 2017 r. pierwszą kierowniczką Katedry Literatury na Uniwersytecie Maine w Orono. Katedra ta nosi imię, a jakże, Stephena Kinga.

O samym Stephenie Kingu i jego książkach pisałem już wielokrotnie, dziś kilka słów o jego dziedzictwie. Choć wielu mamy i mieliśmy w ostatnim półwieczu pisarzy popularnych i bardzo popularnych, to jednak jego status jest wyjątkowy. Jego powieści i opowiadania są nieustannie ekranizowane, jego wpływ na to, jak wyglądają współczesne opowieści grozy jest ogromny – nieważne, czy pozycjonowane są jako „w typie Kinga", „w kontrze do Kinga" czy jako pastisze (serial „Stranger Things"). Po prostu, oto pisarz, który dla olbrzymiego segmentu kultury popularnej stał się głównym punktem odniesienia.

PAKTOWANIE ZE SMOKIEM

Jego dziedzictwo w postaci piszących synów? Bez wątpienia bardziej utalentowany jest starszy, czyli Joe Hill, który odwiedził niedawno Polskę. Przyznał, że zdecydował się na wizytę pod wpływem fanów. Zauważył, że na jego autorskie spotkania na zachodzie Europy często przybywają czytelnicy z Polski. Całkiem niedawno była to np. ekipa 12, którzy specjalnie w tym celu wynajęli vana. Dwa dni przed przylotem do Warszawy (leciał z Londynu) na spotkaniu otrzymał od jakiegoś polskiego fana prezent w postaci anglojęzycznej edycji opowiadań Stefana Grabińskiego. Owen King pisze mniej, słabiej i częściej korzysta z pomocy ojca, ale i tak ma na koncie bestsellery.

Hill promował w Warszawie i Krakowie powieść „Król Smutek", najbardziej skomplikowaną i obszerną z dotychczasowych. Jak sam żartuje, jest to książka o zgubnych skutkach paktowania z pewnym smokiem. Przesycona aluzjami do fantasy w tradycji arturiańskiej, jest jednocześnie trochę opowieścią w duchu Petera Strauba. Kiedyś nie lubił pytań o sławnego ojca, dziś sam wyznaje, że Stephen King to jego ulubiony pisarz. Jak określić twórczość samego Hilla? Rzekłbym, że to „King light", bo Joe Hill poruszając się w kręgu podobnych motywów, zwykł dbać o to, by tempo akcji było szybsze, a okazji do śmiechu więcej. Przy niektórych powieściach człek zastanawia się, czy tu już aby nie pastisz horrorów. Ale jest to pytanie, które można zadać przy okazji konsumpcji niemal każdego współczesnego dzieła popkultury, zjadającej własny ogon. Wciąż najlepszy, moim zdaniem, jest Hill w opowiadaniach. Ale wiadomo, zarabia się na powieściach.

BÓJ Z DIABŁEM

Gdy przygotowując się do rozmowy z Hillem, czytałem jego książki, siłą rzeczy w głowie musiały pojawiać się porównania do Stephena Kinga, a skoro tak, to musiałem zacząć myśleć o tym, jak uchwycić fenomen tego ostatniego. Jedna rzecz wydaje mi się warta podkreślenia, jeśli uznamy (a myślę, że zgoda będzie powszechna) za największego speca od strachów współczesnego człowieka, za geniusza grozy ostatniego półwiecza, który napisał już chyba o wszystkim, czego tylko możemy się bać, to odkryjemy, że świetnie pasuje on do tych zsekularyzowanych czasów.

U Kinga (Kingów) świat nadnaturalny istnieje i manifestuje się w bardzo rozmaitych formach. Był czas, gdy regularnie sięgał po motywy chrześcijańskie. Szatan osobiście zabierał się do roboty w scenariuszu miniserialu „Sztorm stulecia", w opowiadaniu „Sklepik z marzeniami", a przede wszystkim w apokaliptycznej powieści „Bastion". W tej ostatniej także Pan Bóg interweniował własnoręcznie, by wspomóc resztki ludzkości prowadzące po globalnej pandemii bój z diabłem, który chce doprowadzić Ziemię do ostatecznej zagłady. Wszystko to nie jest jednak manifestacją światopoglądu Kinga, lecz po prostu sięgnięciem po rozpoznawalne motywy, by uatrakcyjnić i spersonifikować walkę dobra ze złem. Tę ostatnią King opisuje często, jednocześnie pozostając, jak sam mówi, wrogiem wszelkich zorganizowanych religii. Wychowany wśród metodystów, w dorosłym życiu jest teistą (uważa osobiście, że jakiś bóg istnieje) i wrogiem dogmatów oraz fanatyzmu religijnego. Czyż takie podejście do religii nie jest czymś bardzo charakterystycznym dla kultury Zachodu ostatnich 50 lat?

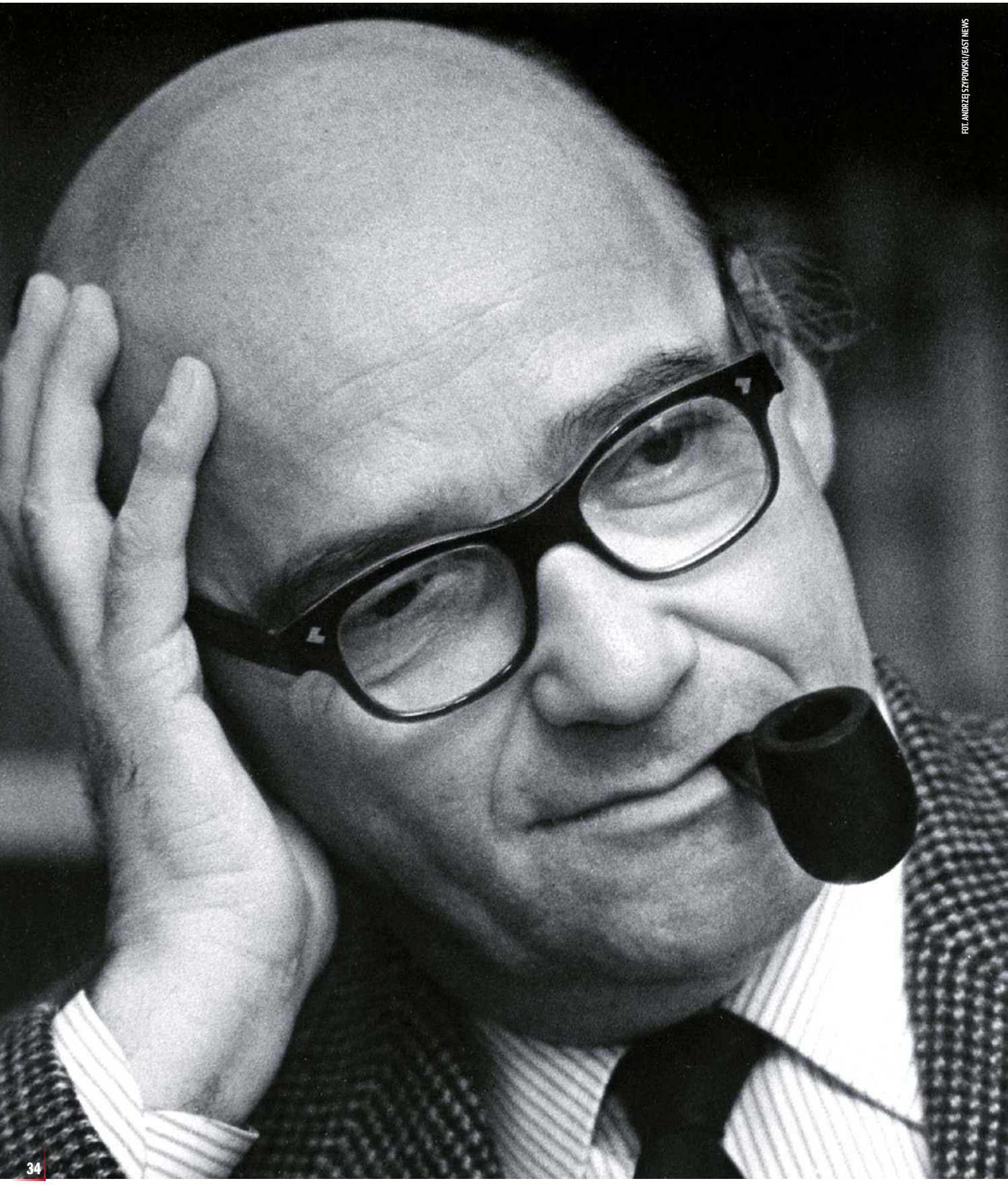
Mamy więc symbolikę, mamy motywy, nie mamy substancji. A z kolei jako praktyczny poszukiwacz wszelkich możliwych fabuł wymyśla także zaświaty bardzo odległe od tych, które widzimy, rozmawiając o Bogu chrześcijan. W powieści „Przebudzenie" okazuje się, że po tamtej stronie czeka na nas nie niebo, i nie piekło w biblijnym znaczeniu tych słów, ale kosmiczny horror w duchu opowieści H.P. Lovecrafta i wyzyskujący nas po śmierci potworni Przedwieczni. Taka jest natura zawodowego opowiadacza historii, ciekaw jest wszystkiego i wszystko może stać się materiałem do stworzenia atrakcyjnej fabuły.

Jest jednak coś, co możemy nazwać „religią dynastii Kingów" – mówią to po przeczytaniu większości książek Stephena Kinga i niemal wszystkich Joe Hilla, łącznie z niezliczoną ilością wywiadów. No i w oczach tego ostatniego widziałem to coś osobiście, gdy spotkaliśmy się dwa tygodnie temu w Warszawie, jak twarz mu się rozjaśnia, gdy rozmowa schodzi na ukochanych, podziwianych pisarzy. Mówić może o nich bez końca: gdy idzie o powieść historyczną to Patrick O'Brien i Bernard Cornwell; w kryminale Ross MacDonald, John MacDonald, Elmore Leonard, w dziedzinie grozy i horroru niezliczone nazwiska, a na czele tata. Podobnym erudytą bez pamięci zakochanym w literaturze jest Stephen King, który mógłby co roku pisać książki non fiction o swoich lekturach (ale zrobił to tylko raz, więc musimy cieszyć się tomem esejów „Danse Macabre").

Wśród wspomnień z dzieciństwa, które Joe Hill ceni najbardziej, jest taki oto obrazek: po obiedzie rodzina zbiera się w salonie, każdy siada wygodnie na swoim miejscu i zaczyna się wspólne głośne czytanie. Ojciec czyta pięć stron książki (to może być Jane Austen albo Herman Melville, a może być i coś lżejszego), następnie przekazuje tom mamie, która na głos czyta kolejne pięć, potem dzieciaki – niczym w wiktoriańskim domu 150 lat temu. Nie lekceważmy ich jako sojuszników w walce o ocalenie dziedzictwa Zachodu – każdy czytelnik oderwany od ChataGPT, by sięgnąć po prawdziwą książkę, to jakieś jedno maleńkie zwycięstwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740



FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl ed08a7b740

Wielki przechrzta literatury polskiej



Krzysztof Masłoń

Jeden z największych pisarzy chrześcijańskich przed wojną walczył z chrześcijaństwem i z Kościołem. Obruszał się, gdy mówiono o jego nawróceniu. Powtarzał, że nie był poganinem, by miał się nawracać. Po prostu uznał Nowy Testament za całkowite wypełnienie obietnicy Pańskiej zawartej w Starym Testamencie. I stał się Żydem chrześcijaninem

Roman Brandstaetter (1906–1987), autor „Jezusa z Nazarethu", jeden z największych pisarzy chrześcijańskich, „był – jak pisze Jan Grzegorczyk w wydanej właśnie nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka książce »Ukryty. Przypadki Romana Brandstaettera« – człowiekiem, którego życie rozpadało się na dwie nieprzystające do siebie części. Można powiedzieć, że niósł w sobie kryzys tożsamości. Ale był też swoim lekarzem. Przez całe życie leczył siebie. Nie poddawał się…".

Swojego Jezusa Roman Brandstaetter osadził w języku, realiach i tradycjach żydowskich. Można przyjąć, że w swoich utworach przywrócił Zbawicielowi semickie rysy. Nie mogło być inaczej. Ten wybitny pisarz chrześcijański był Żydem. Biblię poznał dzięki swemu dziadkowi, Mordechajowi Dawidowi Brandstaetterowi. To on nauczył go kochać Pismo Święte, wczytywać się w nie i odczytywać wciąż na nowo. Swoje zrobiło też sześć lat spędzonych przez przyszłego autora „Jezusa z Nazarethu" w Ziemi Świętej. Dopiero po opuszczeniu Palestyny, w 1946 r., przyjął chrzest. Miał za sobą połowę życia.

Pokazał nam Jezusa historycznego – Żyda. Jako pierwszy zwrócił uwagę na zabawny paradoks w „Quo vadis" Henryka Sienkiewicza. Jest tam sławna scena, w której Piotr ucieka z Rzymu w czasie prześladowań Nerona. „Quo vadis, Domine?" – pyta Jezusa, którego spotyka na Via Appia. Brandstaetter dziwił się: „Spotyka się dwóch Żydów i rozmawiają po łacinie?".

DRAŻLIWE PYTANIA

„Brandstaetter w młodości bardzo chciał stać się Polakiem, wejść w polską kulturę, lecz w pewnym momencie stał się jednym z czołowych syjonistów. Marzył, żeby wydostać się z Polski, pojechać do Palestyny i zakładać Państwo Izrael… A tych, którzy chcieli się asymilować, którzy w Polsce widzieli ojczyznę, nazywał renegatami, zdrajcami" – pisze Jan Grzegorczyk.

Ten ostry publicysta słowami walczył z narastającym antysemityzmem i faszyzmem, co przyczyniło się do nadania mu przydomku Literarischer Brandstifter (Literacki Podpalacz). Miał talent do stwarzania sobie wrogów. Czytamy: „Jędrzej Giertych nazwał go »żmiją wyhodowaną na własnej piersi przez Zygmunta Wasilewskiego«. I uważał, że Wasilewski niepotrzebnie zaszczycił tego »żydziaka« jakąkolwiek uwagą".

W piśmie „Opinia" miał rubrykę „Chwasty", wbijając szpilki różnym osobistościom tamtego czasu. Zresztą, „szpilki" to mało powiedziane. W 1933 r. sporządził np. taką notę: „Irena Krzywicka zamieściła w »Wiadomościach Literackich« kiepski artykuł pt. »Kto ma odpowiedzieć dzieciom na drażliwe pytania?«. Takich nędznych banałów nie czytaliśmy już dawno. Nawet w »Kronice« Słonimskiego. Zupełny brak wykształcenia pedagogicznego. I w ogóle brak solidnej wiedzy. Jak u Boya. Nie dziwota. Nieuctwo jest chorobą infekcyjną".

Nie minęło wiele czasu, a Słonimski nazwie go żydowskim Hitlerem i rasistą, a Leo Belmont swój artykuł o nim zatytułuje: „Obrzydliwy typ hitleryzmu w sosie żydowskim, czyli rasista – Roman Brandstaetter".

PROROCTWO ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO

Autor „Jezusa z Nazarethu", chętnie opowiadający o swoich spotkaniach życiowych z Jezusem, jak ognia unikać będzie wspomnień z lat przedwojennych. Przyczyny tego zajmująco wyjaśnił w powieści o swoim Mistrzu, nad którą pracował dziewięć lat, Jan Grzegorczyk, autor świetnych tomów prozy o ks. Groserze, redaktor książek twórcy „Powrotu syna marnotrawnego". A rzecz polega na tym, że Brandstaetter w latach 30., po powrocie z paryskiego stypendium, zaangażował się w działalność syjonistyczną. I pisał nie tylko takie antyhitlerowskie pamflety jak „Zmowa eunuchów" (1936), lecz także gwałtowne filipiki przeciw tzw. asymilatorom i „odszczepieńcom". Spod jego pióra wyszła też niezwykle charakterystyczna proza „Tragedia Juliana Klaczki", opublikowana w 1932 r. w „Tygodniku Żydowskim".

eprasa.pl ed08a7b740

Opisał w niej dzieje Jehudy Lejba Klaczki, poety, krytyka i publicysty, w swoim czasie wybitnego polityka i dyplomaty, który przeszedł na katolicyzm. I to zaparcie się wiary rodziców uznał autor „Tragedii…" za przyczynę wewnętrznego rozdarcia swego bohatera, też nazwanego przez niego odszczepieńcem. Zresztą od chwili przyjęcia przez niego chrztu przestaje się nim interesować, pozostawiając czytelnika z obrazem sparaliżowanego starca, samotnie rozmawiającego z sobą samym, w modlitwie szukającego pociechy i przebaczenia. Ale to ostatnie przynieść mu może dopiero śmierć.

Julian Klaczko zmarł w roku 1906, tym samym, w którym urodził się kolejny wielki przechrzta literatury polskiej Roman Brandstaetter, który często przywoływać będzie zdanie Alberta Einsteina o Panu Bogu, piszącym prosto po krzywych liniach ludzkiego życia.

W zapiskach Brandstaettera znalazł Jan Grzegorczyk taką oto opowiastkę odnoszącą się do nawrócenia autora „Jezusa z Nazarethu":

„Historia mojego nawrócenia. Wasilewski, Nowaczyński, kościółek w Krynicy… Pan Bóg przepowiedział mi przyszłość przez moich najbardziej zajadłych wrogów. Wasilewski napisał, że wrócę z Palestyny do Polski, do Ziemi Świętej nad Wisłę. Zmarł w chwili mojego powrotu… Adolf Nowaczyński, najbardziej zajadły antysemita, też nie doczekał mnie, a mógłby wtedy z satysfakcją powiedzieć, że jego proroctwo się spełniło. Pewnego dnia zatelefonował do mnie. Oznajmił, że przeczytał mój tekst »Tragedia Juliana Klaczki« i chce do mnie przyjść, aby porozmawiać. Byłem zszokowany. I zaskoczony. Zgodziłem się. Nie wiedziałem, jak odmówić.

Rozmowa miała charakter spokojny, choć nie wolny od różnych akcentów polemicznych. Nowaczyński był niewątpliwie pod wrażeniem uczciwości i odwagi – jak sam to określił – z jaką przedstawiłem dramat Klaczki. Żegnając się, spojrzał na mnie z całą powagą i powiedział coś, co wywołało we mnie gwałtowny sprzeciw: »Pan uczyni kiedyś to samo, co Klaczko. Jeszcze wspomni pan moje słowa«.

Mój Boże, że to właśnie on mi to przepowiedział…".

Brandstaetter dostrzegł zagrożenie dla Europy ze strony Niemiec, które wroga cywilizacji upatrywały w Jezusie

JĘZYK PISARSKIEJ MODLITWY

„Był rok 1935, płynął na statku »Polonia« do Palestyny i pośród błękitu Morza Egejskiego, o zachodzie słońca, rozmawiał z wybitnym działaczem syjonistycznym Nachumem Goldmanem. Zwierzał mu się ze swoich kłopotów z tożsamością. I w pewnym momencie Goldman powiedział mu:

– Ja panu odpowiem na te pytania krótko. Niech mi pan powie, w jakim języku pan się modli?

– Po polsku…

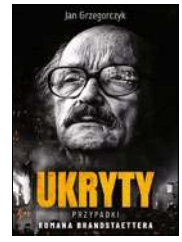
– W jakim języku oświadcza pan miłość swojej ukochanej?

– Po polsku – powtórzył Brandstaetter.

– Więc jesteś pan Polakiem i nie zaprzątaj już sobie więcej głowy tymi sprawami".

Szybko spostrzegł Brandstaetter zagrożenie dla cywilizacji europejskiej ze strony Adolfa Hitlera, dowodząc też, że Niemcy czołowego wroga cywilizacji upatrywali w Jezusie. W końcu to gen. Erich Ludendorff, były protestant, obraziwszy się na Pana Boga za niesprostanie hasłu „Gutt mit uns", wrócił się do germańskich bożków z Wotanem na czele. Niejednokrotnie cenzura zdejmowała teksty Brandstaettera, widząc w nich zagrożenie dla sojuszu z Niemcami. A numer „Opinii" z listopada 1934 r. skonfiskowany został w całości. Znalazł się w nim materiał z opisem tego, jak „nazistowska hołota" na wiecu przed domem Schillera w Weimarze z okazji jego 175. urodzin, mówiła o Schillerze jako prekursorze idei nazilandu, ukazywała go jako „ubermenscha". Brandstaetter odnotował, że „straż pełniło czterech dobrze zbudowanych pederastów w obcisłych spodenkach, patrzących na siebie lubieżnie".

O Rosji Sowieckiej pisze najpierw z entuzjazmem, z czasem jednak entuzjazm ten gaśnie, by przerodzić się w jawną krytykę Stalina, którego po zamordowaniu Kirowa nazywa samodzierżawcą. A komentując z odrazą zachowanie oskarżonych w procesach moskiewskich wzajemnie się obwiniających, czyni wyjątek dla Karola Radka, nazywając go – wbrew faktom – jedynym uczciwym. O Radku wygadywano zresztą w Polsce wyjątkowe bzdury, podkreślając, że urodził się we Lwowie, a do szkół chodził w Tarnowie, jakby miało to jakiekolwiek znaczenie. Brandstaetter znał jego siostrzenicę, Annę Sobelson, a o nim samym pisał, że „ma ogromne poczucie humoru". „W każdym razie to jest szalenie dziwne – powiada Jan Grzegorczyk – cała ówczesna prasa donosi, że na procesie najpodlej ze wszystkich, bez godności zachował się właśnie Radek. A Brandi [tak w środowisku dominikańskiego wydawnictwa W Drodze" nazywano Brandstaettera – przyp. K.M.] do końca obstawia nie tego konia, a raczej obstawia świnię i podłą kanalię. Ujawnia wręcz rozpacz emocjonalną po jego stracie".



JAN GRZEGORCZYK „UKRYTY. PRZYPADKI ROMANA BRANDSTAETTERA" ZYSK I S-KA 2026

WSZYSTKIEGO W BRÓD

A co takiego stało się w 1945 r., że Brandstaetter wtedy właśnie zaczął flirtować z komuną? No, niech będzie, że z emigracyjną lewicą. Niewątpliwie wpływ na ten „ideowy" wybór wywarł Stanisław Kot, jego profesor z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wyrobił mu stypendium, dał też zajęcie w nasłuchu radiowym jerozolimskiego oddziału Polskiej Agencji Telegraficznej.

Stanisław Kot „w czasie wojny – pisze Jan Grzegorczyk – stał się politykiem. I według większości opinii – tak jak wielkim był historykiem, tak był marnym, a wręcz szkodliwym politykiem. Potępiał komunizm, a jednocześnie był zafascynowany Stalinem. Jego misją było oczyszczenie wojska z wszelkich ludzi sanacji…

[…] Brandstaetter był wielkim antystalinowcem, nie wybaczał miłości do Stalina. Miał u siebie »teczkę ześwinień«, w której zebrał dokumenty na swoich kolegów i koleżanki, którzy popisali wierszyki ku czci Stalina. Czemu w tej teczce nie udokumentował »miłości« swojego profesora? Z kolei Kot niena-

eprasa.pl ed08a7b740

widził Piłsudskiego, więc tępił piłsudczyków. Brandstaetter miał nabożny stosunek do Marszałka. Pisał ody ku jego czci. Więc zaparł się swojego mistrza. Na jakiej płaszczyźnie spotkali się z Kotem?

[…] w czasie mojej pierwszej rozmowy z Branstaetterem padło to nazwisko. Spieraliśmy się o coś i w pewnym momencie on mówi: »Mój profesor Stanisław Kot powtarzał: zbrodnią jest nie wiedzieć«. No więc, tymczasem jestem zbrodniarzem. Nie wiem, jak to się stało, że Kot zrobił mu wodę z mózgu. Kot uchodził za człowieka mściwego, pamiętliwego, intryganta. Czemu Brandstaetter poszedł z nim na jakiś układ, on, który był zawsze niezależny i zrywał wszelkie kontakty, jeśli uznał, że ktoś mówi głupoty? Dlaczego Brandstaetter podpisał mu cyrograf? Dzięki niemu wyjechał z Jerozolimy i poznał swoją żonę, Reginę. Więc pewnie ze względu choćby na to jedno był mu w stanie wybaczyć wszystko".

„Powrót do Polski okazał się sukcesem, ale i upadkiem. Brandstaetter pod wpływem tego sukcesu oślepł i ogłuchł na to, co w ojczyźnie naprawdę się wtedy działo". W 1947 r., po paru tygodniach pobytu w kraju, pisze do żony, do Rzymu: „Kochanie moje, Polską jestem zachwycony. Idzie, Bogu dzięki, ku całkowitej normalizacji stosunków, kraj stwarza sobie nowe oblicze kulturalne i społeczne i mam nadzieję – głębokie przekonanie – po tym, co widzę i słyszę – że doczekamy jeszcze dobrobytu w Polsce! Mało dobrobytu. Takich form społecznych i kulturalnych, które będą w pełni dokumentem naszej narodowej wielkości. Rany powoli zabliźniają się, a rodacy mają w sobie tyle witalności, że można by nią obdzielić pół Europy. Co za żywotność narodu…! Wszystkiego w bród, dyskusje i polemiki, w kawiarniach rojno, teatry pełne… Będzie dobrze? To wszystko jest wysiłek na miarę gigantów. Serce mi się raduje, gdy widzę, jak z gruzów rodzi się nowe życie! To już nie frazes! To jest fakt!".

MARTWY CHRYSTUS ŻYJE

Roman Brandstaetter wyznawał: „Ja wierzę w objawiony charakter Pisma Świętego […], wierzę w objawioną naukę Chrystusa, i w to, że pewnego poranka zacznie się ona wypełniać. Gdybyśmy tę wiarę stracili… bo, widzi Pan, wiara jest ważniejsza od nadziei. Można nie mieć nadziei, ale nie wolno stracić wiary […]. Są sytuacje beznadziejne, w których człowiek może trwać w godności dzięki swojej wierze. Jeżeli człowiek traci wiarę, następuje katastrofa, załamanie wewnętrzne. Wiem jedno: bez wiary człowiek istnieć nie może. Tylko z nią może istnieć w pełni, pełnosprawnie […]. Proszę jednak pamiętać, że poddanie się woli Bożej nie ma nic wspólnego z biernością, z wewnętrznym bezwładem. Jest to tylko akt zaufania, pokładany w niezbadanej Mądrości".

Grzegorczyk kierował się zasadą wpajaną mu przez Brandstaettera, że pisarz nie pisze, jak było, ale jak mogło być

A przecież ten jeden z największych pisarzy chrześcijańskich przed wojną walczył z chrześcijaństwem, z Kościołem… Pisze o nim Jan Grzegorczyk, że „miał bardzo krytyczny stosunek do Kościoła, który wedle naszej wiary założył Jezus, dając polecenie: Idźcie na cały świat i głoście Ewangelię. Więc w okresie przedwojennym on tego polecenia na pewno nie akceptował ani nie rozumiał. W drugiej połowie swego życia z kolei uważał, że nie ma nic ważniejszego w życiu, niż głosić Jezusa.

On do Jezusa się całe życie zbliżał, pozornie jakby się od Niego oddalał i z Nim walczył".

Najważniejszą duchową przemianę przeżył Roman Brandstaetter pewnej nocy w grudniu 1944 r. w Jerozolimie, za sprawą reprodukcji rzeźby przedstawiającej ukrzyżowanego Chrystusa. Ten wizerunek, oprawiony w ramkę, zawiesi później w swoim mieszkaniu. I będzie pamiętał, że martwy Chrystus żyje. Obruszał się, gdy mówiono o jego nawróceniu. Powtarzał, że nie był poganinem, by miał się nawracać. Po prostu uznał Nowy Testament za całkowite wypełnienie Obietnicy Pańskiej zawartej w Starym Testamencie. I stał się Żydem chrześcijaninem.

Jego przemiana miała, jak się zdaje, nie wyłącznie duchowe motywy. Dokonała się w bardzo trudnym dla niego momencie. Dowiedział się o śmierci swoich zagazowanych w Treblince rodziców, opuściła go pierwsza żona, skłócił się ze środowiskiem żydowskim na 10 lat wyrwie się nawet stamtąd do Zakopanego. Ale to właśnie w Poznaniu powstaną najważniejsze jego dzieła, na czele z „Jezusem z Nazarethu", wydanym – o czym warto pamiętać – w Instytucie Wydawniczym PAX.

Na premierach jego sztuk pojawią się Wanda Wasilewska i Jakub Berman, szybko jednak wszystkowiedzący marksiści stwierdzą, że dramaty te „nie oddają ideologii naszej współczesności", i odtąd będzie Brandstaetter toczył swą prywatną walkę w imię prawa do wolności przekonań i wolności słowa. W efekcie np. jego „Milczenie" grane będzie (z sukcesem) w Paryżu, Wiedniu czy Sztokholmie, ale w Krakowie weto miejscowego kacyka partyjnego sprawi, że dramat pojawi się tam na deskach scenicznych – i to w Nowej Hucie – dopiero w 1982 r.

Jan Grzegorczyk napisał o Brandstaetterze książkę, która po kosmetycznej redakcji z powodzeniem mogłaby zostać uznana za rozprawę habilitacyjną. Ale swojego „Ukrytego" zbudował – jak wyjaśnia – „bez jednego gwoździa przypisu i śrubki bibliografii". Celowo. Powstała niezwykła opowieść o niezwykłym człowieku i twórcy. Kierował się przy tym zasadą wpajaną mu przez Brandstaettera, że pisarz nie pisze, jak było, ale jak mogło być. Talent pisarski Jana Grzegorczyka, jego niezwykle empatyczny stosunek do swojego bohatera, ba, wręcz miłość do niego, przy zachowaniu wierności wobec faktów, często stawiających jego Mistrza w niekorzystnym świetle, wszystko to sprawiło, że powstała książka absolutnie wyjątkowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740



Z Bogumiłem Wójcikiem, pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Stanisława Wokulskiego wewnętrzna wolność

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Aleksander Rowiński i Adam Stawicki napisali – używając terminologii filmowej – prequele sienkiewiczowskiej „Trylogii", Andrzej Stojowski jej sequel, a pan postanowił kontynuować dzieje bohatera „Lalki". Nie obawiał się pan podejmować tak karkołomnego zadania?

BOGUMIŁ WÓJCIK: To oczywiste, że rozpoczynając pracę nad „Wokulskim", miałem pewne obawy, lecz fascynacja postacią Stanisława Wokulskiego i chęć wypełnienia literackiej luki zwyciężyły.

Przystępując do pracy nad „Wokulskim", miałem pełną świadomość, jak trudnego zadania się podejmuję. Bolesław Prus stworzył arcypowieść, która wrosła w polską kulturę, a otwarte zakończenie „Lalki" od pokoleń działa na wyobraźnię czytelników. Każdy z nas ma w głowie własną wersję dalszych losów Wokulskiego – jedni widzą go ginącego w ruinach zamku w Zasławiu, inni w Paryżu w laboratorium prof. Geista, a jeszcze inni wierzą, że zaczął wszystko od nowa.

Na pewno wyzwaniem było stworzenie wiarygodnego portretu psychologicznego Wokulskiego – człowieka zawieszonego między romantyzmem a pozytywizmem. Język książki miał w moim zamyśle oddać ducha XIX-wiecznej Warszawy, aczkolwiek nie popadać w sztuczną archaizację.

Jestem zafascynowany Prusem i uznałem, że jego bohater zasługuje na swoją kontynuację. Moja książka to wyraz głębokiego szacunku dla oryginału, ale też autorska próba odpowiedzi na pytanie, które od ponad stulecia towarzyszy Polakom: Co naprawdę stało się z Wokulskim?

Katalizator pańskiej decyzji stanowiły wieści o kolejnych ekranizacjach arcydzieła Bolesława Prusa?

Nie. Oczywiście jako pisarza i czytelnika cieszy mnie fakt, że opus magnum Bolesława Prusa wciąż rezonuje w popkulturze i budzi tak wielkie emocje. Jednak impuls do stworzenia kontynuacji miał zupełnie inne, znacznie głębsze podłoże.

Do napisania powieści skłoniła mnie przede wszystkim chęć zmierzenia się z wielką zagadką polskiej literatury – pytaniem, co się stało ze Stanisławem Wokulskim po zniknięciu w ruinach zasławskiego zamku. Prus zostawił nas w zawieszeniu. W moim odczuciu Wokulski nigdy nie był człowiekiem, który chciał umrzeć, może jedynie raz, w Skierniewicach, bezpośrednio po wielkim zawodzie miłosnym. To postać o zbyt potężnym instynkcie przetrwania, pasji i inteligencji, by tak łatwo zniknąć ze sceny.

Prawdziwym napędem było dla mnie pragnienie „uratowania" Wokulskiego przed destrukcyjnym, romantycznym mitem, a zarazem umożliwienie mu dalszego życia.

Moja książka, wydana nakładem Wydawnictwa Lira, nie powstała pod wpływem chwilowej mody czy rynkowego trendu związanego z adaptacjami filmowymi. To efekt długich przemyśleń i pełnego szacunku dialogu z Prusem. Chciałem dać czytelnikom, którzy tak jak ja tęsknili za tym światem, wierną realiom epoki opowieść o nowej drodze Stanisława.

Czy remedium na załamanie psychiczne znalazł on w biznesie?

Nie, to nie bezpośrednio wir interesów stał się dla niego wybawieniem. Gdybym zamknął jego dalsze losy wyłącznie w pogoni za nowymi kapitałami, zaprzeczyłbym psychologicznej głębi, którą zyskał dzięki Bolesławowi Prusowi.

eprasa.pl ed08a7b740



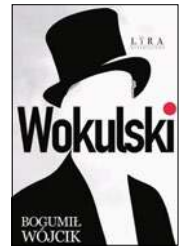
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W mojej powieści, która rozpoczyna się w 1879 r., Wokulski wyrusza w daleką podróż – przez Rosję i Bliski Wschód, aż do Japonii i Afganistanu. Ta droga to dla niego przede wszystkim wyprawa w głąb siebie, dzięki której ma zdefiniować swoją tożsamość na nowo. Mój Wokulski uczy się żyć na własnych zasadach, bez presji i oczekiwań otoczenia. W nowych realiach konfrontuje się z kobietami. Na jego drodze stają znane z „Lalki” Izabela Łęcka czy Kazimiera Wąsowska, ale i Rosjanka Anna Siergiejewna, krótko opisana przez Bolesława Prusa. Pozwoliłem sobie jednak w swojej książce na zmianę imienia bohaterki.

Prawdziwym remedium są dla niego ruch i zmiana perspektywy. Chciałem pokazać Wokulskiego, który ze stanu całkowitego wypalenia dochodzi do wewnętrznej wolności.

Dosięgała go w pana książce strzała Kupidyna?

W mojej powieści strzała Kupidyna jest kierowana, choć nie zawsze wprost, w stronę bohatera, lecz Stanisław Wokulski przestał już być ślepo zapatrzonym w ideał romantykiem. Wędrówka na Wschód skłania go do poszukiwania dojrzałej samotności i konfrontacji z własnym sercem na nowych zasadach. Nie podejmuje w kwestii tych relacji żadnej ostatecznej decyzji. Zakończenie pozostaje otwarte…



BOGUMIŁ WÓJCIK „WOKULSKI” WYD. LIRA 2026

Związek Wokulskiego z Rosjanką może się wydawać, zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy, niepoprawny politycznie…

Nie możemy zapominać, kiedy i w jakich czasach rozgrywa się powieść. Przykładanie współczesnej kalki poprawności politycznej do rzeczywistości schyłku XIX stulecia nie jest po prostu ani stosowne, ani możliwe.

Reaktywował pan również innych bohaterów „Trzech pokoleń”, jak pierwotnie miało się nazywać opus magnum Aleksandra Głowackiego?

Tak, spotkamy Kazimierę Wąsowską, Helenę Stawską, pana Mraczewskiego czy Juliana Ochockiego.

W tle widzimy obroty koła historii…

W mojej powieści wielka historia końca XIX w. staje się, mam nadzieję, wielowymiarowym tłem, które bezpośrednio kształtuje nową drogę życiową Stanisława Wokulskiego po jego zniknięciu z Warszawy. Ówczesna sytuacja geopolityczna nie stanowiła dla mnie statycznej dekoracji. Była ona raczej siłą sprawczą metamorfozy bohatera.

Akcja powieści Prusa rozpoczyna się krótko po wojnie rosyjsko-tureckiej (1877–1878), na której Wokulski dorobił się fortuny u Prusa. U mnie Wokulski wyrusza najpierw do Rosji – w momencie jej potężnej ekspansji terytorialnej i gospodarczej – co stwarza idealne warunki dla człowieka o szerokich horyzontach biznesowych.

Droga Wokulskiego wiedzie aż do Japonii. Pod koniec lat 70. XIX w. intensywnie się modernizowała i otwierała na Zachód – po stuleciach izolacji! Ta dynamiczna, pełna kontrastów sceneria staje się dla bohatera idealnym zwierciadłem jego własnej, wewnętrznej rewolucji.

Cieszy mnie, że nie zauważył pan w poczynaniach Wokulskiego stalkingu, o czym fantazjują feministki.

Jako pisarz unikam czarno-białych diagnoz. Wokulski to człowiek o wielkim umyśle i formacie, który jednocześnie stał się niewolnikiem własnego wyobrażenia o kobiecie. Izabela jest zresztą aktywną uczestniczką gry, którą prowadzi z Wokulskim, i moim zdaniem nie ma w sobie nic z ofiary.

Gdy czyta się pańską książkę, widać zauroczenie – to chyba właściwy termin – autora „Lalką”…

Oczywiście, że napisanie powieści „Wokulski” wynikało z bezpośredniej fascynacji „Lalką” Bolesława Prusa. Tak książka, jak serial w reżyserii Ryszarda Bera były od dzieciństwa mocno obecne w życiu mojej rodziny.

Myślę, że te wieloletnie przemyślenia skłoniły mnie do podjęcia literackiego dialogu z niedopowiedzianymi losami głównego bohatera. Książka stanowi próbę zmierzenia się z dziedzictwem XIX-wiecznego pozytywisty i romantyka oraz znalezienia rozsądnej alternatywy dla dalszych losów Wokulskiego.

Widział pan już najnowsze adaptacje filmowe „Lalki”? Pytam, zastanawiając się, czy sprzedałby pan prawa do swej powieści Netflixowi?

Widziałem obie najnowsze adaptacje „Lalki” – zarówno tę kinową, jak i serialową na platformie Netflix. Wersja Macieja Kawalskiego jest bliższa literackiemu pierwowzorowi. Interpretacja Pawła Maślony jest bardziej wariacją na temat „Lalki”. Myślę, że najpiękniejsza w sztuce jest wolność autora w tworzeniu swojego dzieła. Reasumując: sprzedałbym prawa do mojego „Wokulskiego” Netflixowi, jednak chciałbym zachować pewien wpływ na scenariusz, tak by duch powieści został zachowany.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Bogumił Wójcik
– z wykształcenia prawnik, z zamiłowania historyk. Autor powieści historycznych charakteryzujących się wielką dbałością o realia epoki, kreślących jednocześnie pełnokrwistych bohaterów. Jest autorem powieści „Kraj za morzem”, „Outremer. Ziemia Obietnic” i „Outremer. Cienie Wenecji” – rozgrywających się w średniowieczu – oraz najnowszej pt. „Wokulski”.

eprasa.pl ed08a7b740



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

tv+

Szczyt świata



★★★★★★

REŻ. JENNIFER PEEDOM
„TENZING”
USA 2026

wyst. Genden Phuntsok, Tom Hiddleston, Willem Dafoe

Dziesięcioletni chłopak wypasający stado jaków spotyka dziwnych ludzi: mają wielkie skórzane buty, mnóstwo bagaży i maszerują na Czomolungmę. Chłopak przymierza buty jednego z nich. Nie wie, że wkrótce będą to buty truposza. George Mallory zaginął bez wieści w roku 1924 podczas próby podejścia na szczyt. To jemu przypisuje się słynną odpowiedź na pytanie „dlaczego chce wejść na Everest”. „Bo jest” – odrzekł Mallory.

Film Jennifer Peedom to hołd dla tych, którzy w pionierskich czasach próbowali dokonać rzeczy niemożliwej. W centrum mamy wyprawę z 1953 r. (zakończoną sukcesem), drugi temat to życie Tenzinga Norgaya, który towarzyszył Edmundowi Hillary'emu podczas ostatniego ataku. Obaj spełniali marzenie, obaj mieli swoje prywatne powody, by ruszyć w góry. Krajobrazy są fantastyczne. Połowę filmu nakręcono w Nepalu (dzieciństwo i młodość Tenzinga oraz majestatyczne ujęcia Everestu z oddali). Drugą połowę w Nowej Zelandii, gdzie miejscowe szczyty i lodowce udawały wysokie partie Himalajów. Autor zdjęć Stefan Duscio skomponował z tego zachwycającą całość, rzadko zdarza się, by w filmach alpinistycznych udało się osiągnąć ten rodzaj imersji.

Są tu i szpile wbijane w zadufanych Anglików – dowódca wyprawy z 1953 r., pułkownik John Hunt, kieruje ekspedycją jak operacją wojskową, na chwałę imperium brytyjskiego, w szczególności nowej królowej (Elżbiety). Kolonialne poczucie wyższości nie jest zarezerwowane jedynie dla niosących bagaże Szerpów; także Nowozelandczycy biorący udział w wyprawie traktowani są z lekką pogardą i nazywani „Kiwi”. Willem Dafoe był perfekcyjnym wyborem, by zagrać Hunta, tak jak Tom Hiddleston jest świetnym Hillarym. Ale na uwagę zasługuje przede wszystkim tybetański aktor Genden Phuntsok, który zagrał dorosłego Tenzinga.

„Tenzing” to kino przygodowe w starym stylu, sławiące ludzką odwagę, upór i kreatywność. Antykolonialne przesłanie jest na miejscu, bo Brytyjczycy byli, jacy byli. Ponadto to przypowieść – przynajmniej jeśli idzie o Tenzinga – o ostatnich, którzy będą pierwszymi. To właśnie on, biedak, służący, sierota, outsider pogardzany przez tych, wśród których się wychowywał, stanął ostatecznie na szczycie świata. ©℗

GRA TYGODNIA: „SAGRADA”

Najnowsza edycja tej gry zachwyci zarówno starych, jak i nowych graczy, a przede wszystkim tych zauroczonych bazyliką Sagrada Família. Z pozoru zasady są proste: za pomocą kolorowych kości należy zbudować wylosowany przez siebie wzór witraża. Trzeba jednak pamiętać o kilku niełatwych wytycznych, np. by nie kłaść obok siebie elementów o tych samych kolorze czy wartości. Wygrywa ten, kto zgromadzi najwięcej punktów zwycięstwa, ale już sam efekt



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

estetyczny każdego dzieła jest nagrodą – wydawca zadbał o kolorystykę i brokatowe szczegóły kości imitujących szkła witraży. ©℗

Anna Zalewska

- ***Gatunek: logiczna, strategiczna***
- ***Producent, wydawca: Rebel***

eprasa.pl ed08a7b740

Marsz przemiany

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. YANN SAMUELL
„CAMINO DLA OPORNYCH” („COMPOSTELLE”)
FRANCJA 2026

wyst. Alexandra Lamy, Julien Le Berre, Mélanie Doutey

W amerykańskim kinie drogi bohater porusza się samochodem, w ostateczności autobusem albo ciężarówką. W europejskim – musi iść piechotą, żeby zbyt szybko nie dotrzeć do celu. Centralną postacią „Camino dla opornych” jest nauczycielka, przeżywająca kryzys wieku średniego. Straciła pracę, rozstała się z mężem, nie potrafi dojść do ładu z córką. W takich sytuacjach odważni reagują ucieczką do przodu. Frédérique to mężna kobieta i przyjmuje ofertę opieki nad nastolatkiem w kryzysie (który przy bliższym poznaniu okaże się młodocianym kryminalistą). Wierzcie albo nie, państwo francuskie zrobi wszystko, by zaprzeczyć, że w konfrontacji z pokoleniami X, Y i Z poniosło sromotną wychowawczą klęskę. Zaakceptuje nawet resocjalizowanie gagatków z poprawczaka na pielgrzymim szlaku.

Adam, zagrożony odsiadką, wybiera peregrynację, choć gadatliwa Frédérique działa mu na nerwy. Są jednak skazani na swoje towarzystwo przez trzy miesiące, a do przejścia są 2 tys. km (dziwne, bo zaczynają w Le Puy-en-Velay, skąd do Santiago de Compostela jest znacznie bliżej). Camino jako terapia? Może być gorzej, zważywszy na to, że szlak figuruje na osławionych listach „rzeczy, które musisz zrobić, zanim umrzesz”, i tylko czekać, aż pielgrzymi znikną w tłumie turystów ateistów. Film Samuella, który we Francji obejrzało ponad 1 mln widzów, może ten proces przyspieszyć. Bagatelizuje bowiem trudności, epatując widokiem najbardziej pocztówkowych fragmentów Camino.

Wiara pojawia się incydentalnie. Owszem, wędrówkę inicjuje błogosławieństwo księdza, potem nasi bohaterowie będą kontemplować urodę gotyckiej świątyni, zostaną ugoszczeni przez zakonników i przenocują w klasztorze. Dla patrona szlaku – św. Jakuba – zabrakło miejsca w kadrze, mamy za to medalik ze św. Krzysztofem i figurę Maryi z Dzieciątkiem. Najbardziej religijna deklaracja padająca z ekranu brzmi: „Aż chce się uwierzyć!”. Cóż, taki mamy nad Sekwaną klimat. Scenarzyści zmierzają do celu prostą ścieżką, co zwykle rozdrażnia krytyków. Mniemam, że francuska odpowiedź na „Drogę życia” Emilio Esteveza nie mogła być inna, a w Polsce zostanie przyjęta tak samo ciepło jak w ojczyźnie. ©℗

Wiesław Chełminiak

DOIGRAŁEŚ SIĘ!

„Człowiek zabił. Zamknięty w pokoju wspomina okoliczności, które uczyniły z niego mordercę”. Taką frazą zaczyna się film, będący efektem kolaboracji wielkiej trójcy francuskiego kina: Jeana Gabina, Arletty i reżysera Marcela Carné, od którego śmierci minęło równo 30 lat. Jego twórczość opatrzono etykietą „poetycki realizm”. Tymczasem „Brzask” jest przede wszystkim realizacyjnym majstersztykiem. Z tego powodu nie powinien być pokazywany w szkołach kształcących przyszłych kapłanów X muzy. Wpędziłby ich tylko w kompleksy. Dzisiaj od posępnych melodramatów lepiej sprzedają się pseudoromantyczne komedie, jednak przesłanie filmu („z kłamcą i kobietą do ładu nie dojdziesz”) jest zaskakująco współczesne. Gabin, grający proletariusza w kaszkiecie i z sercem na dłoni, coś o tym wiedział. Właśnie rozstał się z drugą żoną. ©℗



FILMCLASSIC

★★★★☆☆

REŻ. MARCEL CARNÉ
„BRZASK” („LE JOUR SE LÈVE”)
FRANCJA 1939

wyst. Jean Gabin, Jules Berry, Arletty



ANNA ZALEWSKA

DO ZOBACZENIA

Szyk i konwenanse

GDZIE? Muzeum Łazienki Królewskie, Warszawa
KIEDY? do 13 grudnia

Widzowie urzeczeni najnowszą ekranizacją kinową powieści Bolesława Prusa nie powinni pominąć tej wystawy. W trzech budynkach Łazienek, które były jednym z planów zdjęciowych filmu, zebrano 32 kostiumy wykorzystane w „Lalce” Macieja Kawalskiego. Są to ubiory stworzone przez Katarzynę Lewińską i Tomasza Ossolińskiego, nakrycia głowy zaprojektowane przez Martę Galik, a także buty z pracowni Vandy Novak.

„W »Lalce« strój to więcej niż moda. Szyk jest sposobem budowania pozycji w świecie, w którym konwenanse wyznaczają reguły towarzyskiej gry. Ubiory kształtują wizerunki filmowych bohaterów i stają się nośnikiem społecznych kodów […]” – informuje muzeum.

Na wystawie możemy podziwiać fakturę materiału, hafty, koronki, aplikacje i inne szczegółowo odwzorowane na podstawie powieści detale, a przede wszystkim rzemiosło i wielki trud stojący za ich realizacją. ©℗



FOT. PAWEŁ CZARNECKI/MLK

eprasa.pl ed08a7b740

MOJA PÓŁKA

Balladziści z ulicy Kamiennej



KRZYSZTOF MASŁOŃ

Trwa festiwal Agnieszki Osieckiej. Po jej listach do Janusza Minkiewicza i Jerzego Giedroycia kolejną książką, której nie mogą przegapić miłośnicy twórczości tej wyjątkowej poetki i autorki tekstów najpiękniejszych polskich piosenek, jest opowieść o jej związku z równie legendarnym pisarzem, Markiem Hłaską. O rozwianie licznych mitów narosłych wokół stosunkowo krótkiej i niezwykle burzliwej historii tej love story dwojga artystów, którzy stali się symbolami swej epoki, pokusili się w długiej rozmowie Karolina Felberg, autorka biografii „Osiecka. Rodzi się ptak", na której drugi tom czekamy, i Radosław Młynarczyk, odkrywca niepublikowanych utworów twórcy „Ósmego dnia tygodnia", jego biograf („Hłasko. Proletariacki książę").

Osoby do mitów szczególnie mocno przywiązane czeka w trakcie lektury tej książki niejedno zaskoczenie. Dowiedzą się np., że Hłasko „narzeczonym" Osieckiej stał się poniekąd z wyrachowania. Jego drugie z nią zaręczyny miały miejsce przed podróżą pisarza na Zachód, a tej się zwyczajnie bał: „Jechał sam. Nie znał języków. Nie miał kontaktów […]. Jako narzeczony Osieckiej mógł liczyć na wsparcie jej licznych znajomych zza żelaznej kurtyny, a były to niezwykle wpływowe osoby. Wystarczy przypomnieć, że w listopadzie 1957 r. Agnieszka odwiedziła z Sapiehą samego Arthura Koestlera! I to gdzie? W jego angielskiej posiadłości".

„Oboje lokowali (Osiecka, a także Hłasko napisaliby raczej „lokalizowali") swoje opowieści na prowincji, na peryferiach, na marginesach rzeczywistości i w półświatku – w domenach ballady miejskiej, podwórkowej albo ludowej". „Mogłabym zaryzykować tezę – powiada Karolina Felberg – że w przypadku Agnieszki konsekwencją tych balladowych projekcji i fascynacji były nie tylko takie przeboje jak »Polka kryminalna« […], lecz także związek z Markiem i kompletnie nieudane małżeństwo z Wojciechem Frykowskim, synem zamożnego przedsiębiorcy, niezbyt poważnym producentem filmowym, jednocześnie awanturnikiem, cwaniakiem i macho".

A bohaterowie książki znacząco zatytułowanej „Byle nie o miłości" po Październiku 1956 r., a już na pewno po jego fiasku, „zobaczyli, że obowiązujące kryteria, czyli monogamiczna heteronorma, nie tylko nie przynoszą spełnienia, lecz także nawet nie stanowią już twardej waluty w relacjach i interesach. Zgodzili się zatem bezgłośnie na balladyzowanie czy też romantyzowanie własnych losów".

Tyle że Hłasko, jak twierdził cytowany tu Zygmunt Hertz, „nie miał wielkiej skłonności do kobiet, stąd jego powodzenie, przez obojętność. Miał homoseksualny podkład i starannie to ukrywał, był w nieustannym wewnętrznym konflikcie". A Osiecka? „Zdaniem Grzegorza Lasoty była ukrytą lesbijką".

Drażniące jest wytykanie bohaterom książki „nieoczywistych, choć wcale nie marginalnych gestów polegających na queerowaniu rzeczywistości" czy odkrycie tego, że 19-letnia Osiecka dostrzegła wysiłki ludzi skrzywdzonych przez historię i biedę, którzy „również walczą o dobrostan i prawo do piękna". W latach 50. Polacy martwić się mogli co najwyżej o drzewostan, a już o ich dobro wystarczająco dbała komuna, do której za młodu Osiecka umizgiwała się aż miło. W tym kontekście jej młodzieńczy akces do PZPR jest czymś więcej niż tylko biograficzną ciekawostką.

W czasie transformacji ustrojowej Agnieszka przypomniała sobie o frankistowskich czy nawet ariańskich przodkach, choćby dlatego, że Lipowscy, czyli przodkowie jej matki, faktycznie należeli do wyznawców Jakuba Franka. Pada pytanie: – Czy odnalazłaby się w „Księgach Jakubowych" Olgi Tokarczuk? – Myślę, że byłaby nimi zachwycona. No jakżeby inaczej. Arystokratów za to nie cierpiała. „Za pasożytnictwo i pompierstwo" – dowiadujemy się. Czy dlatego „latami kpiła […] z arystokratyzmu i ułańskości Andrzeja Wajdy"?

Rozmówcy na potrzeby książki przypominają mało znane epizody z życia swoich bohaterów, z różnym jednak skutkiem. Na przykład gdy Młynarczyk nadmienia, że Hłaskę próbowano wrobić w porwanie i zabójstwo Bohdana Piaseckiego, okazuje się, że Felberg o zamordowaniu syna przewodniczącego PAX nie słyszała. W ramach wyjaśnień słyszy więc od rozmówcy, że ów przewodniczący był „rzadkiej próby kanalią i przedwojennym falangistą". Powiedziałbym, że podobnie zdecydowani w swoich ocenach byli jedynie stalinowscy propagandyści.

O Agnieszce Osieckiej myślę zawsze dobrze i z podziwem dla jej niezliczonych znakomitych tekstów. Prozę Marka Hłaski przeżyłem, prawda, że swego czasu, mocniej niż kogokolwiek innego. Dlatego wdzięczny jestem autorom „Byle nie o miłości" za podtrzymywanie pamięci o Niej i o Nim. Ale czytelników namawiam, by do ponowoczesnych interpretacji ich życia i twórczości nadto się nie przywiązywali. Obecność mitu nie bierze się przecież znikąd. ©℗



★★★★★★

KAROLINA FELBERG, RADOSŁAW MŁYNARCZYK „HŁASKO/ OSIECKA. BYLE NIE O MIŁOŚCI" ZNAK, KRAKÓW 2026

eprasa.pl ed08a7b740



PIOTR GOCIEK

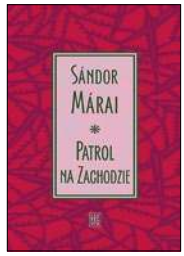
POCZYTANKI

Czas zwątpienia

Miało być letnisko pod Budapesztem, jednak pojawiło się zaproszenie z Londynu. Máraiowie ruszyli więc w podróż; najpierw przez Niemcy, potem przez Francję, z kilkudniowym postojem w Paryżu. Jadą, jak zapisuje Sándor Márai, „ostrożnie i podejrzliwie". Czasy radosnych i pełnych pierwszych zachwytów podróży młodzieńczych już dawno minęły. Był rok 1935. Chmury gromadziły się nad Europą. Reportaż, esej, dziennik z podróży – „Patrol na Zachodzie" jest tym wszystkim naraz – jest listem z czasów niepokoju. Márai z charakterystycznym dla siebie humorem opisuje Niemców jako ludzi, „którzy bez kompasu nie zrobią nawet kroku", ale ani on, ani nikt inny nie wie jeszcze, w jak krwawą podróż wyprawi Europę ustawiający wskazówki niemieckiego kompasu Adolf Hitler.

W wielu miejscach zabawna jest to książka, bo autor jest obserwatorem bystrym i ironicznym, niezależnie od tego, czy opisuje przygodnych towarzyszy podróży czy rozmaite znane persony. Niskie miesza z wysokim, dzieli się opiniami na temat popularnych powieści kryminalnych Dekobry, w Londynie zwiedza plan filmu „Kształt rzeczy przyszłych" wedle prozy H.G. Wellsa, najbardziej jednak zajmuje go co innego: stan ducha współczesnego człowieka. I naraz śmiech zamiera, bo wnioski są niewesołe. Co prawda w finale książki próbuje przekonać czytelnika (chyba siebie też), że wciąż żyją na starym kontynencie ludzie, „którzy nie potrafią oddychać inaczej, jak tylko powietrzem wolności", ale światło Zachodu świeci coraz wątlej. Paryż traci duszę, stając się zamerykanizowany, Wielka Brytania śni własny, osobny sen, przekonana, że nic złego przydarzyć się jej nie może. Fantaści malują obrazy nadchodzącej zagłady. Ale – co ważniejsze – nie tylko oni.

„Ruszył na Zachód szukać, na sposób Diogenesa, człowieka, kultury, lecz jego lampa świeciła już w zapadającym w tej stronie świata zmierzchu" – opisywał doświadczenie „Patrolu na Zachodzie" biograf Máraiego, Tibor Mészáros. Wielu przeczuwało, że coś się stanie, nikt nie wiedział dokładnie, co. Ważniejsze były zmęczenie, obojętność, poczucie wyczerpania. A zarazem pęd ku zmierzającej do zatracenia zabawie w stolicach, w uzdrowiskach. Cywilizacje umierają, gdy w siebie zwątpią. Oto wciąż aktualny zapis zwątpienia. ©℗



★★★★★★

SÁNDOR MÁRAI „PATROL NA ZACHODZIE" SW CZYTELNIK 2026

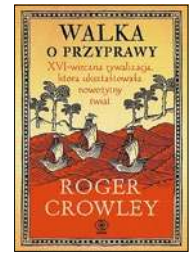
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowe (uzupełnione) wydanie jednego z najważniejszych poradników dla mężczyzn ostatniego ćwierćwiecza. Wiara, ufność Bogu, wierność, przedsiębiorczość, poczucie obowiązku – oto zapomniane cnoty, które są deską ratunku.



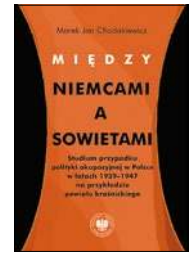
JOHN ELDREDGE „DZIKIE SERCE" W DRODZE

„XVI -wieczna rywalizacja, która ukształtowała nowożytny świat". Autor m.in. książki „1453. Upadek Konstantynopola" tym razem przygląda się handlowej wojnie między Portugalią a Hiszpanią o panowanie nad szlakami kupieckimi.



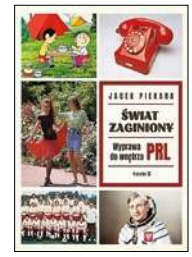
ROGER CROWLEY „WALKA O PRZYPRAWY" REBIS

Lata 1939–1947 w powiecie kraśnickim pod lupą historyka. Nietłumaczona dotąd, a fundamentalna praca wybitnego historyka: prawdziwy obraz walk z dwoma okupantami oraz działań partyzantek, w tym żydowskiej i czerwonej.



MAREK JAN CHODAKIEWICZ „MIĘDZY NIEMCAMI A SOWIETAMI" IPN

Podróży do wnętrza PRL ciąg dalszy. Popularny autor powieści fantasy tym razem najwięcej miejsca poświęca kulturze i popkulturze, zatem nie tylko obyczajom, lecz także lekturom, które zawładnęły wówczas wyobraźnią Polaków. ©℗ ***Piotr Gociek***



JACEK PIEKARA „ŚWIAT ZAGINIONY", T. 2 ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
POLSKIE ASY

Komiksowa adaptacja jednej z najważniejszych polskich książek o drugiej wojnie światowej. Uroku „Dywizjonu 303" Arkadego Fiedlera nie zdołały zabić nawet młyny szkół (lektura szkolna!). Twórca rysunkowej adaptacji to też postać niezwykła, jeden z najbardziej cenionych ilustratorów węgierskich, autor m.in malowań i oznakowań samolotów dla węgierskiego lotnictwa wojskowego. ©℗ ***Piotr Gociek***



GYULA POZSGAY „DYWIZJON 303" SCREAM COMICS 2026

eprasa.pl ed08a7b740



Lech Mażewski

Odzyskać niepodległość

Podstawowym hasłem, którym posługuje się obecnie Grzegorz Braun, jest wezwanie, aby odzyskać niepodległość, choć niekiedy możemy słyszeć o odzyskaniu suwerenności

Ale co to właściwie znaczy? Jakie znaczenie w tym kontekście ma rok 1939? Czy niepodległość ma wymiar tylko międzynarodowy czy także wewnętrzny?

SUWERENNOŚĆ A NIEPODLEGŁOŚĆ

Suwerenność oznacza formalną (prawną) niezależność władzy państwowej od jakiejkolwiek innej władzy wewnątrz i na zewnątrz państwa (w stosunkach z innymi państwami i organizacjami międzynarodowymi). Suwerenność państwa to taki stan prawny, w którym państwo ma pełnię i wyłączność sprawowanej przez siebie władzy, czyli że wszelkie decyzje, dotyczące państwa, tak w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej, podejmuje ono samo. Państwo, które zgadza się na takie rozwiązania prawne, by część decyzji, związanych z jego funkcjonowaniem, była podejmowana bez jego udziału czy też wbrew jego woli, przestaje być suwerenne. Nie ma wątpliwości, że współczesne państwo polskie nie spełnia tych kryteriów suwerenności, o czym często mówi Braun.

Od suwerenności należy jednak odróżnić pojęcie niepodległości. Terminy te są często mylone, ze szkodą dla jasności wywodów. Suwerenność odnosi się do sfery prawa, natomiast posługując się terminem niepodległość, chcemy dokonać opisu politycznej rzeczywistości. Stwierdzić, jak naprawdę wygląda położenie państwa albo na ile jakaś społeczność niepaństwowa jest w stanie kierować swoim losem. Pełna niepodległość oznaczałaby tyle, co faktyczne korzystanie przez państwo z możliwości zawartych w prawnym pojęciu suwerenności. Ale w przeciwieństwie do tej ostatniej niepodległość jest stopniowalna, dlatego państwo może być nie w pełni niepodległe. Oczywiście rację ma przywódca Konfederacji Korony Polskiej, że Polsce daleko do uznania za państwo w pełni niepodległe. Stąd postulat odzyskania niepodległości, choć w przypadku udziału w Unii Europejskiej należałoby także mówić o odzyskaniu suwerenności.

ROK 1939

Niedługo przed wybuchem drugiej wojny światowej zrodziła się koncepcja odtworzenia koalicji antyniemieckiej z 1914 r., uzupełnionej o Polskę. Warunkiem realizacji tego pomysłu była zgoda Warszawy na wkroczenie wojsk sowieckich na nasze terytorium, bo inaczej nie mogłoby one walczyć z Niemcami. Zwycięstwo koalicji brytyjsko-francusko-polsko-sowieckiej byłoby dość prawdopodobne, ale ze względu na polski sprzeciw do tego nie doszło. Obawialiśmy się, że wejście armii ZSRS na nasze terytorium będzie związane z utratą jego części, ograniczeniem niepodległości lub utratą suwerenności. Czy tak rzeczywiście by się stało, tego nie wiemy. Wiemy natomiast dwie rzeczy. Przede wszystkim od tego momentu nie uczestniczymy w podejmowaniu decyzji nas dotyczących, bo zdaniem mocarstw brakuje nam realizmu w ocenie sytuacji międzynarodowej. Ponadto 14 września 1939 r., czyli po dwóch tygodniach walk, wszystkie polskie armie były okrążone przez Wehrmacht, a trzy dni później władze polskie opuściły terytorium państwa. Z pewnością by nas to nie spotkało, gdybyśmy wystąpili przeciwko Niemcom w ramach czwórkoalicji. Nie wiem, czy Braun tak samo sądzi, ale każdy

eprasa.pl ed08a7b740



FOT. MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

inny pogląd dowodziłby jedynie, że walka o odzyskanie niepodległości może być oparta na nierealnych założeniach.

Formalna suwerenność Polski po klęsce wrześniowej została zachowana przez fakt istnienia instytucji państwowych na Zachodzie, ale niepodległość w całości utracono. Po latach 1944–1945 państwo stało się zależne od ZSRS, ale od 1956 r. krzywa niepodległości systematycznie wznosiła się do góry. W 1989 r. nie mieliśmy żadnego wpływu na zmianę hegemona z sowieckiego na amerykańskiego, co eufemistycznie nazywa się odzyskaniem niepodległości. Także w tym przypadku przedstawiciele mocarstw nie rozmawiali z nami o nowym położeniu międzynarodowym Polski, a jedynie zakomunikowano nam, że nastąpiła istotna zmiana w tym zakresie. Stąd postulat odzyskania niepodległości jest w pełni uzasadniony, z tym że nie należy dopuścić do utraty tego, co udało nam się uzyskać w sprawach wewnętrznych po upadku PRL. Z pewnością tym powinien kierować się Braun w swojej polityce. Przypadek Ukrainy poucza nas, jak łatwo jest przejść od sytuacji państwa, które mogło dominować w regionie, a tak było w chwili uzyskania przez nią niepodległości w 1991 r., do bez mała kupy ruin, jakim jest obecnie.

SAMOTNOŚĆ STRATEGICZNA POLSKI

Z początkowych rozważań wynika, że członkostwa Polski w UE i NATO mają zupełnie inny sens, zarówno dla naszej suwerenności, jak i niepodległości, z czego chyba nie w pełni zdaje sobie sprawę prezes Korony.

Bycie częścią UE oznacza postępujące ograniczenie zarówno suwerenności, jak i niepodległości na rzecz podmiotów dominujących w tej strukturze. Finalnie proces ten zakończy się powstaniem scentralizowanego państwa unijnego. Ale chęć opuszczenia UE nie byłaby jedynym remedium na tę sytuację. Można by postulować dokonanie takiej reformy instytucji unijnych, w której ramach przestają istnieć Komisja Europejska, Trybunał Sprawiedliwości UE oraz Parlament Europejski. Naczelną instytucją zreformowanej UE stałyby się ponownie spotkania szefów państw lub rządów państw członkowskich, których decyzje zapadałaby na zasadzie jednomyślności. Utrzymany zostałby wspólny rynek z możliwością ruchu bezwizowego. Komisja Europejska zamieniona na skromny sekretariat miałaby jedynie obsługiwać tę zreformowaną UE. W efekcie oznaczałoby to przywrócenie suwerenności państw członkowskich i istnienie możliwie dużego zakresu ich niepodległości. Przyjęcie przez Brauna tej propozycji miałoby też tę zaletę, że w sprawach unijnych występowałby on w jednym szeregu z politykami francuskiego Zgromadzenia Narodowego i Alternatywy dla Niemiec, nie licząc mniejszych ugrupowań europejskich.

Inaczej wygląda sytuacja z NATO. O ograniczeniu suwerenności w przypadku tej organizacji nie ma mowy, a zakres niepodległości zależy od prowadzonej przez dane państwo polityki. Można dążyć do bycia w sytuacji Turcji, o której nie zawsze wiadomo, czy jest jeszcze w pakcie, czy już go opuściła, a wszystko to wynika z dbałości o swoją niepodległość. Prowadzenie takiej polityki nie stoi na przeszkodzie obecności wojsk amerykańskich na własnym terytorium, choć prezes Korony uważa, że nie powinno ich być w Polsce.

Braun ma świadomość, że art. 5 paktu z 4 kwietnia 1949 r. nie jest żadnym stuprocentowym zabezpieczeniem naszej niepodległości, czego w Polsce nie chce się dostrzegać. Sygnatariusz tego aktu zobowiązuje się jedynie do podjęcia akcji, „jaką uzna za konieczną, nie wyłączając użycia siły zbrojnej, w celu przywrócenia i utrzymania bezpieczeństwa strefy północnoatlantyckiej", nie ma natomiast mowy o tym, że taki sygnatariusz będzie umierał – bez względu na własne

eprasa.pl ed08a7b740

interesy – za Warszawę. W tym sensie Marek Budzisz miał słuszność, pisząc o strategicznej samotności Polski. Nic tego nie zmieni, ponieważ żaden południkowy sojusz – od Skandynawii, przez Ukrainę, po Turcję – nie powstanie. Koalicja polsko-ukraińska zaś, a wcześniej myśl o wspólnym państwie – a wręcz mocarstwowe urojenia, które dominują nad Dnieprem – to, na nasze szczęście, uniemożliwiają.

Odpowiedź na tę sytuację w żadnym wypadku nie oznacza wysunięcia postulatu neutralności czy formułowania jakichś wizji pacyfistycznych, ale sprowadza się w radykalnej wersji do chęci posiadania własnej broni atomowej, czego wielkim zwolennikiem jest Braun. Nie wiem jednak, czy ma on świadomość, że wtedy polscy fizycy jądrowi, a może i wspierający ich politycy, byliby zabijani zarówno przez Amerykanów, jak i Rosjan. W obu przypadkach chodziłoby o to samo, czyli przeciwdziałanie naruszeniu zakazu proliferacji. Na dziś uzyskanie broni atomowej jest absolutnie nierealne ze względu na kompletną degrengoladę polskiej klasy politycznej, która nie byłaby w stanie temu podołać. Dopiero odzyskanie niepodległości i związane z tym pojawienie się nowych rządzących mogłoby zmienić tę sytuację.

Często twierdzi się, że dobrą odpowiedzią na samotność strategiczną Polski byłaby polityka wielowektorowa, ale przypadek Węgier pokazuje coś innego. Tuż przed zeszłorocznymi wyborami parlamentarnymi premier Victor Orbán potrzebował pożyczyć 20 mld dol. na ratowanie gospodarki. I nikt mu tej pożyczki nie udzielił: ani Waszyngton, ani Pekin, ani Moskwa. W ten sposób misternie budowana wielowektorowa polityka zagraniczna Budapesztu legła w gruzach. Okazało się, że wielowektorowość nie jest wcale tak dobrym instrumentem do obrony niepodległości, jak nam się o tym mówi. Dlaczego inaczej miałoby być w przypadku Polski?

I wreszcie na koniec: Braun powinien zastanowić się, czy w krytycznej sytuacji Polska nie powinna dokonać akomodacji do oczekiwań nowego hegemona. Dziś nie ma tu realnego zagrożenia, bo Rosja od prawie pięciu lat pokazuje swoją słabość w wojnie z Ukrainą, a Niemcy pogrążają się w szambie lewicowo-liberalnym. Prezes Korony nie musi głośno mówić, jak zachowałby się w takim momencie geopolitycznym, ale powinien wiedzieć, jaką politykę prowadziłaby Polska przez niego kierowana. Czy powtórzyłyby się wydarzenia z lata 1939 r.? A może należałoby się ugiąć, żeby nie dać się złamać? Umiejętność czekania na zmianę koniunktury w polityce jest wielką cnotą, a nie przejawem tchórzostwa.

NARÓD KOMPLETNY

Braun rozumie, że nie będzie możliwości odzyskania niepodległości przez państwo dopóty, dopóki nie wykształci się niepodległość wewnętrzna narodu. Tak myśleli i działali narodowi demokraci na przełomie wieków XIX i XX. Naród wewnętrznie suwerenny to zbiorowość świadomie kształtująca swój los, świadoma swoich celów. To ogół ludzi wolnych, zabiegający o los swoich najbliższych i lokalnej czy regionalnej wspólnoty. Zorganizowany w zeszłym roku ogólnopolski Kongres Inicjatyw Narodowych, Gospodarczych i Samorządowych służył przekonaniu się, jak daleko jesteśmy zaawansowani w budowie niepodległości wewnętrznej. Na początku października odbył się KINGS Lubelszczyzny, bo niepodległość wewnętrzna musi mieć też swój wymiar lokalny i regionalny.

To nie obecna inteligencja będzie przewodnikiem w walce o odzyskanie niepodległości państwowej przez Polaków

Naród wewnętrznie niepodległy to zbiorowość wierna swojemu historycznemu dziedzictwu, pielęgnująca własną tożsamość i umiejąca jej bronić. To naród kompletny, posiadający własną hierarchię elit: od moralnych, kościelnych, ideowych, kulturalnych, gospodarczych po polityczne. A z tym jest w ocenie Brauna bardzo źle.

Szczególną troskę prezesa Korony budzi kondycja polskiej inteligencji, która ciągle roi o narodowym przywództwie. W najnowszej książce „Polskie biesy" stwierdza on: „Polska inteligencja jest specyficznym reliktem przeszłości – ale bez perspektyw na przyszłość innych niż związane z utrzymaniem etatyzmu i klientelizmu. Inteligencja jest de facto chłopstwem pańszczyźnianym – pozbawionym własności, a przywiązanym dzisiaj do etatów i do kredytów. Do etatów, jeśli nie państwowych, to korporacyjnych, co na jedno w skutkach wychodzi – mając bowiem wybujałe przeświadczenie o własnej niezależności i przywiązaniu do wolności, inteligencja jest ostoją zniewolenia jako klasa ukonstytuowana i integrująca się na bazie kanonicznych przesądów inteligenckich: demokratyzmu (antymonarchicznego), etatyzmu (socjalistycznego), modernizmu (religijnego), pacyfizmu (hoplofobicznego), a jednocześnie judeoidealizmu (anty-antysemityzmu) i insurekcjonizmu (dziś przede wszystkim antyrosyjskiego)". Mocniej chyba nie można powiedzieć, że to nie obecna inteligencja doprowadzi do powstania wewnętrznej niepodległości narodu, a tym samym nie będzie przewodnikiem w walce o odzyskanie niepodległości państwowej przez Polaków. A więc kto miałby odegrać taką rolę?

NACISKI ZEWNĘTRZNE

Zakładając, że polityka Brauna zakończy się za jakiś czas sukcesem, suwerenność nie oznacza, iż państwo nie ulegnie naciskom innego państwa, instytucji finansowej czy grupy interesu. Suwerenność oznacza tyle, że inni (kimkolwiek by byli) nie mają żadnego prawnego wpływu na decyzję, którą podejmuje Polska. Ale nawet w takiej sytuacji nie uzyskamy pełni niepodległości, bo w rzeczywistości gospodarczo (chociaż powinniśmy korzystać głównie z węgla jako surowca energetycznego), finansowo (zbyt wielkie zadłużenie zagraniczne) lub politycznie (niemożność zniwelowania przewagi militarnej albo dyplomatycznej niektórych naszych sąsiadów) uzależnieni będziemy nadal od innych państw, organizacji międzynarodowych, korporacji ponadnarodowych, międzynarodowych instytucji finansowych czy grup interesu. Jednak decyzje nas dotyczące zapadałyby w Warszawie, a nie w zewnętrznych ośrodkach, jak ma to miejsce obecnie. I to właśnie oznaczałoby odzyskanie niepodległości przez Polskę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740

OPEN TEXAS HORIZONS

MISJA POLSKIEGO BIZNESU DO TEXASU

30.11 - 4.12 2026

Trwa nabór na **Misję Polskiego Biznesu do Texasu**, liczba miejsc jest ograniczona! **ZAPRASZAMY!**

TEXAS

Planujesz skalowanie firmy, jesteś start-upem, szukasz inwestorów lub chcesz wprowadzić swoje produkty i usługi na rynek amerykański?

A może chcesz otworzyć oddział produkcyjny w USA?
Bez podatków, bez wysokich cen paliw i energii?

Ta misja jest dla Ciebie!

50% RABATU
dla pierwszych 10 zgłoszeń na hasło:
DO RZECZY

ORGANIZATOR

INSTYTUT MIĘDZYMORZA

PATRONAT NAD MISJĄ

wprost
TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
tysol
Radio Wnet
DO RZECZY

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ! WWW.INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

691 502 025 SEKRETARIAT@INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

eprasa.pl ed08a7b740



Czterodniową podróż apostolską papieża Leona XIV do Francji śledziły tłumy wiernych, 26 września 2026 r.

FOT. LAURENT FERRIERE/HANS LUCAS AGENCY/FORUM

Bitwa o przyszłość Europy



Paweł Chmielewski

Jaka naprawdę jest Francja – i jaka jest Europa? Czy lepiej opisują je masy katolików wpatrzonych w Ojca Świętego czy masy migrantów i bandytów, które dokonują bezmyślnych zniszczeń w imię Allaha i socjalizmu?

Kiedy Leon XIV odwiedził Francję, entuzjazmowi w mediach nie było końca. Wszędzie pokazywano tłumy rozmodlonych katolików, opisywano fenomen chrztów młodzieży i dorosłych, stawiano na poważnie pytania o możliwość religijnego odrodzenia kraju, który nagle znowu był określany jako „najstarsza córa Kościoła". Sam papież nie dał się porwać emocjonalnemu uniesieniu. Katolików we Francji nazwał po prostu „małą trzódką", adekwatnie opisując rzeczywistość. W końcu na niedzielną Mszę Świętą chodzi regularnie ok. 2 proc. ogółu mieszkańców – mniej ludzi, niż mieszkało na terenie dzisiejszej Francji w czasach Karola Wielkiego. 98 proc. Francuzów do kościoła nie chodzi albo czyni to nader sporadycznie. Prawdopodobnie nad Sekwaną mieszka więcej praktykujących muzułmanów niż chrześcijan. Taka sytuacja nie jest niczym specyficznym dla Francji. Krajobraz postchrześcijański to codzienność wielu innych państw europejskich. Polska jest mu wciąż daleka, ale coraz bliższa.

Leon był we Francji pod koniec września. Już w połowie października wydarzenia z tego samego kraju znowu zdominowały przekaz medialny. Tym razem nie chodziło jednak o nic pobożnego. Wręcz przeciwnie, na francuskie ulice wyszli nie katolicy, ale duże grupy przeważnie islamskich imigrantów, wspomagane przez grupy bandyckiej, socjalistycznej młodzieży. Spalili zabytkowy ratusz w Limoges, demolowali ulice i budynki, masowo okradali sklepy. Zamieszki rozlały się przez Alpy do północnych Włoch, objęły też część Belgii. Według danych policji tylko w ciągu jednego dnia, 17 października, w socjalistycznych demonstracjach we Francji wzięło udział 550 tys. osób – niewiele mniej, niż uczestniczyło we Mszy Świętej, którą Leon odprawił na Placu Zgody w Paryżu. Podczas gdy Ojciec Święty mógł kierować swoje słowa do „małej trzódki", przywódcy socjalistyczno-islamskich rozruchów mogą liczyć na szerokie poparcie społeczne. Najważniejszą postacią dla tego środowiska jest Jean-Luc Mélenchon, w młodości trockista, dziś ideolog rewolucji i przywódca partii Francja Niepokorna. Według aktualnych sondaży przedwyborczych Mélenchon może liczyć na kilkanaście procent głosów i wejść do drugiej tury.

ETYKA REWOLUCYJNA

Gdyby cywilizacyjne starcie o duszę Francji i całej Europy przebiegało pomiędzy „małą trzódką" praktykujących katolików a socjalistycznymi oraz imigranckimi wyborcami socjalistów, być może sytuacja nie byłaby jeszcze tak tragiczna, pomimo kilkukrotnej przewagi liczebnej tych drugich. Problem polega na tym, że w polu oddziaływania antykatolickiej rewolucji są nie tylko zagorzali, czerwoni przeciwnicy Kościoła, lecz także szerokie masy. Społeczeństwo, które zerwało z własną kulturą duchową, nie mogłoby funkcjonować bez zastąpienia jej inną kulturą. Katolicką etykę

eprasa.pl ed08a7b740

zastąpiła etyka rewolucyjna. Emanacją tego jest tzw. populistyczna prawica, czyli popularne ugrupowania kontestujące liberalne status quo. Kiedy w marcu 2024 r. francuski parlament głosował nad wpisaniem do konstytucji swobody zabijania dzieci poczętych, „za" było 780 deputowanych, a „przeciw" zaledwie 72. Większość Zjednoczenia Narodowego była w tej pierwszej grupie, tak jak prawdopodobna przyszła „prawicowa" prezydent Francuzów, Marine Le Pen. Podobną rewolucyjną etykę wyznają ci, którzy mają największe szanse odebrać rządy w Niemczech z rąk obecnego środowiska. Kiedy niedawno cała Europa patrzyła na zwycięstwo AfD w Saksonii-Anhalcie, prawie nikt nie zadawał sobie pytania, kim jest tak właściwie lokalny lider tej partii, Ulrich Siegmund. Trzydziestosześcioletni polityk już kilkanaście lat temu dokonał aktu formalnego wystąpienia z Kościoła katolickiego. W połowie października na kanale youtube'owym „The Economist" ukazał się ciekawy wywiad ze współszefową AfD, Alice Weidel. Ta lesbijka, która wychowuje dzieci wraz z „żoną" o korzeniach migracyjnych, deklarowała, że jest „bardzo liberalna", gdy idzie o formy życia i według niej każdy może tworzyć taką rodzinę, jaką chce. Aborcjoniści we Francji, apostaci i lesbijki w Niemczech – oto tożsamość ludzi, którzy są oskarżani przez europejską lewicę o „skrajną prawicowość". Cóż, Europa jest dziś niemal do cna zeświecczona. Żyjemy we wspólnocie politycznej, która w praktyce realizuje nietzscheańską ideę „śmierci Boga".

22 października Dykasteria Nauki Wiary opublikowała długi dokument na temat ewangelizacji. Nosi tytuł „Venite ad me", a jego autorem jest kard. Victor Manuel Fernández. Argentyński teolog jest znany z wielu kontrowersji w obszarze doktryny i nauki moralnej Kościoła, ale tym razem nie one przykuły moją uwagę. Otóż dokument powstał we współpracy z biskupami całego świata. Fernández prosił ich o to, by ocenili wyzwania przed misją ewangelizacyjną Kościoła. Wniosek: wszyscy widzą, że jest źle. Zerwana została kulturowa ciągłość, wiary katolickiej nie przekazuje się już w rodzinach tak, jak było to przez wieki. Efektem jest postępująca sekularyzacja. Nikt nie wie, co zrobić. Fernández zaproponował skupienie się na kerygmacie, czyli najbardziej podstawowej treści Ewangelii, która dotyczy zmartwychwstania Chrystusa i zbawienia, które nam oferuje. Jedynym pomysłem Stolicy Apostolskiej w obliczu obecnej sytuacji jest zatem totalny „reset" wysiłków ewangelizacyjnych.

Nie obwiniam Watykanu. Co można zrobić, zwłaszcza po latach trwania w soborowym paradygmacie liberalizacji? W 2024 r. ukazała się w Niemczech książka teologa Jana Loffelda pt. „Kiedy nie brakuje niczego tam, gdzie brakuje Boga". Loffeld, którego nie można bynajmniej posądzić o konserwatyzm, wskazywał na płonność wysiłków progresistów, którzy mają nadzieję na zainteresowanie młodych wiarą chrześcijańską poprzez dostosowywanie Ewangelii do świata. Według teologa współczesnych zeświecczonych mieszkańców państw postchrześcijańskich religia po prostu nie interesuje i tak naprawdę nie ma żadnego dobrego sposobu, by to zmienić. Książka Loffelda spotkała się z dużym zainteresowaniem w kilku krajach europejskich. Proklamacja klęski i bezradności, którą w pewnym sensie potwierdzają nie tylko późniejsze watykańskie spotkania i dokumenty, lecz także sama rzeczywistość, jak ta we Francji.

PLAN MINIMUM

Czy to oznacza, że katolikom została już tylko rezygnacja, przerywana okazjonalnym rauszem radości wywołanym przejazdem papieża? Być może wypada stwierdzić, że pod względem sytuacji religijnej i moralnej żyjemy w nowym Imperium Romanum. Władze są niechrześcijańskie, masy dekadenckie, a chrześcijanie to niewielka mniejszość – o tyle w lepszym położeniu niż w starożytności, że korzysta z liberalnych swobód, takich jak wolność kultu i słowa. To postawa, którą przyjmuje większość katolików. Leon XIV konfrontował się we Francji z lewicowymi politykami, a kiedy wracał samolotem do Rzymu, ostrze krytyki skierował przeciwko „populistycznej prawicy", dając w ten sposób do zrozumienia, że dosłownie nigdzie nie widzi sojusznika dla Kościoła katolickiego. Wielu wiodących myślicieli kościelnych dochodzi do wniosku, że wobec takiego stanu rzeczy należy po prostu chronić to, co mamy – czyli liberalne swobody. Pod koniec września na łamach francuskiej „La Croix" ukazał się artykuł sygnowany m.in. przez kard. Reinharda Marxa, arcybiskupa Monachium i Fryzyngi. Ten wyjątkowo wpływowy purpurat stwierdził, że Unia Europejska wcielała w życie wartości Ewangelii i dlatego należy ją chronić przed „populistami". Jeżeli potraktować ten apel bez złośliwości, to zobaczymy w nim właśnie plan minimum: próbę pogodzenia się z liberalną rzeczywistością, która może i nie jest zbyt katolicka, ale przynajmniej zapewnia stabilność funkcjonowania instytucji kościelnej.

Nie wiem, jak państwu, ale mnie stronnictwo „białej flagi" nie bardzo się podoba. Rozumiem chęć skupienia się na swojej wąskiej działce: praca charytatywna, głoszenie kazań, nieśmiałe próby podkreślania znaczenia Ewangelii dla życia społecznego, może czasem jakaś krytyka aborcji. Można się w tym całkiem wygodnie urządzić. Problem w tym, że – abstrahując od kwestii zasadniczych, jak prawda i wierność Ewangelii – to po prostu droga do samorozwiązania Kościoła. Sądzę, że stać nas, jako katolików, na coś więcej. Nie jest zupełnie wykluczone, że za jakiś czas przynajmniej część kościelnych decydentów dojdzie do wniosku, że prosta bezradność i unoszenie się na falach głównego nurtu nie są jednak najlepszym rozwiązaniem. Skoro wypróbowano już dosłownie każdy sposób na liberalizację, to – kto wie? – może komuś przyjdzie do głowy, że nie zaszkodzi spróbować jakiejś formy powrotu do ortodoksyjnej doktryny i tradycyjnej liturgii? Podstawowy problem: Kościół katolicki ewidentnie potrzebuje politycznej zachęty. Długie lata „dostosowywania się" do świata mogą się na coś przydać, jeżeli sam świat będzie bardziej konserwatywny. Skąd jednak prawicowcy w Europie mają wziąć źródło swojego autorytetu i odzyskać etyczną busolę, jeżeli Kościół im tego nie oferuje? Błędne koło. Żeby z niego wyjść, potrzebny jest albo cud Boży, albo wydarzenie polityczne, które na długo zmieni reguły demokratycznej gry. Ani jedno, ani drugie nie zależy bezpośrednio od nas. Róbmy zatem konsekwentnie swoje, dbając o ciągłość z naszą cywilizacją tam, gdzie możemy – nawet w morzu europejskiego kulturowego zerwania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl ed08a7b740

Ojciec z Wilna i inne nasze dusze



Marek Jan Chodakiewicz z Waszyngtonu

To pierwsze Zaduszki bez ojca, śp. Witolda Janusza Chodakiewicza (21 września 1937 r. – 1 sierpnia 2026 r., Warszawa). Z tej okazji chciałbym wspomnieć o Nim i o Jego przodkach

Miałem może pięć lat. Jechaliśmy taksówką znad Kanałku Żoliborskiego do domu, na Krasińskiego 29, róg Stołecznej w Warszawie. Na Placu Wilsona ktoś zajechał nam drogę, taksiarz bluzgnął warszawiacką wiązanką pod jego kierunkiem: „Co za cham zza Buga!".

Wnet stanęliśmy pod domem. Mój Ojciec uregulował należność i dorzucił napiwek, dodając: „To od chama zza Buga". Ten „krótki, żołnierski styl" – jak powiadał – miał we krwi, wpojony przez rodzinę. Nie tylko noblesse oblige, lecz także służba Polsce zrodzona z poświęcenia krwi się liczy najbardziej. Uczono nas, że Bóg pobłogosławił nas bardziej niż innych, a więc trzeba innym pomagać. I zawsze walczyć o Dobro i Prawdę. Wbrew dobru prywatnemu i interesom własnym.

ZASŁUŻENI PRZODKOWIE

Witold Janusz Chodakiewicz herbu Kościesza urodził się w Wilnie, w rodzinie inteligenckiej, o korzeniach szlacheckich i tradycji walk niepodległościowych. W domu rodzice i siostra oraz najbliżsi zwali go „Kuk", pseudonimem, który sam sobie nadał, wskazując na zakażone ucho, które mu operował dr Michejda, ordynator szpitala na Pohulance w Wilnie w 1938 r.

Rodzina WJC po mieczu była z krańców Wielkiego Księstwa Litewskiego: z Mścisławskiego i Mińszczyzny, a w tym z Borysowa przy Berezynie. Po kądzieli przede wszystkim z Mazowsza Północnego, a później z Rędzina pod Częstochową i Sosnowca.

Jego przodkowie są odnotowani niekiedy na urzędach, nawet jako kasztelani, albo pod listami elekcyjnymi, choćby Jana Sobieskiego. A potem na listach konfiskacji i skasowanego szlachectwa. Car nie przy-



FOT. K.MIKULA/WPROST/EAST NEWS

eprasa.pl ed08a7b740

znawał, więc mieli to w nosie. Ale z prześladowań i śmierci wyszła wielka miłość do książek i edukacji. „Siły zła nie zabiorą tego, co masz w głowie" – mawiała matka mego Ojca. Stąd dość szybko nasza rodzina znalazła się w szeregach inteligencji, wolnych zawodów. Albo na stertach trupów bądź na Syberii czy w innych moskalskich łagrach, albo w obozach niemieckich czy komunistycznych więzieniach.

Generał Jego Królewskiej Mości Dymitr Chodakiewicz województwa mścisławskiego znika w czeluściach imperium carów po 1772 r.: nie ma go na żadnej liście wiernopoddańczej. Skonfiskowany, skasowany, wywieziony. Chorąży Jan Cieszewski podpisał insurekcję kościuszkowską, por. Franciszek Cieszewski zginął pod Saragossą, a Adam Chodakiewicz walczył w 15. pułku piechoty od Warszawy przez Moskwę do Lipska, osłaniając księcia Józefa Poniatowskiego, a w końcu w ułanach służył pod Waterloo. Miał „długą twarz" – odnotował skryba Grande Armée. W grudniu 1815 r. „wrócił do Polski", czyli nad Berezynę.

Przodkowie Ojca zaliczyli wszystkie zrywy narodowe. W 1830 r. „pan Cieszewski, który był przywódcą powstania, na moście we Włocławku do kozaków strzelał, a potem uszedł do buntowników". Przepadły Wulne i Przypust „z przyległościami" pod Płockiem. Następnie skonfiskowano i wywieziono też Chodakiewiczów z okolic (zaścianka) Wilkańce Wielkie, parafia Ejszyszki, z majątku Janapol, parafia Raduń, na Nowogródczyźnie, oraz osobnego majątku na Grodzieńszczyźnie. Skasowano im też szlachectwo.

Inny krewny, powstaniec Feliks Cieszewski, po zrywie 1863 r. trafił do Nowego Jorku, gdzie założył pierwszą polsko-amerykańską organizację kombatancką. Wywodzący się spod Wilna ks. Jan Chodakiewicz, kapelan powstańczy w 1863 r., gnił na Syberii (w Galiczu, guberni kostromskiej) jeszcze prawie 20 lat potem.

Następny przodek to Zenon Lissowski, brat rodzony babci Eugenii Chodakiewiczowej, która zmarła z głodu i chorób w Białymstoku w 1942 r., a której mąż, Józef, poległ jako oficer na froncie w Rosji w wojnie i rewolucji 1917 r. Zenon Lissowski od 16. roku życia był w podziemiu PPS. Drukował „Robotnika". Jego szefem był Józef Piłsudski. Zenon uciekł z obławy ochranie do Francji gdzieś w 1912 r. Tam po wybuchu pierwszej wojny przystąpił do wojska, został adiutantem gen. Józefa Hallera: dosłużył się stopnia wachmistrza szefa 1. Pułku Ułanów.

W międzywojniu był właścicielem drukarni i radnym z listy PPS w Mińsku Mazowieckim. Potem w podziemiu pomagał ukrywającym się dziewczynom żydowskim. Za konspirację trafił do Auschwitz, przeżył marsz śmierci do Neuengamme. Zginął pod alianckimi bombami wystawiony przez SS na śmierć na oflagowanym swastykami statku niemieckim na redzie na Zatoce Lubeckiej (Lubeka i Neustadt w Holstein).

Notabene wraz z Zenonem poległ kuzyn Ojca, oświęcimczyk Arkadiusz Kędzierski. Aresztowany wraz ze swoim ojcem, piłsudczykiem, legionistą i oficerem Defy (kontrwywiadu) Piotrem Kędzierskim. Ojca Niemcy szybko uśmiercili w Auschwitz.

Tam doświadczył pierwszego bombardowania, gdy wracali pociągiem do stolicy, co opisał jego kuzyn, Mariusz. Mój Ojciec był nieznośny, szczególnie kosztem kuzynki Bożenny, więc po dłuższym czasie odesłano go do dziadka do Wilna – malca samego z przekupionymi szmuglerami. To był koniec litewskiej okupacji – czerwiec 1940 r.

W każdym razie w 1942 r. Niemcy zastrzelili też stryja Ojca, Jerzego Cieszewskiego, który był dyrektorem propinacji w Ordynacji Zamoyskich, a jednocześnie służył w NOW-AK. Opowiadał mi o szczegółach śp. Jan hr. Zamoyski.

Mój Ojciec drugie imię, Janusz, dostał na cześć swego ciotecznego dziadka, Janusza Iwaszkiewicza-Rudoszańskiego, monarchisty i krajowca, profesora historii z Uniwersytetu Stefana Batorego, wybitnego specjalisty od Wielkiego Księstwa Litewskiego i ucznia prof. Szymona Askenazego.

Przodkowie Ojca zaliczyli wszystkie zrywy narodowe. Skasowano im jednak szlachectwo

Arek żył do 3 maja 1945 r. Był synem ciotki Lody, czyli siostry rodzonej mojej prababki Wiktorii z Brzozowskich Cieszewskiej.

Oprócz tego w Gross-Rosen zginął kuzyn mego ojca, Władysław Lissowski, którego aresztowano wraz z innymi w seminarium duchownym w Warszawie w 1943 r. Wtedy też w Stuthoffie zamęczono Antoniego Chodakiewicza, kolejnego krewnego mego dziadka. Wspominano też dwóch krewnych zmarłych w Dachau. W Katyniu rozstrzelano por. Symeona Kazimierza Chodakiewicza, prawnika po uniwersytecie poznańskim.

Trzy miesiąc po tym, w czerwcu 1940 r., rozstrzelano w Palmirach wuja mego ojca, mecenasa Tadeusza Fabianiego, wybitnego działacza narodowego, zresztą aresztowanego bezpośrednio przy moim Ojcu, gdy ten ostatni miał trzy lata. Wuj Tadeusz zmieniał mu opatrunek po trepanacji czaszki. W trakcie tego wpadli do mieszkania Fabianich gestapowcy w skórzanych, czarnych płaszczach, zabrali wuja, rozwalili.

Z WILNA DO WARSZAWY

Skąd Warszawa? Mój Ojciec z babką swoją znalazł się tuż przed wojną na wyczasach w Urlach z wujostwem Fabianimi. Profesor Iwaszkiewicz-Rudoszański uciekł skutecznie dwukrotnie przed Sowietami, jednak został rozstrzelany w lipcu 1944 r. przez Niemców w Warszawie.

Wspomnieć należy też Józefa Chodakiewicza z Balinki, skuzynionego z ciotkami Chodakiewiczowymi, które mieszkały przy Dworcu Gdańskim w Warszawie, a które jako dziecko odwiedzała moja mieszkająca od ponad pół wieku w Danii Ija (Irena), siostra rodzona mego Ojca. Latem 1945 r. Józef został aresztowany przez NKWD w trakcie tzw. obławy augustowskiej i zniknął bez śladu, najpewniej rozstrzelany przez Sowietów.

To litania strat rodzinnych, lista ofiar do upamiętnienia, która funkcjonowała – bardziej lub mniej świadomie u mojego Ojca, w ogóle u nas w domu w Warszawie. Naturalnie oprócz luźnych opowieści od święta niektórych pamiętało się stale, np. szczególnie jego rodziców.

JAN JÓZEF CHODAKIEWICZ

Ojciec Ojca, mecenas Jan Józef Chodakiewicz, uczył się w gimnazjach w Moskwie, Lidzie, Grodnie oraz Białymstoku. Wraz ze swoim przyjacielem Lechem Beynarem (Paweł Jasienica) ściągnęli

eprasa.pl ed08a7b740

maturę z matematyki od trzeciego kolegi: Mieczysława Potockiego, późniejszego wyższego dowódcy AK Wilno, mjr. „Węgielnego". Ten ze śmiechem opowiadał, jak profesor matematyki obsztorcowywał sztubaków: „Panie Chodakiewicz, jedynym większym osłem z matematyki od pana jest tylko pan Beynar".

Jan Chodakiewicz był filistrem korporacji Konwent Polonia, najstarszej polskiej korporacji, jedynej bez aryjskiego paragrafu. Konserwatysta. Pod pierwszą i drugą sowiecką okupacją się ukrywał, pod niemiecką pracował jako szatniarz w niemieckim kasynie oficerskim, a jednocześnie działał w wywiadzie AK. Przygotowywał również podziemny biuletyn informacyjny z nasłuchu radiowego (również pod trzecią sowiecką okupacją).

Podczas nalotu gestapo i litewskiej Saugumy w listopadzie 1943 r. Jan zniszczył aparat radiowy i wysłał swego sześcioletniego syna, a mego Ojca, aby wyniósł w kubełku takie „śmieci" pokryte popiołem z pieca. To nie pierwszy raz. Matka rutynowo wysyłała malucha do zakazanej strefy pod więzieniem na Łukiszkach, aby zbierał spod okien grypsy. Potem odnosili te listy rodzinom aresztowanych.

NKWD aresztowało Jana w grudniu 1944 r. Wywieziony do łagru w Stalinogorsku, gdzie kopał węgiel brunatny, przeżył, wrócił, zmarł niedługo potem.

We wrześniu 1939 r. służyła jako referent sanitarny. Od początku w podziemiu, przeciw Litwinom, Sowietom i Niemcom. Wraz z mężem Janem, dzięki kontaktom towarzyskim, wspomagała koordynację między środowiskami akademickimi i narodowymi oraz wojskowymi i piłsudczykowskimi. Od niemieckiej okupacji była łączniczką w AK, a nasze mieszkanie na Zakretowej 9 było meliną na odprawy Komendy Okręgu. Ukrywał się tam też rtm. Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka". Wpadła w listopadzie 1943 r. Major „Węgielny" napisał: „Mimo brutalnego śledztwa nie wykazano jej związku z konspiracją". Potwierdzają to dokumenty ze szpitala więziennego odkryte przez Michała Korwin-Wołłejkę. Podziemie wykupiło ją w kwietniu 1944 r.

Wróciła do podziemia, pełniąc funkcję szefowej łączniczek Delegatury Rządu. Aresztowana przez NKWD w czerwcu 1945 r. nie złamała się w śledztwie, wypuszczona na wabia zdołała zbiec przy pomocy podziemia. Potem przeszła do Polski Centralnej, gdzie działała w Wileńskim Ośrodku Mobilizacyjnym AK wraz z mjr. „Łupaszką", płk. „Pohoreckim" i innymi. Ojciec opowiadał, że jego wizyty u matki odbywały się przez wrzucanie go do przejeżdżającej obok dorożki, gdzie na niego czekała. Pamięta też wywczasy na wsi w Białostockiem, gdzie działali wciąż partyzanci.

Matka wysyłała mojego małego Ojca do zakazanej strefy na Łukiszkach, aby zbierał spod okien grypsy

Jego żona, Irena z Cieszewskich, była działaczką narodową. Tak jak jej ojciec Witold, siostra Halina oraz bracia: młodszy Mariusz (sportowiec, korporant „Polesii", ochotnik w 1939 r., uciekł na zachód do PSZ, ciężko ranny pod Narwikiem, zniknął ze szpitala jenieckiego we Francji, żołnierz podziemia w Nantes, tamże więzień gestapo, który wyrwał z ich łap) oraz Jerzy – „Polesjusz", redaktor odpowiedzialny endeckiego „Dziennika Wileńskiego", a następnie w podziemiu narodowym w Polsce Centralnej.

Irena studiowała na wydziale matematyczno-biologicznym USB. Współorganizowała słynną pielgrzymkę i śluby młodzieży akademickiej na Jasnej Górze.

UB ujęło ją w 1948 r. Znowu nie udowodniono jej nic. Wyszła z więzienia dzięki rękojmi komunistycznego kolegi dziadka ze studiów: dr. Jerzego Sztachelskiego. Musiała się meldować raz na tydzień w UB.

Witold Janusz Chodakiewicz zapamiętał dobrze kilka epizodów z tamtego okresu. Po pierwsze, w lipcu 1941 r. Niemcy pędzili morze sowieckich jeńców przez Wilno. Matka kazała dziecku przejść linię niemieckiej eskorty i oddać bochenek chleba Sowietom. Witek odmówił. „Bolszewicy to przecież nasi wrogowie" – wykrzyczał. Matka go skarciła: „Tak, to wrogowie. Ale oddaj chleb, bo inaczej to będziesz jak Niemcy i bolszewicy. My jesteśmy chrześcijanami, my tak nie robimy".

Drugi ważny epizod zaszedł podczas długiej wyprawy pieszo – aby uniknąć łapanki niemieckiej – z Wilna do Kolonii Wileńskiej, gdzie zamieszkał na stałe ojciec Ireny po 1939 r. Po drodze pod Ponarami buszujący po rojstach niesforny „Kuk" wpadł na rannego chłopca żydowskiego leżącego na mchu. Objął go za szyję, zaczął płakać i nie chciał puścić. Matka wzięła go za rękę, doprowadziła syna do jego dziadka, potem zniknęła, wróciła, aby ukryć żydowskie dziecko. Koniec opowieści, żadnych innych szczegółów nie udało się ustalić.

ULUBIONY WNUK

Witold to imię dziadka mego Ojca po stronie matki: Witolda Cieszewskiego herbu Jastrzębiec, narodowca, urzędnika pocztowego, a potem kolejowego, studenta politechniki moskiewskiej, zakładnika bolszewików, czyli „burżuazyjnego specjalisty", wymienionego za jeńców czerwonoarmiejców w lipcu 1921 r., przywódcy chrześcijańskich związków zawodowych kolejowców na Wileńszczyźnie. To była najważniejsza osoba w życiu Witolda Chodakiewicza, który był jego ulubionym wnukiem.

Zajmował się nim, gdy rodzice zaangażowali byli w podziemiu. Potem dziadek uciekł z wnukiem z Wilna, bo Sowieci chcieli go zabrać jako sierotę. Witold Cieszewski ukształtował wnuka na swój wzór: na XIX-wiecznego inteligenta. Dykcja, maniery to też po nim. Nawet dziadek nauczył go pojedynkować się po staroświecku – chociaż laską zamiast szpadą. Kształcił go tak systematycznie, że Ojciec mój po wojnie zdał maturę i dostał się na studia w wieku zaledwie 15 lat. Na Politechnikę Gdańską, a potem Warszawską, bo tak życzył sobie jego dziadek.

„Kuk" miał wielkie ciągotki humanistyczne, ale dziadka Witolda posłuchał. W 1956 r. Ojciec zaczął działać społecznie wśród studentów, organizował protesty przeciw Sowietom. Jak większość zachłyśnięty był Władysławem Gomułką, ale największym autorytetem był jednak prymas Stefan Wyszyński. WJC chciał iść na pomoc Węgrom, powstanie padło. Wraz z kolegami oddawał krew.

Zaangażował się w Zrzeszeniu Studentów Polskich. Był wybrany demokratycznie do sądów koleżeńskich, zaczął wyjeżdżać za granicę, nawet na Zachód, gdzie przyjaciele rodziny namawiali go na emigrację.

eprasa.pl ed08a7b740

Nie skorzystał z okazji – bo się ożenił z moją mamą, Agnieszką, córką Jadwigi z Prus-Studzińskich Milczarczykowej i Stanisława Milczarczyka, żołnierza września z 18. Pułku Ułanów Pomorskich, działacza ludowych „Wici", „Rocha" ZWZ oraz PSL Mikołajczyka, więźnia UB – wraz ze swoją żoną, współtowarzyszką życia i walki oraz współwięźniarką. Notabene komuniści aresztowali wtedy też moją mamę i jej brata: ona miała pięć lat, a on osiem.

Zresztą cała niemal rodzina Milczarczyków ucierpiała. Ciotkę Władę wywieziono na roboty do Reichu. Mój pradziadek Józef Milczarczyk zginął od salwy sowieckiej artylerii podczas następowania frontu w styczniu 1945 r. Młodszy brat mego dziadka, spółdzielczy działacz Wacław, który był aktywny w „Rochu" w obwodzie kraśnickim podczas niemieckiej okupacji, a po wojnie organizował PSL, został porwany przez UB z banku spółdzielczego w Płońsku i zamordowany w listopadzie 1945 r. Najmłodszy brat, Felek, został aresztowany w wieku 18 lat za „kontakty ze szpiegami", uwięziony jako górnik w kopalni uranu bodaj do 1956 r.

MAŁŻEŃSTWO I MŁODOŚĆ KONSPIRACYJNA

Właściwie nie ma mego Ojca bez mojej mamy, matematyczki. Poznali się na studiach. Ona we wszystkim pomagała i wszystko prowadziła. Zawsze go wspomagała. Nie tylko wychowując dzieci, lecz także organizując całą logistykę, wdrażając w życie jego romantyczne koncepcje.

Urodziłem się najpierw ja (1962), a potem moja siostra (1965). Zresztą podobnie było w stanie wojennym. Odmówił lojalki i wyjazdu. Choć dzieci wysłał do USA – głównie dzięki żonie i rodzinie, przyjaciołom w Stanach.

W ZSP i na studiach, też doktoranckich, Ojciec poznał wielu wspaniałych ludzi, kolegów i przyjaciół, takich jak późniejszy abp Henryk Hoser. WJC pomagał potrzebującym, zawsze uważał, że mu się nic nie należy, a to, co się ma, trzeba oddawać innym. I poświęcać się, pomagać. Ułatwiał choćby życie kolegom, studentom z północnej Korei, prześladowanym przez własnych politruków (zresztą do końca zapamiętał kilka koreańskich fraz).

Uratował np. Bui Ly Lê Tân Sitek, wietnamską studentkę, która zakochała się w Polaku, a wietnamscy komuniści chcieli ją za karę deportować do domu. Ta uciekła, a ukryli ją u siebie moi rodzice. Moja mama była w ciąży. Proszę sobie wyobrazić ukrywanie Azjatki w PRL.

Odmówił lojalki i wyjazdu. Choć dzieci wysłał do USA – głównie dzięki żonie, rodzinie i przyjaciołom w Stanach

W 1968 r. Ojciec zaprotestował przeciw biciu studentów i antyżydowskiej nagonce w partii komunistycznej. Przyszli niektórzy koledzy, oskarżyli go, że jest świnią, bo ich naraża. Rzucił złotą oznakę ZSP.

W tym czasie pracował już jako inżynier. Miał dwóch głównych mentorów. Jeden to piłsudczyk śp. pan Janek Rossman, zastępca szefa „Szarych Szeregów", kawaler Virtuti Militari za powstanie warszawskie oraz sąsiad babci Ireny przy Placu Wilsona. Drugi to endek, inż. Habich.

Pod ich wpływem zaczął uczestniczyć w rozmaitych czynnościach opozycyjnych: pamiętam chociażby czyszczenie grobów powstańczych na Powązkach Wojskowych, a ubecy po cywilu odpychali nas, dzieciaki, i rodziców naszych – to było przed 1970 r. Podczas walk i strajków na Wybrzeżu Ojciec pojechał do Gdańska, aby pomóc. Zniknął chyba na miesiąc. Nawet nie pamiętam, czy był na Boże Narodzenie. Mama była zrozpaczona.

Ojciec wtedy związał się z konspiracją harcerską, chyba z Gromadą, bo pamiętam wyprawy pod blokowisko Antoniego Macierewicza. Później – w 1976 r. – poznał Piotra Naimskiego i zaczął z nim współpracować. Zresztą w 1980 r. wpadł w kocioł SB, po raz pierwszy w mieszkaniu Piotra (które należało do państwa Tadeuszostwa Walendowskich, odziedziczone po Melchiorze Wańkowiczu).

Ojca nie złapano jednak wcześniej, gdy jeździł z pomocą do Ursusa i Radomia. Zbierał datki na prześladowanych. Współpracował blisko z wujkiem Piotrem Witakowskim, który kolportował prasę podziemną. Wtedy moi rodzice zbliżyli się z trochę starszą od nich Hanką Rozwadowską, która walczyła w powstaniu, potem była w drugiej konspiracji i odsiedziała swoje do 1956 r. Znów wpadła po 1981 r. Bawiła się w tej grupie też pani Skowrońska, sąsiadka nasza.

Jednocześnie Ojciec wspomagał Studenckie Komitety Solidarnościowe w Krakowie, posyłając bibułę przez swego młodszego kuzyna, Krzysia Cieszewskiego, studenta leśnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, idola mego dzieciństwa.

Wraz z mamą i Wojtkiem Arkuszewskim ps. Dziki Ojciec zaczął drukować Komunikat KSS „KOR". Śmierdziało straszliwie u nas w domu. Na dodatek wszyscy palili na potęgę. Jak mawiał Andrzej Czuma, szef ROPCiO, który potem siedział z Ojcem w jednej celi w internacie w Białołęce: „Można siekierę w powietrzu zawiesić". Oprócz tego drukował inne rzeczy, m.in. wspomnienia Mikołajczyka i „Węgielnego" – tuż przed stanem wojennym.

LATA SOLIDARNOŚCI

Ojciec był założycielem Solidarności w swoim zakładzie – PRK, wnet negocjował miesiącami z komunistami pod Szczecinem. Wybrali go na delegata na I zjazd Solidarności. Internowany 13 grudnia 1981 r. Wyszedł w czerwcu 1982 r., wywalili go z pracy. Bronił go bezskutecznie mecenas Piotr Andrzejewski. Ojciec z mamą zaczęli drukować i kolportować na całą Polskę „Solidarność Podziemną PRK/PBK". Robili dystrybucję też innych gazet, a w tym lewicowego „Tygodnika Mazowsze".

W 1989 r. Ojciec wyszedł z podziemia. Dokooptowano go do rządu Tadeusza Mazowieckiego jako wiceministra transportu. Dyskretnie miał inną, dużo bardziej ważną funkcję. Został szefem komitetu do spraw usunięcia wojsk sowieckich z Polski. To jest nie do wyobrażenia, ale większość ministrów i elit post-PRL była temu przeciwna. Nawet Lech Wałęsa mówił o NATO-bis. Niektórzy zgadzali się na zaparkowanie Sowietów z Niemiec w Polsce. Ojciec opracował plan tranzytów Sowietów do Królewca z Niemiec oraz wyekspediowania Armii Czerwonej z Polski tamże. Udało się wbrew oporowi, a wręcz sabotażowi oficjalnemu. Witold Janusz Chodakiewicz uważał to za swój największy sukces. Dopiął swego.

Piotr Naimski powiedział mi na pogrzebie, że Ojciec to był jego ostatni przedwojenny znajomy chyba. RIP. I prosimy o modlitwę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740

CIA i sowieckie rakiety



Piotr Włoczyk

Operacja wydobycia na powierzchnię wraku sowieckiego okrętu podwodnego K-129 była najdroższą i najbardziej skomplikowaną misją wywiadowczą w czasie zimnej wojny. Włamanie do sejfu miliardera nieoczekiwanie okazało się punktem zwrotnym tej operacji



Niemal 200-metrowy tajemniczy gigant „Glomar Explorer" był skrzyżowaniem statku i wieży wiertniczej FOT. U.S. GOVERNMENT

Amerykanie szybko zorientowali się, że ich przeciwnicy mają duży problem. Sowieckie okręty wojenne i statki ratunkowe w zastanawiający sposób koncentrowały się w drugiej połowie marca 1968 r. na – relatywnie – niewielkim fragmencie Pacyfiku, tysiące kilometrów na północny zachód od Hawajów.

Sowieci desperacko przeszukiwali ocean, starając się namierzyć K-129, mierzący 100 m długości okręt podwodny, zdolny przenosić trzy rakiety z ładunkami nuklearnymi. Każda z nich miała moc jednej megatony, czyli była ok. 60 razy potężniejsza od bomby zrzuconej przez Amerykanów nad Hiroszimą. Po dwóch miesiącach Sowieci przerwali poszukiwania, stwierdzając, że skoro oni sami nie byli w stanie zlokalizować swojego okrętu, to na pewno nie zrobią tego Amerykanie. A nawet gdyby jakimś cudem udała im się ta sztuka, to wrak K-129 znajduje się na tak dużej głębokości, że na pewno nie wpadnie w ręce ich śmiertelnego wroga.

Sowieci nie doceniali jednak amerykańskiej sieci hydrofonów, które rozmieszczone były na Pacyfiku i Atlantyku. Amerykanie przeanalizowali nagrania z pacyficznych głębin i odkryli, że 8 marca 1968 r. doszło do potężnej eksplozji ok. 2,9 tys. km na północny zachód od Honolulu. Czyli Sowieci przeszukiwali fragment Pacyfiku oddalony o setki kilometrów od miejsca katastrofy!

Amerykanie mieli więc bezcenną wiedzę na temat lokalizacji jednostki, ale faktycznie wydawało się, że na nic im się ona nie przyda, ponieważ w tym miejscu Pacyfik ma 5 km głębokości. Do tamtej pory największym wyczynem pod kątem wydobycia zatopionej jednostki było podniesienie amerykańskiego okrętu podwodnego USS „Squalus", który jednak osiadł na głębokości „zaledwie" 70 m. Wyciągnięcie na powierzchnię sowieckich rakiet i systemów komunikacji byłoby nie lada gratką, ale żeby to zrobić, trzeba byłoby sięgnąć 70 razy głębiej, do świata, gdzie panuje wieczny mrok i zabójcze ciśnienie.

SZANSA JEDNA NA DZIESIĘĆ

Zanim ktokolwiek w Białym Domu wpadł na pomysł, żeby zainteresować prezydenta planem rodem z powieści science fiction, US Navy wysłała na miejsce specjalistyczny okręt podwodny USS „Halibut". Był on wyposażony w zdalnie sterowany pojazd „Fish" z kamerami i potężnymi reflektorami. Amerykanie odnaleźli K-129 i dokładnie sfotografowali wrak (wykonali wtedy ponad 20 tys. zdjęć). Potwierdziło się, że okręt zatonął w wyniku eksplozji, ale najważniejsze było to, że nie rozleciał się na mnóstwo małych kawałków.

Wydobycie K-129 wydawało się ekstremalnie trudne pod względem technicznym, ale wiązały się z tym również kwestie polityczne, a nawet prawne. Amerykanie i Sowieci przymierzali się do rozmów na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych (późniejszy układ SALT) i wykrycie przez Moskwę tajnej operacji podniesienia okrętu podwodnego mogło doprowadzić do bardzo poważnych reperkusji. Inna sprawa to kwestia własności – przejęcie obcego okrętu, nawet zniszczonego, mogło być uznane za akt piractwa. Amerykanie sięgnęli więc do archiwów i – szykując się zawczasu do odparcia zarzutów ze strony Sowietów – „odkurzyli" sprawę HMS L55, brytyjskiego okrętu podwodnego, który zatonął na Bałtyku, po czym został podniesiony przez bolszewików w 1928 r., przemia-

eprasa.pl ed08a7b740

nowany na „Bezbożnika" i od 1931 r. pełnił służbę we flocie sowieckiej.

Chociaż sprawa dotyczyła głębin, to Biały Dom nie zlecił zrealizowania tej misji marynarce wojennej (US Navy), lecz Centralnej Agencji Wywiadowczej. Josh Dean, autor książki „The Taking of K-129", opisującej tę operację, podkreśla, że skala trudności była tak olbrzymia, iż początkowo szanse na sukces oceniano na 10 proc. I dlatego na wstępnym etapie planowania całej misji czołowi amerykańscy decydenci byli w tej kwestii mocno sceptyczni.

„Po zatonięciu K-129 do Moskwy dochodziły pewne sygnały, że Amerykanie mogą planować podniesienie tego okrętu, ale Sowieci je ignorowali. Dlaczego tak się działo? Ponieważ to się po prostu nikomu nie mieściło w głowie! – powiedział w rozmowie ze mną Josh Dean. – CIA zaczęła konsultować się z najlepszymi specjalistami, w tym z naukowcami zaangażowanymi w loty kosmiczne. Było to bardzo wąskie grono ludzi, które działało w największej tajemnicy. Zaczęła się burza mózgów. Jak można było wyciągnąć na powierzchnię potężny okręt podwodny? Może udałoby się to zrobić za pomocą wielkiego silnika odrzutowego przymocowanego do wraku? A może lepsze byłyby gigantyczne poduszki powietrzne? Wiele z tych pomysłów było kompletnie fantastycznych, a te, które były jakkolwiek realne, miały jedną zasadniczą wadę: na koniec tej operacji na powierzchni Pacyfiku pojawiłby się K-129... Sowieci od razu by się o tym dowiedzieli".

CHWYTAK LOCKHEEDA

W końcu ktoś rzucił pomysł, by zbudować olbrzymi statek, który pozwoli wyciągnąć z oceanu sowiecki okręt, a następnie ukryje go w swoim „brzuchu". Taką jednostkę trzeba było jednak zbudować od zera. CIA poprosiła więc o pomoc człowieka, który zapewniłby projektowi Azorian, jak nazwano tę misję, odpowiednią przykrywkę. Howard Hughes, ekscentryczny miliarder, fascynat nowych technologii, który świetnie dogadałby się z Elonem Muskiem, ogłosił, że zajmie się pozyskiwaniem z dna morskiego rzadkich minerałów. I dlatego buduje statek „Glomar Explorer", blisko 200-metrowego giganta o wyporności przekraczającej „Titanica", który był skrzyżowaniem statku i wieży wiertniczej. Tylko garstka wtajemniczonych wiedziała, że w jego kadłubie przewidziano „hangar" dla olbrzymiego chwytaka (zbudowanego przez koncern Lockheed), który zostanie opuszczony na dno, obejmie K-129 niczym wielka dłoń i wciągnie do wnętrza statku, ukrywając bezcenną zdobycz przed wzrokiem ciekawskich. Całość kosztowała równowartość dzisiejszych 2 mld dol. i choć na papierze właścicielem statku była firma Hughesa, to jego budowę opłacili amerykańscy podatnicy.

Glomar Explorer powstał w ekspresowym tempie, już w listopadzie 1972 r., po roku budowy, został zwodowany. Półtora roku później jednostka była gotowa do przeprowadzenia swojej misji. Gdy w lipcu 1974 r. statek dotarł nad wrak, sowieckie okręty wojenne starały się go stamtąd przepędzić, ale była to jedynie standardowa próba sił. Ponieważ „Glomar Explorer" wydawał się niewzruszony presją, sowieckie jednostki odpłynęły, a Moskwa wciąż nie podejrzewała, że Amerykanie mogą się porwać na coś tak ekstremalnie trudnego.

Gdy zespół był już gotowy, wypuszczono chwytak, który dotarł na dno i objął główną część kadłuba K-129. Początkowo wszystko szło wyśmienicie, jednak mniej więcej w jednej trzeciej drogi na powierzchnię część chwytaka pękła. Kadłub sowieckiego okrętu był mocno zniszczony i brak podparcia spowodował, że jego większa część runęła z powrotem w głębiny Pacyfiku. Na powierzchnię udało się wyciągnąć tylko jedną trzecią tego, co planowano. Przepadł m.in. przedział rakietowy i fragment, gdzie miały się znajdować kluczowe elementy systemu łączności. Po wszystkim okazało się, że stal, z której wykonany był chwytak, nie była najwyższej jakości. Drobna – wydawałoby się – rzecz, która sprawiła, że misja zakończyła się niepowodzeniem. Choć nie była to zupełna klęska, Amerykanie zdobyli przecież fragment sowieckiego okrętu podwodnego, zawierającego m.in. dwie torpedy z głowicami atomowymi, które mogli teraz spokojnie przebadać.

„ZAGINIONY" DZWON

Była jednak jeszcze szansa na „poprawkę". Misję udało się utrzymać w tajemnicy, więc można było zmienić konstrukcję chwytaka, wrócić na miejsce katastrofy i spróbować raz jeszcze sięgnąć po sowieckie sekrety. Wtedy doszło jednak do istnej „katastrofy" na lądzie, ktoś się włamał do biura Hughesa i wykradł teczkę z dokumentami, które łączyły „Glomar Explorera" z CIA. Gdy wokół tej sprawy zaczęli się kręcić dziennikarze śledczy, Biały Dom interweniował i przekonał ich redakcje, że ujawnienie operacji naraziłoby na szwank bezpieczeństwo narodowe USA. Jednak w lutym 1975 r. sprawa została częściowo ujawniona przez „Los Angeles Times", a krótko potem doszło do całej serii materiałów na temat tajnej misji CIA na Pacyfiku.

Wszystko wskazuje na to, że włamywacz doskonale wiedział, czego szukać w sejfie. Być może była to więc rozgrywka w ramach instytucji państwowych. „Mnóstwo tu teorii spiskowych. Niektórzy twierdzą, że za wszystkim stała US Navy. Nasza marynarka wojenna miała bowiem uważać wydobycie K-129 za marnowanie pieniędzy, które powinny były pójść na inne cele" – mówi Josh Dean.

Po nagłośnieniu sprawy Moskwa nie zareagowała aż tak ostro, jak obawiał się tego wcześniej Biały Dom. Sowieci wprawdzie zaprotestowali, ale utrzymywali détente z USA, które było im zwyczajnie na rękę. W 1992 r. podczas wizyty w Moskwie ówczesny szef CIA Robert M. Gates przekazał Rosjanom kasetę wideo z pogrzebu na morzu sześciu sowieckich marynarzy, których ciała znaleziono w wyciągniętym fragmencie K-129. Na nagraniu z tej uroczystej ceremonii widać flagi USA i ZSRS, a także słychać sowiecki hymn.

Rok później do Moskwy trafił też dzwon K-129, uważany za „serce" każdego okrętu. Od tego momentu wszelki słuch po nim zaginął. Jak ocenia Jack G. Newman, emerytowany oficer US Navy, który brał udział w operacji wydobycia K-129, raczej nie jest to przypadek. „Wygląda na to, że ponieważ przypomina on o sukcesie Stanów Zjednoczonych, które odnalazły i wyciągnęły na powierzchnię część szczątków sowieckiego okrętu podwodnego, dzwon K-129 nie powinien być wystawiany na widok publiczny – pisał Newman rok temu na łamach magazynu »Naval History«. – Jeżeli to prawda, to jest to smutny komentarz kulturowy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740



KOMUCHOŻERCA

Ołowiem i pałką

LESZEK ŻEBROWSKI

Jeśli ktoś myśli, że obecna forma rządów „pałą i uchwałą" to jakaś nowość, jest w głębokim błędzie. Tu nic nie trzeba wymyślać, są gotowe wzorce do zastosowania. I tak się stało. Oto środowisko, które samo określa się jako obóz „liberalny", czerpie wzory z niedalekiej, ale wielce niechlubnej przeszłości. Liberalizm jest ideą i ideologią wolnościową, w której wolność osobista jest wartością samą w sobie. Obóz wyznający zasadę „pałą i uchwałą" z liberalizmem nie ma natomiast nic wspólnego. Ale wystarczy odpowiednia, natarczywa i nachalna propaganda i efekt końcowy jest gwarantowany.

Po 1926 r. do władzy w II RP drogą zamachu stanu i bardzo krwawego przewrotu do władzy doszły siły, które same określiły się jako „sanacyjne", czyli… ozdrowieńcze. Było to uzasadnienie własnych poczynań i przykrycie krwawego terroru, który do 1939 r. pochłonął ok. tysiąca ofiar. Dziś już zapominamy, czym był Brześć, Bereza i pacyfikacje terenów uznawanych za nieposłuszne i niepokorne. A to wszystko miało przecież miejsce.

Działania „sanacyjne" wymagały stosowania propagandowej ideologii usprawiedliwiającej przemoc i terror. Nie musiała być ona już ukrywana wobec zdobycia pełni władzy. W warunkach ostrej, prewencyjnej cenzury, kontrolowania prasy i wydarzeń publicznych można było pozwolić sobie na bardzo wiele. No i sanatorzy sobie pozwalali… Była to formacja wielonurtowa, ale silnie osadzona w kulcie wodza i państwa (statolatria). Punktem odniesienia był reżim Benita Mussoliniego, posiadający podobne korzenie (socjalizm), dążenie do mocarstwowości i tłumienia wszelkich odruchów samoobronnych społeczeństwa.

Odniesienia do Mussoliniego stosowane były wprost. Służyły temu sztucznie wykreowane organizacje, takie jak Liga Mocarstwowego Rozwoju Polski, skupiająca piłsudczyków radykalnych, działających pod ochroną niesławnej pamięci Felicjana Sławoja Składkowskiego (ministra spraw wewnętrznych i premiera). Organem prasowym tejże Ligi był tygodnik „Nowa Kadrowa", który nie ukrywał dyktatorskich inklinacji, chęci bezwzględnego rozprawienia się z opozycją i odejścia od demokracji parlamentarnej, choćby już tylko fasadowej.

To w tym organie pojawiły się postulaty, aby „strzaskać Sejm i Senat wraz z konstytucją marcową", a droga do tego powinna prowadzić przez posługiwanie się „ołowiem i pałką". Do tego pojawił się postulat, aby zorganizować państwo na wzór… wojska. W związku z tym „Nowa Kadrowa" głosiła: „Nasz obóz – to wojsko, a w wojsku musi obowiązywać dyscyplina, hierarchia i atmosfera ubóstwiania dewocji".

Daleko jesteśmy obecnie od tego stanu? ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Gwiazdy areny

SŁAWOMIR KOPER

Filmowy debiut Hanki Ordonówny miał miejsce w obrazie „Orle", ale prawdziwy triumf zanotowała kreacją w „Szpiegu w masce". Z tego filmu (premiera 27 października 1933 r.) pochodzą jej dwa wielkie przeboje: „Miłość ci wszystko wybaczy" i „Na pierwszy znak, gdy serce drgnie". Na planie filmowym zagrała również z ponurej pamięci Igo Symem, z którym miała współpracować przez najbliższe lata.

Igo (Karol Juliusz) Sym był synem Polaka i Austriaczki. Podczas pierwszej wojny światowej walczył w mundurze austriackim, następnie służył w armii polskiej. Nie posiadał specjalnych umiejętności aktorskich, jednak uchodził za jednego z najprzystojniejszych amantów polskiego filmu, a w czasach kina niemego aparycja wystarczała.

Sym usiłował zrobić karierę w Austrii i Niemczech, jednak drobna wada wymowy (nie wymawiał twardego „r"– istotnego w języku niemieckim) spowodowała, że po rewolucji dźwiękowej musiał powrócić do kraju. Tutaj grywał drugoplanowe role w filmach, koncentrując się na występach kabaretowych i tam był prawdziwą gwiazdą. Śpiewał, akompaniując sobie na pile (!!!), a jego popisowym numerem była piosenka wykonywana dla wybranej kobiety z widowni.

Razem z Ordonką wystąpił z recitalem w Wilnie, śpiewając kilka piosenek (partnerka kilkanaście). To wystarczyło, by cała Warszawa huczała od plotek na temat rzekomego romansu Syma i Ordonki.

Pogłoski nasiliły się po premierze „Gwiazd areny" – dziwacznego widowiska rewiowego wystawionego w namiocie Cyrku Braci Staniewskich w Warszawie. To rzeczywiście było niecodzienne przedsięwzięcie; połączenie kabaretu, rewii i popisów cyrkowych. A premiera omal nie okazała się zupełną klapą, zwierzęta cyrkowe zachowywały się w sposób całkowicie nieprzewidywalny.

Eugeniusz Bodo, kreujący rolę pogromcy lwów, znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie, uratował go dopiero zawodowy treser. Pieski Sempolińskiego, zestresowane gwarem publiczności, w ogóle nie chciały wykonywać jego poleceń, a gołębie nie chciały siadać na ramionach i głowie Toli Mankiewiczówny. Na dodatek kucyk, który miał gonić Stanisława Sielańskiego, zupełnie się znarowił i przerażony aktor uciekł przed nim za kulisy.

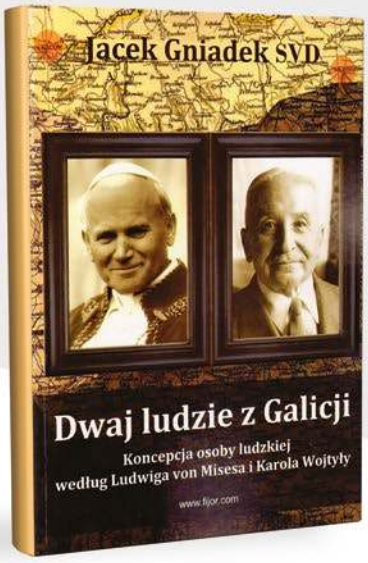
Przedstawienie uratowali Ordonka i Sym. Igo był wysportowanym mężczyzną i jego akrobatyczne popisy na trapezie na wysokości drugiego piętra (bez siatek zabezpieczających) zrobiły wrażenie, podobnie jak woltyżerka Hanki. A oboje w trakcie swoich popisów jeszcze śpiewali. I chociaż recenzent narzekał, że „szkoda głosu Ordonki dla widowiska w namiocie", to spektakl odniósł duży sukces. ©℗

eprasa.pl ed08a7b740

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK GNIADEK SVD: „DWAJ LUDZIE Z GALICJI” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1040~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 523 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl ed08a7b740



Wieczór wyborczy w sztabie partii Likud z udziałem jej lidera, Beniamina Netanjahu

FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Co zrobi Beniamin Netanjahu?



Wojciech Golonka

Netanjahu przegrywa wybory, Netanjahu wygrywa wybory, polityczny impas po wyborach – tak można by podsumować zmieniające się co kilka godzin nagłówki, od zakończenia wyborów w Izraelu we wtorek wieczorem po następny poranek, kiedy to spływające oficjalne wyniki dość dynamicznie korygowały sondaże exit poll w tej niezwykle rozdrobnionej demokracji

Omawiając bardziej interesujące fakty związane z tymi wyborami, siłą rzeczy powiązane z konfliktami na Bliskim Wschodzie, których gospodarcze skutki odczuwa cały Zachód, być może warto na wstępie, jako punkt odniesienia, przypomnieć zasadę, że czasem wszystko musi się zmienić, aby wszystko zostało po staremu.

Punkty niezgody między dotychczasowym obozem władzy a opozycją nie są wprawdzie znikome, jednak z naszej optyki oba te zwalczające się syjonistyczne bloki w ostatecznym rozrachunku więcej zdaje się łączyć niż dzielić. Wszak żaden z nich nie godzi się na rozwiązanie w postaci dwóch państw w Palestynie, oba chcą zbrojnego zniszczenia Hamasu, oba postrzegają Iran jako pierwszorzędne zagrożenie dla Izraela. Uproszczeniem byłoby stwierdzenie, że obozy te dzielą tylko szczegóły, jednakże równie dobrze można u nich skonstatować zasadniczą jedność celu w różnorodności środków. Otóż dotychczasowy rząd reprezentował awanturniczy syjonizm, który rzeczywiście spowodował na świecie niespotykaną dotychczas krytykę państwa żydowskiego, podczas gdy opozycja opowiada się za mniej burzliwą i poniekąd niekrwawą, acz wciąż ekspansjonistyczną formą syjonizmu. Akceptowalną ongiś przez praktyczne, bezsilne przyzwolenie tzw. wspólnoty międzynarodowej. Przyjrzyjmy się detalom tej interesującej układanki wewnętrznej polityki Izraela, rzutującej na politykę światową.

OSTATNI DZWONEK

Wybory parlamentarne cieszyły się rekordową, od 1999 r., frekwencją wynoszącą 77,7 proc. Tłumaczy się ją przede wszystkim nadzieją bloku opozycyjnego na odsunięcie koalicji 7 października od władzy, jak powszechnie nazywano obóz Beniamina Netanjahu i jego koalicjantów, przypisując im odpowiedzialność za brak udaremnienia krwawych zamachów z 2023 r. oraz zarzucając izolację Izraela na arenie międzynarodowej. Frekwencję tę tłumaczy się także pewną „świeżą krwią" w polityce, przywracającą nadzieję na zmiany; choć wśród liderów opozycji znaleźć można doświadczonych polityków, którzy już dzierżyli stery władzy w Izraelu, jak centrysta Ja'ir Lapid czy prawicowy Naftali Bennett (sam ongiś

eprasa.pl ed08a7b740

członek Likudu). Prym wśród nich wiedzie świeży w polityce, aczkolwiek mocno rozpoznawalny w społeczeństwie Gadi Eisenkot, w latach 2015–2019 szef Sztabu Generalnego Sił Obronnych Izraela, przez osiem miesięcy również minister bez teki w rządzie Netanjahu po zamachu z 7 października 2023 r., w tej bezprecedensowej w historii Izraela sytuacji kryzysowej (przypomnijmy: w zamachu Hamasu zginęło 1,2 tys. izraelskich obywateli, a 251 zostało przez Hamas uprowadzonych do Gazy, z czego 41 zmarło w niewoli).

Otóż Eisenkot, jak i cały blok opozycji, postawił sobie za cel odsunięcie i rozliczenie koalicji 7 października. Sugerując, że jest to ostatni dzwonek na uratowanie Izraela przed upadkiem na płaszczyźnie międzynarodowej, do którego doprowadziłyby dalsze rządy Netanjahu i jego radykalnych koalicjantów. Coraz częściej cieszących się na świecie reputacją zbrodniarzy wojennych lub ludobójców.

INSTRUMENTALIZACJA WOJNY

Nie ma wątpliwości, że ten przekaz uderzał w oczekiwania wyborców, których część – przedstawiciele żydowskiej diaspory – przyjechała dość licznie z zagranicy (szacunki mówią o 65–80 tys. ludzi), by wziąć udział w wyborach (w placówkach dyplomatycznych Izraela na świecie głosować może jedynie ich personel i urzędnicy państwowi wraz z rodzinami). Co więcej, od samego Netanjahu tuż przed wyborami postanowił odciąć się przewodniczący Światowego Kongresu Żydów Ronald Lauder, amerykański miliarder, darczyńca republikanów i bliski przyjaciel prezydenta Trumpa. Lauder, który sam przyznał, że pomógł wystartować politycznej karierze Netanjahu, zapewniając mu pierwszorzędne koneksje w amerykańskim uniwersum politycznym, w głośnym wywiadzie rzucił Netanjahu prosto pod koła autobusu, wywlekając nawet pazerność – jak twierdził – małżonki izraelskiego premiera w kwestii drogocennych upominków (Lauder jest jedynym spadkobiercą międzynarodowego konsorcjum kosmetycznego The Estée Lauder Companies Inc.). Innymi słowy, poniekąd jeszcze bardziej przed islamskim czy irańskim zagrożeniem, Żydzi na świecie postanowili chronić Izrael przed samym Netanjahu, któremu nie bez powodu zarzucają instrumentalizację wojny dla utrzymania się przy władzy, tj. prowadzenie obciążających kraj konfliktów zbrojnych bez planów ich zakończenia, a wręcz przeciwnie – z intencją ich eskalacji w razie potrzeby lub wszczęcia nowych. Przypomnijmy: Netanjahu mierzy się w Izraelu z dochodzeniem w kwestii korupcji, którego zaplanowane czynności są raz po raz zarzucane w sytuacjach kryzysowych osobliwie korelujących z harmonogramem śledztwa.

GRAFIKA ATOMOWEGO GRZYBA

Pod tym ostatnim względem głośnym echem na świecie odbiły się niepotwierdzone, ale rozpowszechniane wiarygodnie doniesienia o kolizji na ostatniej prostej między dowództwem armii a samym premierem. Miał on dążyć do uderzenia w Iran – najlepiej przy wsparciu USA – z nadzieją na kolejną rozróbę. Otóż obecny szef sztabu izraelskiej armii Ejal Zamir miał poinformować swego amerykańskiego odpowiednika, gen. Dana Caine'a, że zaatakowanie Iranu przez USA uniemożliwiłoby przeprowadzenie wyborów w Izraelu. Stawiając opór, Zamir miał również zażądać od samego Netanjahu pisemnych, uzasadnionych w bieżących okolicznościach wyborczych poleceń, paraliżując tym samym jego decyzje. Te doniesienia medialne wykorzystał w każdym razie Eisenkot, sam – jak wspomnieliśmy – były wojskowy, uroczyście wzywając armię i jej dowództwo oraz urzędników państwowych do powstrzymania się od wykonywania poleceń udaremniających możliwość przeprowadzenia wyborów.

Jakkolwiek było naprawdę, sam Netanjahu również nie stronił od retoryki egzystencjalnego zagrożenia dla Izraela, wskazując na swój ulubiony, już od 30 lat, lejtmotyw, tj. irański program nuklearny, bez unicestwienia którego Izrael wciąż stoi przed widmem atomowej zagłady. Lider Likudu opublikował nawet mającą wzbudzić poczucie grozy, wygenerowaną przez sztuczną inteligencję grafikę atomowego grzyba nad Tel Awiwem. Ma się rozumieć, tej retoryce bardzo łatwo zarzucić, że przecież USA i Izrael w ostatnich latach już kilkakrotnie unicestwiały wszelakie irańskie programy jądrowe, na co Netanjahu z góry odpowiadał, że tylko jego rząd, cieszący się najlepszymi relacjami z obecnym prezydentem USA, może dokończyć to, co jest praktycznie na wyciągnięcie ręki, obiecując poniekąd wyborcom dalszą konfrontację zbrojną z Iranem, tym razem ostateczną.

ZNIESIENIE PRZYWILEJÓW CHASYDÓW

Jak na tę kwestię zapatruje się opozycja, w kraju bądź co bądź znużonym kilkuletnią wojną, i jakie w ogóle są, co ważniejsze, różnice między oboma obozami, o których wspomnieliśmy na samym początku? Zostawmy z boku kwestię reformy sądownictwa, rzeczywiście dzielącej społeczeństwo (prawica chce m.in. wyzwolić ustawy Knesetu spod nadzoru Sądu Najwyższego). Z wyraźnych różnic: Eisenkot i jego koalicjanci chcą ukrócenia terroryzmu izraelskich osadników przejmujących siłą i rozbojem ziemie Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu, jednocześnie akceptując samo zjawisko stopniowej kolonizacji tych ziem. Aspirująca do władzy opozycja opowiada się także za zniesieniem przywilejów chasydów – chodzi głównie o ich wyłączenie z obowiązkowej służby wojskowej (Eisenkot, który stracił na wojnie najmłodszego syna oraz dwóch bratanków, jest pod tym względem szczególnie przykładny). Sęk w tym, że te różnice nie są niekompatybilne dla samego Likudu, byle oderwał się od religijnych koalicjantów (Ben-Gwir, Smotricz), których deklaracje i czyny najbardziej zantagonizowały izraelskie społeczeństwo oraz wzbudziły tak silny ostracyzm wobec rządów Netanjahu na arenie międzynarodowej.

Co poniekąd łączy Eisenkota z Netanjahu? Czy ich wizje wojen na rzecz bezpieczeństwa Izraela są aż tak odmienne? Eisenkot to przecież nie działacz Czerwonego Krzyża, a były pierwszy żołnierz Izraela, który po wojnie libańskiej z 2006 r., jeszcze jako dowódca sił Północy, sformułował doktrynę Dahija, od dzielnicy Bejrutu zbombardowanej przez Cahal, zaznaczając, że każda wioska czy miejsce, z którego Hezbollah ostrzeliwuje Izrael, będzie praktycznie równane z ziemią nalotami dywanowymi jako wrogi obiekt wojskowy. W praktyce Eisenkot nie tyle nie chce np. konfrontacji z Hezbollahem w Libanie, ile preferuje krótsze interwencje, mniej rozciągające i angażujące permanentnie armię i rezerwistów. Iran? Tak – dążenia nuklearne to śmiertelne zagrożenie dla Izraela, ale – jeśli już – nie należało uderzać w decydentów politycznych ani stawiać za cel

eprasa.pl ed08a7b740

wojny obalenie reżimu w Teheranie. Gaza? Według Eisenkota i jego sojuszników powrót mieszkańców jest do niej niemożliwy, on sam zaś twierdzi, że jako premier w 18 miesięcy zlikwiduje w Gazie zbrojny Hamas. Nieobciążony polityką ostatnich czterech lat Eisenkot zakłada po prostu racjonalizację i ekonomię działań wojennych definiowanych wobec strategicznych celów, zbieżnych jednakże z rozwijającym się syjonizmem. Czy współpraca jego liberalno-centrowej partii Yashar z prawicowym Likudem Netanjahu, obecnie dwóch najliczniejszych ugrupowań w Knesecie, jest naprawdę niemożliwa?

IMPAS WYBORCZY

Po pierwsze, blok opozycji poszedł do wyborów z hasłem odsunięcia Netanjahu od władzy i rozliczenia jego rządów, jednocześnie deklarując brak współpracy z blokiem niesyjonistycznych partii arabskich (chodzi o arabskich obywateli Izraela, rdzennych Palestyńczyków, których terytoria anektowano jeszcze w 1948 r., wobec których nadanie praw wyborczych było warunkiem przyjęcia Izraela do Organizacji Narodów Zjednoczonych). Gdy ukaże się ten artykuł, będą już znane definitywne wyniki wyborów, ale w tej chwili, kiedy podliczono wszystkie głosy poza głosami korespondencyjnymi sił zbrojnych itp., wiadomo, że wybory spowodowały klincz, przewidywany zresztą przez rzetelne sondaże. W 120-osobowym Knesecie nowy rząd powołuje grupa przynajmniej 61 posłów, tymczasem dotychczasowy blok Netanjahu posiada 53 posłów (utracił zatem kilkanaście miejsc), blok Eisenkota 48, a blok dwóch list wyborczych partii arabskich – łącznie 19 (te dane mogą ulec nieznacznej korekcie). Choć partie arabskie deklarują gotowość wzięcia współodpowiedzialności za kraj, współtworzenie przez nie rządu z Eisenkotem pozostaje czystą abstrakcją: Czy jako premier będzie on prosił np. o pozwolenie izraelskich Arabów na bombardowanie wiosek libańskich Arabów?

Mniej abstrakcyjne wydaje się porozumienie tych obu bloków opozycyjnych na rzecz przejęcia samego Knesetu, pierwszych działań legislacyjnych czy powołania komisji śledczej mającej wyjaśnić odpowiedzialność i zaniechania rządu w przypadku zamachów z 7 października 2023 r. Ale porozumienie parlamentarne to jeszcze nie to samo, co wyłonienie rządu (niezależnie od tego, czy byłby on większościowy, czy nawet tylko mniejszościowy), a w tym czasie pełniącym obowiązki premiera pozostanie… Beniamin Netanjahu, komukolwiek prezydent Jicchak Herzog nie powierzyłby misji utworzenia rządu.

Jeśli pierwszy to zadanie otrzyma Eisenkot, a utworzenie jakiegokolwiek trwałego rządu będzie – jak twierdzi wielu – zadaniem dlań praktycznie niemożliwym, beneficjentem tego impasu politycznego będzie Netanjahu, mogący liczyć wówczas w przyspieszonych wyborach na wiosnę na mobilizację własnego elektoratu, przy jednoczesnej demobilizacji elektoratu opozycji i partii arabskich. Przede wszystkim Netanjahu, jako tymczasowy premier, zachowuje teoretycznie możliwość rozpalenia na nowo wojny z Iranem – a wielu komentatorów, w tym były szef Mosadu, Dani Jatom, wskazywało, że do takiego uderzenia może dojść ze strony USA bezpośrednio po listopadowych wyborach uzupełniających do Kongresu, mających miejsce już 3 listopada. Innymi słowy, obecny impas wyborczy nie wyklucza możliwości kolejnych wyborów za kilka miesięcy oraz, na razie (choć na jak długo?) nie pozbawia Netanjahu, jako tymczasowego premiera, wszelakich narzędzi ucieczki do przodu w postaci konfliktów i eskalacji, w czym zdaje się on wirtuozem. A ta pokusa ucieczki do przodu będzie tym mocniejsza, im bardziej dotychczasowej władzy będzie się palił grunt pod nogami w postaci komisji śledczych i rozliczeń, nie wspominając o perspektywie międzynarodowego ścigania poszczególnych członków tego rządu (przy czym sam Izrael nie dokonuje ekstradycji swych obywateli).

GNIJĄCE STATUS QUO

Podsumujmy zaistniałą, po wyborach z 27 października, łamigłówkę: przeważająca część wyborców (blok Eisenkota i partii arabskich) chce odsunięcia i rozliczenia Netanjahu, a jednocześnie większość obywateli Izraela (upraszczając: bloki Eisenkota i Netanjahu) opowiada się za syjonizmem, praktyczną aneksją Gazy bez jej mieszkańców i za kolonizacją Zachodniego Brzegu, odrzucając w ogóle możliwość uczynienia z Autonomii Palestyńskiej niezależnego państwa. Z kolei znienawidzony po czterech latach rządów przez większość Beniamin Netanjahu cieszy się zarówno największym poparciem wśród wszystkich partii (20,7 proc. – dane po przeliczeniu 85 proc. głosów), jak i bloków koalicyjnych (43,7 proc.), oraz pozostaje „roboczo" premierem, cieszącym się wsparciem prezydenta Trumpa. Jeśli blok Eisenkota nie zdąży na czas rozwiązać trudności sformowania nowego rządu, które wydają się nieprzezwyciężalne, gnijące status quo będzie mu jedynie na rękę.

Wybory parlamentarne w Izraelu spowodowały klincz, przewidywany zresztą przez rzetelne sondaże

Jednakże, jakkolwiek burzliwe i mobilizujące, wybory w Izraelu Anno Domini 2026 są przede wszystkim kłótnią między syjonizmami różnych prędkości, ścierających się wśród Żydów o światopoglądach bardziej świeckich lub religijnych. Tematem tych wyborów w ogóle nie była kwestia powstania państwa palestyńskiego, co dla wielu jest przecież podstawowym warunkiem trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie. W rugby, kiedy zawodnik jest zbyt blokowany przez przeciwników, próbuje się podać piłkę zawodnikowi usytuowanemu wprawdzie z tyłu, jednak z czystym polem do dalszego rajdu. W innym wypadku casus zupełnie zblokowanego zawodnika z piłką rozwiązuje się przez młyn, w którym dwie drużyny przepychają się celem jej przejęcia. Patrząc głównie na partyjne waśnie izraelskiej polityki, mamy coś na wzór młyna, nabierając perspektywy, trudno jednak nie oprzeć się wrażeniu, że w rzeczywistości zachodzi podanie piłki w tył w obozie syjonizmu, otwierające nową fazę gry po czterech latach rządów Netanjahu, kiedy to sam syjonizm w jego wydaniu „ultra" zaczął Żydom odbijać się czkawką na arenie międzynarodowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740



FOT. ADOBE STOCK

OBUWNICZE PERYPETIE

Martina Starova od dłuższego czasu robi zakupy przez Internet. Czy po niedawnym doświadczeniu się to zmieni? Najpierw otrzymała zamówione buty, tyle że dwa prawe. Po reklamacji przysłano kobiecie właściwe – ale w innych kolorach. Za trzecim razem dostała parę tej samej barwy, lecz innych rozmiarów. Koniec końców 36-letnia Czeszka udała się do sklepu producenta zamówionego obuwia, gdzie wreszcie udało się jej dokonać satysfakcjonującej transakcji.

DYSERTACJE ROLNE

W Filadelfii ogłoszono rezultaty tradycyjnego, organizowanego co pięć lat konkursu na najoryginalniejsze magisteria amerykańskich uczelni o charakterze rolniczym. Spośród blisko 200 kandydatur przyznano trzy nagrody oraz dwa wyróżnienia. Podium zajęły prace: „Wpływ składu jajek na ich zdolności wylęgowe", „Przydatność córek rozmaitych reproduktorów na farmach krów mlecznych" i „Udział wody w odżywianiu kaczek hodowlanych". Natomiast wyróżniono tematy: „Jak prędkość, nachylenie oraz ruchy sita oddziałują na przesiewanie" oraz „Konsekwencje schorzeń kończyn występujących u buhajów inseminacyjnych".

POCIĄG DO JAZZU

Nieoczekiwany finał miała dla Paola Barazuttiego celebracja jego 70. urodzin. Hucznie obchodzono je w genueńskim klubie jazzowym, ponieważ jubilat jest zagorzałym entuzjastą swingu i dixielandu. Szczegółów jadłospisu serwowanego podczas urodzinowego wieczoru nie znamy, lecz z pewnością trunków nie zabrakło. Kiedy dobrze po północy wybrzmiały ostatnie dźwięki i goście opuszczali lokal, mocno podchmielonemu Barazuttiemu zamówiono taksówkę, która miała go odwieźć pod dom. Taksówka przyjechała, ale Włoch przeszedł przez parter budynku i opuścił go wyjściem awaryjnym – co utrwalił monitoring. Następnie poszedł na pobliską bocznicę kolejową, wsiadł do jednego z wagonów, po czym zasnął. Kilka godzin później obudził się we Florencji, dokąd skierowano skład z pasażerem na gapę.

SKARBY SPOD TAPETY

Odnalazła je niemiecka ekipa budowlana, odnawiająca mieszkanie w Kolonii. Ściany lokum w sędziwej, ponadstuletniej, kamienicy były częściowo oklejone tapetami, których usunięcie nakazał zleceniodawca robót remontowych. Pod jedną z oklein natrafiono na pożółkłą kopertę datowaną na luty roku 1933. Zawierała serię znaczków pocztowych z błędami drukarskimi, pochodzącą z roku 1897. Ich obecna wartość jest niebagatelna. Trwają ustalenia, kto 93 lata temu mieszkał pod tym adresem. ©℗ ***(TO-RT)***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Orbán na czele ONZ?

Informatorzy w trzech krajach potwierdzili, że administracja Donalda Trumpa poparła kandydaturę byłego premiera Węgier Viktora Orbána na stanowisko sekretarza generalnego ONZ – podał „The Wall Street Journal". Co więcej, według nowojorskiego dziennika to Amerykanie mieli zaproponować Orbánowi udział w wyścigu na szefa ONZ.

Urzędnik z Departamentu Stanu, z którym rozmawiali dziennikarze „WSJ", przyznał, że pomysł może wydawać się szalony, ale kandydaturę tę wstępnie poparły już też Rosja oraz Chiny.

Według „WSJ" plan umieszczenia Orbána na czele ONZ oczekuje jeszcze na ostateczną decyzję. Dziennik zaznaczył jednak, że kiedy USA, Rosja i Chiny chcą tego samego w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, to zazwyczaj osiągają swój cel.

Na rozstrzygnięcie w tej sprawie nie czekał były przewodniczący Rady Europejskiej, a obecnie szef rządu w Warszawie. Ten sam Donald Tusk najpierw w 2023 r. głosił, że Trump został zwerbowany przez rosyjskie służby, a następnie na konferencji w listopadzie 2024 r. oznajmił, że tego typu sugestii „nigdy nie zgłaszał" (wypowiedź premiera serwis Demagog oznaczył więc jako „fałsz").

Wpadka sprzed lat nie przeszkodziła premierowi wypowiedzieć się w sprawie Orbána. „Przed chwilą był kandydatem na szefa Komisji Europejskiej, wydaje mi się to równie zabawne, jak właśnie ta pierwsza plotka" – oznajmił z uśmiechem Tusk. A szef MSZ Radosław Sikorski ogłosił, że nie przewiduje, aby Polska wsparła kandydaturę Orbána na sekretarza generalnego ONZ. Czy było to roztropne? Przekonamy się niebawem. Kadencja Antónia Guterresa kończy się już w grudniu...

eprasa.pl ed08a7b740

Czy Ukraińcy popierają Zełenskiego?



Maciej Pieczyński

Donald Trump otwarcie oczekuje zmiany władzy w Kijowie. Sondaże pokazują, że Wołodymyr Zełenski cieszy się słabnącym, ale wciąż wysokim poparciem potencjalnych wyborców. W warunkach cenzury wojennej na te wyniki trzeba jednak patrzeć z dużą nieufnością

Inwazja rosyjska wywróciła ukraińską politykę do góry nogami. Na początku zapanowało porozumienie ponad podziałami. Zjednoczenie w imię walki z wrogiem zewnętrznym. Prezydent Wołodymyr Zełenski pozytywnie zaskoczył osobistą odwagą. Skutecznie wszedł w buty silnego przywódcy na czas wojny, czym zaimponował również przeciwnikom. Szybko jednak Ukraińcy zaczęli ironicznie określać prezydenta mianem „bonewtik", czyli „bo nie uciekł". Sens żartu polega na tym, że odmowa ewakuacji z Kijowa to tak naprawdę jedyna zasługa Zełenskiego po rozpoczęciu agresji rosyjskiej. Udało się obronić niepodległość, ale walka o granice coraz bardziej zdawała się bezsensowną wojną pozycyjną, prowadzoną z użyciem mięsa armatniego. Mężczyźni unikający przymusowej mobilizacji, początkowo odsądzani od czci i wiary, coraz częściej traktowani są przez opinię publiczną ze współczuciem. Mnożą się pytania o jakość przygotowania kraju do wojny. Widać też gołym okiem, że Zełenski obecną sytuację wykorzystuje do budowy swojej pozycji politycznej. Dyktatorskie i cenzorskie zapędy coraz trudniej uzasadnić koniecznością obrony przed Rosją.

EFEKT FLAGI

Ponadto w gronie polityków Zełenski nieszczególnie ma z kim przegrać. Petro Poroszenko czy Julia Tymoszenko to zgrane karty, obciążone dawnymi kompromitacjami, zarzutami korupcyjnymi itd. Niewiadomą pozostają młode gwiazdy obecnej wojny, takie jak były minister obrony Mychajło Fedorow. Komentatorzy apelujący o ustępstwa wobec Rosji, tacy jak Ołeksij Arestowycz czy Julia Mendel, w warunkach coraz bardziej brutalnej wojny raczej nie znajdują posłuchu. Jest oczywiście gen. Wałerij Załużny, który w sondażach często wyprzedza Zełenskiego, ale to wciąż kandydat wirtualny, jeszcze nie do końca zadeklarowany. Nie wiadomo też, co sobą reprezentuje poza w miarę sprawnym dowodzeniem armią w pierwszym okresie wojny.

Poza tym zewnętrzne zagrożenie wywołuje dobrze znany efekt flagi. W warunkach wojny jedność i skupienie wokół przywódcy są naturalnym priorytetem, a władza ma naturalną przewagę nad opozycją, bo w odróżnieniu od niej dysponuje realnymi narzędziami zapewniania bezpieczeństwa.

eprasa.pl ed08a7b740


FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Jakim więc realnym poparciem może się cieszyć Zełenski? Czy Donald Trump, nawołując do zmiany władzy nad Dnieprem, może wyrażać pragnienie większości Ukraińców? Na to drugie pytanie trudno odpowiedzieć pozytywnie. Po słynnej awanturze w Białym Domu Zełenski raczej zyskał w sondażach. Podobnie było po kłótni z Polską o „Bohaterów UPA". Ukraińcy zdają się doceniać asertywność swojego prezydenta. Zdają się – bo choć sondaże są jedyną konkretną miarą poparcia dla Zełenskiego, to jednak należy do nich podchodzić z dużą dozą ostrożności.

Nie ma dowodów na to, że badania opinii publicznej na Ukrainie są pisane przy ul. Bankowej, gdzie znajduje się siedziba głowy państwa. Szczególnie że ich wyniki bywają dla Zełenskiego niekorzystne. Ponadto w warunkach cenzury wojennej, terroru mobilizacyjnego i coraz mocniej przykręcanej przez władzę śruby Ukraińcy mogą udzielić odpowiedzi nieszczerych. Albo ze strachu przed potencjalnymi konsekwencjami. Albo dlatego, że w zdominowanej przez państwową propagandę telewizji widzą ciągle zatroskanego o losy kraju prezydenta. Sondaże nie są więc doskonałe, ale najprawdopodobniej odzwierciedlają realne tendencje poparcia. Podobnie jak w Rosji, gdzie nawet niezależne Centrum Lewady odnotowuje wyniki korzystne dla Władimira Putina (nie tak wysokie, jak chociażby rządowy WCIOM, ale tendencja jest analogiczna).

SONDAŻOWY EKSPERYMENT

Same ukraińskie ośrodki badań opinii publicznej wskazują na konkretne ograniczenia ich metod, co swoją drogą tylko umacnia ich wiarygodność. Na początku 2026 r. Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii (KMIS) przeprowadził ciekawy eksperyment. Pierwszą połowę respondentów zapytano o zaufanie do Zełenskiego. Druga grupa usłyszała nietypowe pytanie następującej treści: „Proszę pomyśleć o kimś, kogo pan/pani bardzo dobrze zna. To może być również pan/pani. Albo jakiś członek rodziny, kolega z pracy itd. My tej osoby nie znamy. Już pan/pani pomyślał/pomyslała? Czy ta osoba, o której pan/pani pomyślał/pomyślała, raczej ufa czy raczej nie ufa Wołodymyrowi Zełenskiemu?". Jak czytamy w opisie badania na stronie internetowej KMIS, dotychczasowe eksperymenty dowiodły, że takie sformułowanie pytania sprawia, że respondenci czują się zazwyczaj bardziej anonimowi. Dzięki temu odpowiadają szczerze również na bardzo niewygodne pytania, np. o prowadzenie jakiejś nielegalnej działalności. Pytający nie ma pewności, czy respondent mówi w swoim, czy w cudzym imieniu, i to dodaje respondentowi odwagi.

W obu przepytanych grupach Zełenski zyskał dobry wynik. Różnica okazała się jednak znacząca. U tych, którzy odpowiadali w swoim własnym imieniu, prezydent zyskał 61 proc. głosów. Z kolei pytanie metodą „wymyślonego znajomego" dało 53-procentowy rezultat. „Możemy więc przypuszczać, że realny poziom zaufania do Wołodymyra Zełenskiego jest nieco niższy niż ten wskazywany w sondażach" – czytamy w komentarzu KMIS do badania.

W zdominowanej przez rządową narrację telewizji brakuje treści opozycyjnych

Jaka jest przyczyna tego stanu rzeczy? Czyżby Ukraińcy bali się otwarcie krytykować swojego prezydenta? Według KMIS raczej nie jest to główny czynnik. Po pierwsze, media bez skrępowania wytykają błędy głowy państwa i jego otoczenia. Z tą tezą można się częściowo zgodzić. W zdominowanej przez rządową narrację telewizji brakuje treści opozycyjnych. Natomiast już niezależne portale internetowe regularnie i dość zdecydowanie krytykują Zełenskiego. Ukraińcy nie mają żadnego problemu, by do tego rodzaju treści dotrzeć, co z kolei pokazują inne badania – 81 proc. z nich codziennie korzysta z Internetu. Zdaniem badaczy z KMIS respondenci niechętnie deklarują brak zaufania do Zełenskiego, powodowani poglądami propaństwowymi: „Ludzie mogą krytykować prezydenta i być niezadowoleni z jego działań. Jednak mając świadomość potrzeby jedności w czasie wojny, w sondażu odpowiadają: „Tak, ufamy naszemu prezydentowi". Natomiast gdy tych samych ludzi pytamy o „wymyślonego znajomego", ten czynnik (stanowisko propaństwowe) odgrywa mniejszą rolę i otrzymujemy nieco inną ocenę zaufania". Tu warto się cofnąć jeszcze do października 2025 r. Wtedy KMIS zapytał o powojenną przyszłość Zełenskiego. Tylko zdaniem 25 proc. respondentów powinien pozostać na fotelu prezydenta. 36 proc. uznało, że po wojnie Zełenski powinien odejść z polityki, 14 proc. zaś życzy obecnej głowie państwa, aby stanął przed sądem. Już samo to, że KMIS przewidział taką możliwość odpowiedzi na pytanie, dowodzi, że raczej nie ma mowy o badaniach z góry przygotowanych pod dyktando obecnej władzy.

Widać tutaj również wspomniany efekt flagi. Ukraińcy niekoniecznie życzą sobie Zełenskiego na czele państwa po

eprasa.pl ed08a7b740

zakończeniu wojny. Dopóki jednak ona trwa, dopóty nieszczególnie się przeciwko niemu buntują i często szczerze deklarują poparcie dla niego. Jest to zatem poparcie nie tyle personalnie dla Wołodymyra Zełenskiego, ile dla samego urzędu prezydenta. W warunkach wojny jedność jest ważniejsza niż polityczne antypatie. Jednak gdy już nastanie pokój, wtedy zaczną się rozliczenia…

MILCZĄCE POROZUMIENIE

Trzeba też mieć świadomość specyfiki ukraińskich sondaży. Po wybuchu wojny istniała niepisana umowa, w myśl której ośrodki badań nie pytają o preferencje wyborcze, tylko o zaufanie do konkretnych polityków. „Od początku pełnoskalowej wojny istniało milczące porozumienie, by nie publikować preferencji wyborczych Ukraińców, żeby nie pogłębiać niepotrzebnie podziałów społecznych" – pisał w grudniu 2024 r. wpływowy ukraiński politolog Ołeksij Harań. Skrytykował przy tej okazji Centrum „Socjalnyj Monitorynh" za złamanie owego porozumienia. Centrum opublikowało wówczas sondaż wyborczy, z którego wynikało, że największe szanse na zwycięstwo w hipotetycznej kampanii prezydenckiej ma gen. Wałerij Załużny. W końcu z porozumienia zaczęło wyłamywać się coraz więcej ośrodków. Co jednak istotne, wątpliwe, by ta zmowa miała na celu sztuczne pompowanie Zełenskiego. Raczej chodziło rzeczywiście o łagodzenie podziałów. Zaufanie nie jest jednoznaczne z poparciem, choć zapewne spora część respondentów tak właśnie traktowała prawdziwy sens pytania.

Według sondażu KMIS, opublikowanego 20 października, Zełenskiemu ufa 54 proc. Ukraińców. Zaufanie do prezydenta utrzymuje się na podobnym poziomie od wielu miesięcy. W maju wynosiło jednak 61 proc. Do rekordowych 90 proc. z maja 2022 r. nie ma już powrotu. Widać więc wyraźnie, że poparcie systematycznie spada z biegiem kolejnych wojennych lat. I nikt nie próbuje tego pudrować.

Jeszcze istotniejsze są sondaże, w których wprost pada pytanie o poparcie w wyborach prezydenckich. „W drugiej turze Zełenski przegrałby z Załużnym, Budanowem i Fedorowem" – tak brzmiał tytuł artykułu na „Ukraińskiej Prawdzie", opisujący sondaż opublikowany przez SOCIS na początku sierpnia tego roku. Symulacja nie daje większych szans urzędującemu prezydentowi. Z Załużnym przegrałby 33,8 do 66,2 proc., z Fedorowem – 36,2 do 63,8 proc., a z szefem swojego biura Budanowem – 39,7 do 60,3 proc. Podobny rezultat wyszedł badaczom z SOCIS w grudniu 2025 r. Wtedy Załużny w dogrywce ewentualnego wyścigu po fotel przy Bankowej wygrał z Zełenskim stosunkiem 64 do 36 proc.

„Zełenski jest na pierwszym miejscu wśród tych, na kogo nie zagłosują w żadnym wypadku" – uważa socjolog Ihor Hryniw. Taką opinię wygłosił w wywiadzie dla „Ukraińskiej Prawdy" mniej więcej dwa miesiące temu. W rozmowie Hryniw przeanalizował narastające rozczarowanie ekipą rządzącą oraz rosnący elektorat negatywny Zełenskiego. Socjolog powołuje się na badania SOCIS, z którym to ośrodkiem jest związany. Wynika z nich, że ponad 90 proc. Ukraińców uważa, iż poziom korupcji w ich kraju jest wysoki albo bardzo wysoki, za co 57 proc. odpowiedzialnością obarcza osobiście samego prezydenta. Dla porównania: w lutym 2025 r. takich opinii było jedynie 36 proc. Kolejne afery w otoczeniu Zełenskiego zbierają swoje żniwo.

Błędy prezydenta Zełenskiego wytykają nie tylko jego polityczni przeciwnicy, lecz także niezależne media

Hryniw był wcześniej związany z obozem Petra Poroszenki. To jednak nie osłabia znacząco jego argumentacji, opartej na wynikach sondaży. Widać wyraźnie, że Ukraińcy w coraz większym stopniu dostrzegają personalne źródło patologii toczących ich państwo w Zełenskim.

Wreszcie o przekonującą analizę specyfiki sondaży przeprowadzanych w czasie wojny pokusił się pod koniec września znany ukraiński politolog Wołodymyr Fesenko. Nie neguje wiarygodności badań, wskazuje natomiast na ich istotne, niezawinione przez samych badaczy, ograniczenia. Po pierwsze, migracje wojenne. Wojna zmieniła strukturę demograficzną społeczeństwa. Po drugie, znaczna część Ukraińców odmawia odpowiedzi ankieterom, szczególnie na pytania dotyczące polityki czy sytuacji na froncie. Po trzecie, zdaniem Fesenki w sondażach przeprowadzanych metodą telefoniczną mogą wielokrotnie uczestniczyć te same, chętnie wypowiadające się osoby. Fesenko nie stwierdza, że sondaże są fałszowane. Podkreśla natomiast, że mogą oddawać nastroje przede wszystkim aktywnej, otwartej części społeczeństwa, a konkretnych wartości procentowych nie należy absolutyzować. Jego uwaga o bazach stałych respondentów jest hipotezą, nie dowodem dotyczącym konkretnego ośrodka.

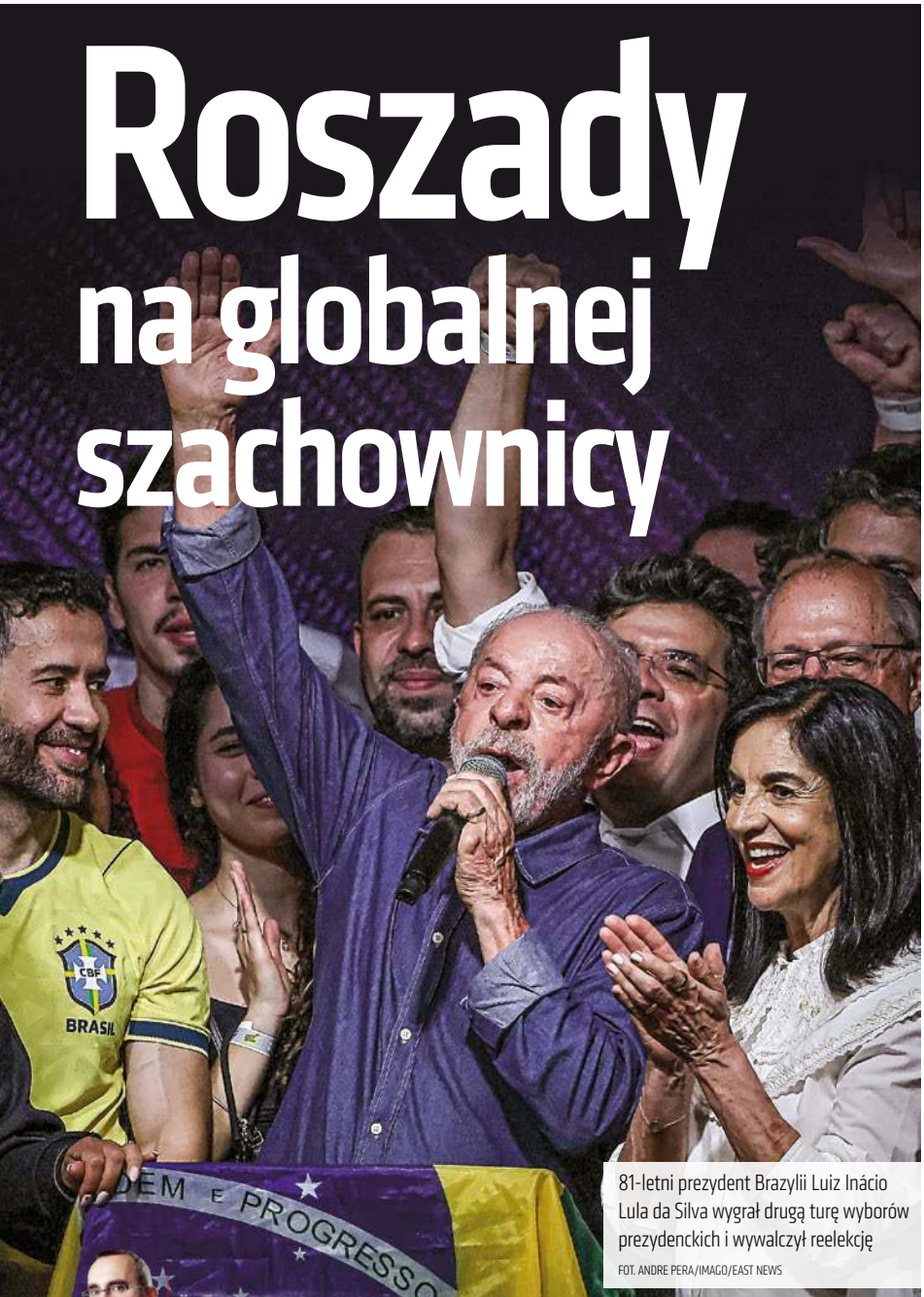
GŁOSY KRYTYCZNE

W Internecie znaleźć można mnóstwo głosów krytycznych pod adresem polityki Zełenskiego. Błędy prezydenta wytykają nie tylko jego polityczni przeciwnicy, lecz także niezależne media. Sondaże, choć generalnie przychylne Zełenskiemu, pokazują tendencję spadkową. Przywódca Ukrainy jest politycznym kolosem na glinianych nogach. Wciąż nie stracił całego kapitału, ugranego w pierwszych dniach, tygodniach i miesiącach inwazji rosyjskiej. Kapitał ten jednak ma dziś charakter bardzo niepewny, a przede wszystkim tymczasowy. Dopóki trwa wojna, dopóty Ukraińcom nie spieszy się do zmiany na stanowisku głowy państwa. Jednak jej zakończenie lub zamrożenie zapewne będzie zarazem początkiem końca Zełenskiego. Efekt flagi zniknie. Pozostaną zarzuty pod adresem lidera, który może i obronił niepodległość, ale nie potrafił ani utrzymać integralności terytorialnej, ani ochronić biologicznej tkanki narodu, ani zwalczyć korupcji. Realne poparcie Zełenskiego, obecnie zapewne sytuujące go na podium potencjalnych pretendentów do władzy, w zasadzie na pewno gwałtownie spadnie, gdy „dyktator wojenny" nie tylko przestanie być potrzebny, lecz także wręcz stanie się problemem, który trzeba (i wreszcie można) jak najszybciej rozwiązać. Załużny, Fedorow, Budanow – pewnie w tym pomogą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740

Roszady na globalnej szachownicy



81-letni prezydent Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva wygrał drugą turę wyborów prezydenckich i wywalczył reelekcję

FOT. ANDRE PERA/IMAGO/EAST NEWS



Jacek Przybylski

Gdyby w Brazylii w drugiej turze zwyciężył senator Flávio Bolsonaro, faworyt amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa, Chiny miałyby poważny problem. Ku uciesze Pekinu drugą turę wygrał jednak lewicowy Luiz Inácio Lula da Silva. Z kolei po odsunięciu od władzy reżimu Vučicia Rosja utraciła swego głównego, personalnego sojusznika na Bałkanach. I chociaż dla UE jest to szansa na nowe otwarcie, to Kreml na razie zachował kluczowe wpływy w Serbii

Brazylia. Piąty największy kraj świata – mniej więcej 27 razy większy od Polski – jest największym producentem i eksporterem soi na świecie oraz największym producentem ropy naftowej w Ameryce Południowej. Kraj ten zajmuje też czołowe miejsca w wydobyciu rudy żelaza, niobu (niezbędnego w lotnictwie i motoryzacji), a także boksytu czy manganu (wykorzystywanych do produkcji aluminium oraz stali).

Prezydent Trump przed wyborami jasno dawał do zrozumienia, że postrzega Brazylię jako kraj o ogromnym znaczeniu strategicznym dla Stanów Zjednoczonych. Obecny gospodarz Białego Domu nie ukrywa bowiem zamiaru odbudowy amerykańskiej strefy wpływów na zachodniej półkuli i konsekwentnie wspiera tych polityków, którzy są gotowi mu w tym pomóc.

Po pierwszej turze wyborów w Brazylii wiele wskazywało na to, że Amerykanom uda się przejąć wpływy również w tym kluczowym dla regionu państwie. Gwarantem dobrej zmiany miał być Flávio Bolsonaro, prawicowy senator i syn byłego prezydenta Jaira Bolsonaro. Miał na to spore szanse. W pierwszej turze (4 października) zdołał pokonać dotychczasowego lewicowego prezydenta Lulę da Silvę.

TARCZA AMERYK

Zwycięstwo Bolsonaro w pierwszej turze wyborów w Brazylii wpisywało się w widoczny od miesięcy wyraźny trend. W ostatnich kilku latach Ameryka Południowa i Środkowa odwracała się od tzw. różowego przypływu (czyli lewicowych i centrolewicowych rządów) i przesuwała się wyraźnie w konserwatywnym kierunku. Prawica na tym kontynencie odnotowała serię istotnych zwycięstw. W sierpniu do pałacu prezydenckiego w Kolumbii wprowadził się 48-letni prawnik o prawicowych poglądach Abelardo de la Espriella (fundamentem jego polityki zagranicznej jest zacieśnienie sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, dzięki czemu otrzymał publicznie poparcie Donalda Trumpa). W lipcu urzędowanie w Peru rozpoczęła Keiko Fujimori, pierwsza kobieta na tym stanowisku w historii kraju, która minimalnie, ale jednak pokonała w wyborach lewicowego rywala, przekonując wyborców wizją kraju bezpiecznego i stabilnego gospodarczo, a także… przychylnego obecnemu gospodarzowi USA.

eprasa.pl ed08a7b740



25 października studenci i ich przedstawiciele na listach odnieśli podczas wyborów w Serbii historyczne zwycięstwo
FOT. MARKO DJURICA/REUTERS/FORUM

Od marca nowym prezydentem Chile jest zaś José Antonio Kast, sojusznik Donalda Trumpa z Republikańskiej Partii Chile, który w wyborach w 2025 r. zdecydowanie pokonał komunistkę Jeannette Jarę. Konserwatyści utrzymujący bliskie stosunki z prezydentem Trumpem zwyciężali też w Argentynie (Javier Milei pod koniec 2023 r.) czy Boliwii (Rodrigo Paz Pereira pokonał pod koniec 2025 r. rządzącą partię socjalistyczną Ruch na rzecz Socjalizmu, kończąc tym samym trwającą blisko dwie dekady dominację lewicy w tym kraju). Również rządzący w Ekwadorze Daniel Noboa to od lat jeden z najbliższych sojuszników przywódcy USA (choć nie udało mu się przekonać mieszkańców kraju, by wyrazili zgodę na powrót po kilkunastu latach bazy sił amerykańskich, to z wielu relacji mediów wojska USA i tak bardzo intensywnie korzystają z rozbudowywanej bazy lotniczej Taura).

Od powrotu Donalda Trumpa do Białego Domu w styczniu 2025 r. konserwatyści przejęli też lub utrzymali władzę w Hondurasie i Kostaryce. W marcu 2026 r. w Doral na Florydzie odbył się pierwszy szczyt z udziałem Donalda Trumpa oraz przywódców z 12 państw Ameryki Łacińskiej i Karaibów. Prezydent USA podpisał wówczas jednostronną proklamację Tarczy Ameryk, zawierającą zobowiązanie władz w Waszyngtonie do walki z kartelami, szkolenia sił zbrojnych regionalnych partnerów USA i zwalczania zagrożeń spoza regionu (czytaj: Chin, choć ta nazwa oficjalnie w dokumencie nie pada). Drugi szczyt Tarczy Ameryk odbył się pod koniec września w Nowym Jorku (na marginesie obrad Zgromadzenia Ogólnego ONZ).

We wrześniu w tournée po regionie wyruszył również szef amerykańskiej dyplomacji, który w ciągu trzech dni odwiedził Kolumbię, Ekwador oraz Peru. – Jednym z naszych priorytetów jest wzmocnienie naszej obecności na półkuli zachodniej – przypominał Marco Rubio. W stolicach odwiedzanych krajów był zaś niemal u siebie. Dwóch z trzech prezydentów tych państw posiada zresztą podwójne obywatelstwo: kolumbijskie i amerykańskie oraz ekwadorskie i amerykańskie. Z kolei w Peru ministrem spraw zagranicznych jest Carlos Espá – były rzecznik prasowy ambasady Stanów Zjednoczonych w Limie.

Problem polega jednak na tym, że nie wszyscy wyborcy popierający konserwatywnych kandydatów są jednocześnie zwolennikami zwiększenia obecności sił USA w regionie. A wielu otwarcie się temu przeciwstawia. „Współpraca ze Stanami Zjednoczonymi, bez względu na to, jak szeroka i ważna by nie była, nie powinna oznaczać zastępowania interesów narodowych interesami innego kraju" – przekonywał na łamach centrolewicowego dziennika „República" wpływowy były szef peruwiańskiej dyplomacji Manuel Rodríguez Cuadros.

BRAZYLIJSKIE PODWÓRKO?

Brazylia miała być długo wyczekiwaną nagrodą dla Trumpa. Taką wisienką na geopolitycznym torcie, w którym coraz większe kawałki odkrawają sobie Chiny. A także dowodem na to, że choć Biały Dom nie może się pochwalić sukcesami na Ukrainie czy w Iranie, to może świętować to, że z kwartału na kwartał umacnia pozycję USA w Ameryce Łacińskiej.

Świętowanie po pierwszym zwycięstwie Bolsonaro zaczęto jednak zbyt wcześnie. Przez trzy tygodnie między pierwszą a drugą turą sytuacja w Brazylii mocno się zmieniła. Gdy prawicowi politycy zaczęli już toczyć spory o podział stołków w nowym rządzie, a zachodnie media miały już przygotowaną treść politycznego nekrologu 81-letniego skorumpowanego socjalisty, Lula da Silva ogłosił w swym czerwonym sztabie wielką mobilizację. Aby zerwać z wizerunkiem nudnego starca, odkrył magię smartfona (swój pierwszy taki telefon otrzymał dzień przed 81. urodzinami) oraz mediów społecznościowych (szybko nazwał sam siebie „królem selfie"). Zgodnie ze znaną również za oceanem zasadą „cóż szkodzi obiecać" Lula, mimo fatalnej sytuacji finansów publicznych, obiecał narodowi podwyżkę świadczeń socjalnych o 16 proc., zwiększenie państwowego wsparcia w spłacie kredytów, a nawet darmowy transport publiczny w weekendy.

Zadziałało. Wprawdzie ostatnie sondaże dawały minimalną przewagę Bolsonaro nad Lulą (50,89 proc. do 49,11 proc.), to w drugiej turze historycznych wyborów niespodziewanie już po raz czwarty zwyciężył jednak Luiz Inácio Lula da Silva. Według oficjalnych danych Najwyższego Trybunału Wyborczego (TSE) lewicowy polityk wywalczył reelekcję, zdobywając 64 256 232 głosy, czyli 51,79 proc. Na Flávio Bolsonaro głosowało 59 826 041 osób, co dało mu 48,21 proc. Taki wynik oznacza, że lewicowy prezydent w drugiej turze zdobył ponad 10 mln głosów więcej niż w pierwszej, a jego konserwatywny rywal uzyskał poparcie dodatkowych 3,7 mln wyborców.

Prawicowy senator nie uznał porażki, a ponieważ toczą się przeciwko niemu śledztwa w sprawie prania brudnych pieniędzy oraz unikania podatków, w poniedziałek Bolsonaro opublikował nagranie, na którym dziękuje zwolennikom i zdradza, że policja, aby go zastraszyć, poprosiła go o oddanie paszportu. – Nigdy nie myślałem o opuszczeniu kraju. Nikt nie zdoła mnie uciszyć – zapowiadał w poniedziałek. Mimo sądowego zakazu opuszczania Brazylii we wtorek już go w tym kraju nie było. Kandydat na prezydenta przedostał się najpierw do Argentyny, a następnie do Ekwadoru, by w środę wraz z rodziną wysiąść z prywatnego odrzutowca na lotnisku w Miami. W USA wnioskował

eprasa.pl ed08a7b740

o azyl polityczny i podkreślił, że to on jest prawdziwym przywódcą Brazylii, a „wybory ukradli przestępcy". Jego twierdzenia mogą nie być zupełnie pozbawione podstaw: rzeczywiście w historii demokratycznej Brazylii nie zdarzyło się jeszcze, aby kandydat, który przegrał pierwszą turę, nagle wygrał drugą.

Z kolei Lula, dziękując swym wyborcom, podkreślał, że kraj ten „nie będzie niczyim podwórkiem". To był też stały motyw w kampanii, w której bohaterem stały się również USA i Donald Trump. Socjalista oskarżał prawicowego senatora, że sprzedał duszę Amerykanom i przekonywał na wiecach, że tylko on jest gwarantem suwerenności kraju. Po wygranej Luli Brazylia będzie zapewne toczyć ostry spór handlowy z USA. Jednocześnie pozostanie w dobrych stosunkach z Unią Europejską i w świetnych relacjach z Chinami, które stanowią największy rynek zbytu dla brazylijskiej soi, rudy żelaza i ropy i które za poprzednich kadencji Luli zwiększyły inwestycje w Brazylii do największego poziomu w historii.

LATYNOSKI BAROMETR

Państwo Środka konsekwentnie zdobywa w Ameryce Łacińskiej coraz większe wpływy. Jest m.in. kluczowym partnerem gospodarczym Ekwadoru, Kolumbii czy Peru (Chiny są głównym partnerem gospodarczym tego kraju, a wielki głębokowodny port Chancay, położony ok. 80 km na północ od Limy, należy w 60 proc. do państwowej chińskiej firmy Cosco Shipping i jest kluczowym elementem „Szlaku Inków Nowej Ery"). Inwestorzy z Państwa Środka sprawnie wykorzystują uruchomioną w maju umowę UE-Mercosur (która spowodowała wygaśnięcie 35-procentowych ceł) i przenoszą do Ameryki Południowej produkcję samochodów osobowych.

Według opublikowanego w październiku sondażu LatinoBarómetro – przeprowadzonego wśród 17 państw – wpływ Chin w regionie po raz pierwszy w historii zaczyna być przez ankietowanych oceniany bardziej pozytywnie niż wpływ Stanów Zjednoczonych. W najnowszym badaniu aż 65 proc. respondentów pozytywnie oceniło oddziaływania Chin na region. W przypadku USA odsetek pozytywnych odpowiedzi wyniósł 57 proc. Tymczasem jeszcze w roku 2020 Pekin wyraźnie przegrywał w tej kategorii z Waszyngtonem (48 proc. do 60 proc.). Postrzeganiu Ameryki zaszkodzić mogła wojna celna oraz bombardowanie łodzi podejrzewanych o przemyt narkotyków. Samo porwanie prezydenta Nicolása Madury większość pytanych oceniła pozytywnie, ale tylko jedna trzecia uważała, że interwencja USA wyjdzie Wenezueli na dobre.

Sytuację polityczną w Wenezueli istotnie zmienić może fakt, że do kraju wróciła liderka opozycji i laureatka Pokojowej Nagrody Nobla María Corina Machado. Trump twierdzi, że nic nie wiedział o jej powrocie. Według Agencji Reutera amerykańscy urzędnicy wcześniej nakłaniali noblistkę do odłożenia podróży do ojczyzny. Po porwaniu Madury Biały Dom poparł bowiem byłą zastępczynię dyktatora, tymczasową prezydent Delcy Rodríguez.

SERBIA PO WYBORACH – WCIĄŻ MIĘDZY WSCHODEM I ZACHODEM

Na geopolitycznej szachownicy poza Waszyngtonem i Pekinem nadal obecna jest także Moskwa. Rosjanie rywalizują o wpływy w krajach, które są rozdarte między planami integracji z Unią Europejską a wejściem w orbitę wpływów Rosji. Modelowymi przykładami takich państw są nie tylko Gruzja i Mołdawia, lecz także Serbia.

Długoletni przywódca tego kraju Aleksandar Vučić przez lata mistrzowsko balansował między Brukselą, Moskwą i Pekinem. Początkiem końca jego rządów były gigantyczne protesty, które wybuchły po katastrofie budowlanej na świeżo wyremontowanym dworcu kolejowym w Nowym Sadzie. W listopadzie 2024 r. w wyniku zawalenia się betonowego zadaszenia zginęło 16 osób. Dla Serbów katastrofa stała się symbolem systemowej korupcji i patologii państwa rządzonego przez Vučicia i jego partię. Wielotysięczne manifestacje odbywały się nie tylko w Nowym Sadzie i Belgradzie, lecz także szybko rozlały się na ponad 400 miast i miasteczek. Głównym motorem napędowym protestów byli studenci. Po kilku miesiącach demonstracji zorientowali się, że aby móc realnie coś zmienić, muszą przejąć władzę. Ich ruch przekształcił się więc oficjalnie w Listę Studencką – Studenci Zwyciężają: o miejsca w parlamencie walczyli szanowani profesorowie, lekarze, eksperci, sportowcy czy artyści. Studencką listę otwierał kardiolog i nauczyciel akademicki Ilija Srdanović. Studentów reprezentował także m.in. były prezes banku centralnego oraz profesor Uniwersytetu w Belgradzie Dejan Šoškić. Wiele z osób walczących o mandat w parlamencie nigdy wcześniej polityką się nie zajmowało.

Aby jednocześnie uspokoić sytuację w kraju i przedłużyć czas swoich rządów, Vučić wpadł na pomysł taktycznej dymisji. Ponieważ prezydentem był już drugą kadencję i w przyszłym roku nie mógłby zgodnie z prawem ubiegać się o reelekcję, pod koniec września podał się do dymisji i wystartował w przedterminowych wyborach parlamentarnych. Spodziewał się bowiem zwycięstwa Serbskiej Partii Postępowej (SNS) i szybkiego objęcia stanowiska szefa rządu. Pierwszy raz od lat przeszacował swoje siły.

25 października studenci i ich przedstawiciele na listach odnieśli historyczne zwycięstwo. Przy rekordowej frekwencji udało im się nie tylko odsunąć od władzy Vučicia i jego ludzi, lecz zdobyć 141 mandatów z 250, co oznacza, że będą mogli sprawować rządy bez potrzeby szukania koalicjantów.

Teoretycznie zmiana w Belgradzie to szansa na przeciągnięcie Serbii do zachodniego kręgu wpływów. – Drzwi do UE są otwarte – zaznaczyła po ogłoszeniu wyników komisarz UE do spraw rozszerzenia Marta Kos. Serbia status kraju kandydującego ma od roku 2012. Na 35 rozdziałów negocjacji zamknięto dotąd… dwa.

Kreml po wyborach nie pozostał bierny. Moskwa ogłosiła, że liczy na „konstruktywne relacje", a nowe, „studenckie" władze publicznie zaznaczyły, że szanują Rosję jako historycznego obrońcę Serbii, a jednocześnie dostawcę taniego gazu, który pokrywa 80 proc. serbskiego zapotrzebowania na ten surowiec. Jeden z przedstawicieli Listy Studenckiej, socjolog Jovo Bakić, jasno zadeklarował, że nowe władze w Belgradzie nie zamierzają nakładać sankcji na Rosję, bo uważają, że byłoby to działanie bezcelowe i uderzające w interesy samych Serbów.

Wiele wskazuje więc na to, że Serbowie – od lat 90. nieufnie podchodzący do Zachodu i zajmujący wciąż twarde stanowisko w sprawie Kosowa – nadal chcą być gdzieś między Wschodem i Zachodem. A bitwa o to, kto będzie miał na Bałkanach większe wpływy, toczyć się będzie jeszcze długo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740



Z Georgem Simionem, liderem rumuńskiej prawicy, prezesem partii AUR i wiceszefem Europejskich Konserwatystów i Reformatorów

rozmawia Ryszard Czarnecki

Von der Leyen nie jest „prezydentką" Europy



FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

RYSZARD CZARNECKI: Rząd rumuński, a szerzej rzecz biorąc, wasze elity, które bezkrytycznie podchodzą do Unii Europejskiej, unieważniają wybory prezydenckie, dyskwalifikują kandydata na głowę państwa na podstawie plotek oraz aresztują Călina Georgescu, który cieszy się ogromnym poparciem wśród zwykłych Rumunów. Czego obawiają się władze w Bukareszcie?

GEORGE SIMION: To, co wydarzyło się w Rumunii, powinno niepokoić każdego Europejczyka, który wciąż wierzy, że wybory są podstawą demokratycznej legitymacji. W grudniu 2024 r. miliony Rumunów udały się do urn wybrać prezydenta kraju. Establishment polityczny nie przewidział wyniku I tury, a zamiast pozwolić na kontynuację procesu wyborczego – wybory unieważniono. Następnie Călinowi Georgescu uniemożliwiono start w powtórnych wyborach, wszczęto przeciwko niemu kilka postępowań karnych, aresztowano go, a następnie objęto aresztem domowym.

Niezależnie od tego, co kto sądzi o Călinie Georgescu jako człowieku czy polityku, taki ciąg wydarzeń nieuchronnie rodzi poważne pytania o kondycję rumuńskiej demokracji. Władze boją się utraty kontroli. Od 35 lat Rumunią rządzi ten sam ekosystem polityczny. Establishment jest przerażony tym, że obywatele mogą w końcu zdecydować, że mają już tego dość. AUR stanowi zagrożenie dla tego establishmentu z prostego powodu: nie prosimy o pozwolenie na reprezentowanie ludzi, którzy na nas głosują. Wierzymy, że suwerenność należy do narodu rumuńskiego i że władza polityczna musi powrócić do narodu rumuńskiego za każdym razem, gdy instytucje tracą demokratyczną legitymację.

Jakie scenariusze na przyszłość przewidujecie? Przedterminowe wybory? Dalszy rozkład skorumpowanego systemu?

Od upadku komunizmu w Rumunii nigdy nie odbyły się przedterminowe wybory parlamentarne. Konstytucja wyraźnie przewiduje mechanizm rozwiązania parlamentu po dwóch powtarzających się nieudanych próbach wyboru rządu. Rumunia od prawie pół roku znajduje się w stanie niestabilności politycznej. Czwarta już propozycja kandydata na premiera została przegłosowana w parlamencie przez partie establishmentowe, ale głębszy kryzys legitymizacji władzy nadal trwa.

Dlaczego tak wiele partii tak bardzo boi się wyborów? Ponieważ śledzą wyniki sondaży.

Kiedy obywatele nie rozpoznają już siebie w parlamentarnej arytmetyce wynikającej z wyborów przeprowadzonych wiele lat wcześniej, a powtarzające się próby utworzenia trwałego rządu kończą się niepowodzeniem, powrót do wyborców jest całkowicie normalny. To demokracja zrobi to, co powinna zrobić.

Czy lokalny establishment, a przede wszystkim ten w Brukseli, pozwoli konserwatywnej prawicy wygrać wybory parlamentarne w Rumunii w 2028 r. i wybory prezydenckie w roku 2029? Czy ponownie unieważnią wybory, jeśli wyniki nie zadowolą obozu globalistycznego? Czy usuną niewygodnych polityków z list wyborczych?

Nie uważam, że Rumuni powinni kiedykolwiek prosić Brukselę o pozwolenie na wybór swojego rządu. To właśnie taka mentalność wyrządziła szkodę narodom Europy Środkowo-Wschodniej. Instytucje europejskie powinny gwarantować wspólne zasady oraz podstawowe prawa i wolności. Nigdy nie powinny stać się arbitrami decydującymi, które partie i rodziny polityczne mają moralne prawo do rządzenia państwami członkowskimi.

Czy mogę zagwarantować, że to, co wydarzyło się w 2024 r., nigdy się nie powtórzy? Nie. Powstał bardzo niebezpieczny precedens. Dlatego następne wybory muszą być przeprowadzone pod maksymalną kontrolą krajową i międzynarodową, z przejrzystymi zasadami oraz z udziałem instytucji, które rozumieją, że wykluczanie kandydatów lub unieważnianie głosów musi pozostać najbardziej wyjątkowym środkiem, jaki można sobie wyobrazić.

Największym błędem, jaki mogłaby popełnić Bruksela, byłoby dalsze dzielenie Europejczyków na akceptowalnych demo-

eprasa.pl ed08a7b740

kratów i nieakceptowalnych wyborców. Nie można przez lata wmawiać ludziom, że demokracja jest jedną z fundamentalnych wartości europejskich, a potem być przerażonym, gdy ci ludzie wykorzystują demokrację, by zastąpić polityczną elitę.

Proszę wybaczyć mi szczerość, ale mam wrażenie, że zdecydowana większość elity politycznej państwa kraju nie postrzega Rumunii jako jednego z sześciu największych państw UE, ale raczej jako mały kraj – taki jak np. Litwa – i uważa, że nie macie innego wyboru, jak tylko odgrywać rolę pośrednika dla Brukseli i stosować się do dyktatu Berlina i Paryża. Czy da się zmienić ten sposób myślenia?

Rzeczywiście, Rumunia jest szóstym co do wielkości państwem członkowskim Unii Europejskiej pod względem liczby ludności. Jesteśmy krajem liczącym 19 mln obywateli, położonym nad Morzem Czarnym, na wschodniej granicy NATO, dysponującym ogromnym potencjałem rolniczym, znacznymi zasobami energetycznymi, jedną z największych diaspor w Europie oraz wyjątkową pozycją strategiczną między Europą Środkową, Bałkanami i regionem Morza Czarnego.

A jednak część naszej klasy politycznej nadal zachowuje się tak, jakby Rumunia miała udać się do Brukseli na kolanach, a następnie wrócić do domu, by wyjaśnić, dlaczego realizacja takiej czy innej decyzji stanowi przejaw „europejskości". Ta mentalność musi się skończyć. Bycie proeuropejskim nie oznacza bycia posłusznym. Francja broni francuskiego rolnictwa. Niemcy bronią niemieckiego przemysłu. Polska negocjuje w obronie polskich interesów. Włochy ponownie nauczyły się przemawiać w Europie głosem wielkiego narodu. Nikt nie oskarża tych krajów o antyeuropejskość tylko dlatego, że wiedzą, czego chcą. Rumunia zdecydowanie musi postępować tak samo.

Jeszcze w tym roku odbędą się bardzo ważne wybory do hiszpańskich Kortezów, a w przyszłym roku prawdziwy festiwal wyborów w całej Europie: wybory we Francji (prezydenckie), we Włoszech i w Polsce, ale także, np. w Finlandii i Grecji. Czy jako wiceprzewodniczący partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów uważa pan, że rok 2027 będzie kolejnym rokiem „konserwatywnej rewolucji"?

Europa wkracza w niezwykły cykl wyborczy, który może głęboko zmienić równowagę w polityce na Starym Kontynencie. Przez wiele lat obywatelom krajów UE wmawiano, że pewne kwestie polityczne zostały już rozstrzygnięte i dlatego nie podlegają już demokratycznej debacie. Masową migrację przedstawiano jako nieuniknioną. Zielony Ład w swoich najbardziej radykalnych formach przedstawiano jako nieunikniony. Podobnie jak erozję kompetencji krajowych. Każdy, kto pytał, czy te polityki faktycznie działają, był często spychany poza granice szanowanej debaty. Jednak obywatele narodów Europy ponownie poruszają te kwestie.

Jeśli konserwatyści zdobędą zaufanie obywateli, muszą wykazać, że potrafią lepiej rządzić: zabezpieczyć granice, przywrócić konkurencyjność, wspierać rodziny, ograniczyć niepotrzebną biurokrację, odbudować europejski przemysł, utrzymać porządek publiczny i bronić Europy bez niszczenia suwerenności narodowej. Istnieje inna droga: Europa Narodów współpracujących ze sobą.

To poseł do Parlamentu Europejskiego z pańskiej partii, Gheorghe Piperea, złożył w Parlamencie Europejskim wniosek wzywający do odwołania Ursuli Gertrud von der Leyen ze stanowiska przewodniczącej Komisji Europejskiej. Wniosek ten spotkał się z nieoczekiwanie silnym, choć niewystarczającym, poparciem. W każdym razie podczas waszych demonstracji – które osobiście obserwowałem w Bukareszcie, a ostatnio także w Brukseli – od dwóch lat słychać wezwania do dymisji Niemki z funkcji szefowej Komisji Europejskiej. Czy zgłosicie kolejny formalny wniosek o jej odwołanie?

Wniosek naszego kolegi był ważny właśnie dlatego, że przełamał tabu. Nie zbliżył się on nawet do progu dwóch trzecich głosów wymaganego do odwołania Komisji, ale pokazał, że krytyka przywództwa Ursuli von der Leyen nie ogranicza się już do pojedynczych głosów.

Czy poparłbym kolejny wniosek, gdyby uzasadniały to przesłanki polityczne i instytucjonalne? Oczywiście. W Europie rozwinęła się „kultura wykonawcza", w której fundamentalne decyzje są coraz częściej podejmowane z dala od krajowych elektoratów, podczas gdy demokratyczna odpowiedzialność pozostaje słaba. Obserwujemy ciągłe próby rozszerzania politycznej roli Komisji Europejskiej na obszary, w których decydującą rolę powinny nadal odgrywać rządy krajowe.

Komisja nie jest rządem europejskiego superpaństwa, a jej przewodnicząca nie jest „prezydentką" Europy. Naszym obowiązkiem jest dalsze wywieranie presji politycznej i przypominanie każdej instytucji europejskiej, że odpowiedzialność nie jest ekstremizmem, lecz demokracją!

Po upadku komunizmu na początku lat 90. PKB krajów europejskich stanowił ponad jedną piątą (21 proc.) światowego PKB. Trzy dekady później wynosi on zaledwie jedną siódmą (14 proc.) globalnego PKB. UE znajduje się na równi pochyłej, jeśli chodzi o konkurencję z innymi kontynentami pod względem gospodarczym, a także demograficznym i wpływów politycznych. Czy Stary Kontynent upadnie? Czy jest to proces nieodwracalny?

Upadek jest faktem, ale nie jest nieunikniony. Europa wciąż posiada niezwykłe atuty: jedną z najlepszych na świecie infrastruktur, sieć uniwersytetów i instytucji naukowych, wysoko wykwalifikowaną siłę roboczą, zgromadzony kapitał, znaczny potencjał przemysłowy, ogromny wspólny rynek, wpływy kulturowe, wreszcie narody o wielowiekowym doświadczeniu instytucjonalnym. Problem polega na tym, że zbyt wiele czasu poświęciliśmy na osłabianie naszej konkurencyjności.

Migracja jest częścią tego samego braku odwagi politycznej. Europa ma prawo kontrolować swoje granice. Każde suwerenne państwo ma prawo decydować, kto wjeżdża, kto pozostaje i na jakich warunkach. Problemu demograficznego nie rozwiąże sprowadzanie coraz większej liczby osób spoza Europy. Cywilizacja, która nie stwarza już warunków do rozkwitu własnych rodzin, boryka się z problemem głębszym niż niedobór siły roboczej.

Europa musi również odzyskać odwagę do obrony swoich interesów gospodarczych. Potrzebujemy przystępnej cenowo i niezawodnej energii, inwestycji technologicznych, mniej biurokracji, silniejszych granic zewnętrznych, poważnych zdolności obronnych, ochrony strategicznych gałęzi przemysłu oraz umów handlowych opartych na wzajemności, a nie na ideologicznym entuzjazmie.

Unia Europejska przetrwa tylko wtedy, gdy zrozumie, że narody Europy stanowią jej fundament, a nie przeszkodę, którą należy stopniowo usuwać. Ludzie będą bronić europejskiej współpracy, gdy poczują, że chroni ona ich dobrobyt, bezpieczeństwo i sposób życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740



Ostry zakręt chińskiej gospodarki



Adam Wielomski

Xi Jinping w swoich przemówieniach kreśli wizję wysokotechnologicznej rewolucji przemysłowej, która ma być dla Chin ratunkiem przed gospodarczą stagnacją i pułapką średniego dochodu. Drugim aspektem rewolucji ekonomicznej, o której Xi Jinping i Komunistyczna Partia Chin tyle mówią, jest gotowość do przyjęcia warunków zimno- lub gorącowojennych

Chiny mają ostatnio problemy ekonomiczne, wiążące się ze spowolnieniem wzrostu gospodarczego. Ekonomiści zajmujący się badaniami porównawczymi wskazują na zakończenie trwającego od 1978 r. wzrostu PKB dochodzącego do 10 proc. rocznie i dojście chińskiej ekonomii do sytuacji zagrożenia zjawiskiem tzw. pułapki średniego dochodu czy też średniego wzrostu. W Polsce przeoczyliśmy moment wejścia w ostry zakręt chińskiej gospodarki, ponieważ przypadkowo zbiegło się to z czasem rozpoczęcia pandemii covidowej, lockdownów i wygaszania gospodarki w 2020 r. Jednak po zakończeniu pandemii, wyjąwszy okres odbicia w 2021 r. (8,6 proc.), tempo wzrostu PKB wyraźnie spadło, do ok. 5 proc. rocznie.

PUŁAPKA ŚREDNIEGO WZROSTU

Czym jest pułapka średniego wzrostu/dochodu? To punkt krytyczny każdej szybko rosnącej gospodarki, który ma miejsce przy dochodach PKB na głowę na poziomie 15–20 tys. dol. rocznie. Aż do tego momentu gospodarka ma niezwykle mocne atuty wzrostu: 1. bardzo niskie płace, co powoduje wysoką konkurencyjność jej produktów na rynkach światowych, a to zachęca do licznych i dużych inwestycji kapitał zagraniczny; 2. niski poziom urbanizacji, czyli olbrzymie ilości zapasowego rezerwuaru siły roboczej pozwalającej na otwieranie nowych fabryk; 3. napędzanie wzrostu za pomocą inwestycji infrastrukturalnych (koleje, lotniska, autostrady i drogi). Mówiąc wprost, ten, kto zaczyna z bardzo niskiego pułapu, bardzo szybko rośnie i się bogaci. Z im niższego poziomu zaczyna, tym przy liberalizacji gospodarki osiąga ten wzrost szybciej. W momencie otwarcia gospodarki chińskiej w 1978 r. przez Deng Xiaopinga średni dochód roczny na głowę wynosił tutaj zaledwie ok. 200 dol. Dziś jest to ok. 14 tys., przy czym w miastach graniczna liczba ok. 15–20 tys. dol. została już dawno przekroczona, gdy na wsi jest do niej jeszcze dość daleko. Niestety, wieś chińska nadal ma niską wydajność pracy i jest przeludniona, gdy płace w miastach powodują, że chińskie towary fabryczne nie są już tak konkurencyjne jak niedawno. Szczególnie że w okres pierwszej fazy wzrostu weszli też konkurenci, zwłaszcza Indie, gdzie praca jest znacznie tańsza.

W 2024 r. miała miejsce Trzecia Sesja Plenarna XX Komitetu Centralnego Ko-

eprasa.pl ed08a7b740

munistycznej Partii Chin, gdzie przyjęto dwa dokumenty o ogólnej sytuacji kraju, poświęcając większość miejsca problemowi groźby wejścia Chińskiej Republiki Ludowej w pułapkę średniego dochodu. W odróżnieniu od różnych komunistycznych plenów z dziejów PZPR dokumenty chińskie należy studiować z uwagą, gdyż jest to szczegółowy plan rozwoju ekonomicznego, który przez następne pięciolecie jest bardzo dokładnie realizowany (tak przynajmniej było z ostatnimi planami pięcioletnimi). To jakby instrukcja obsługi chińskiej ekonomii w następnych pięciu latach. Z kolei zapisy dotyczące polityki zagranicznej w tych dokumentach zawsze są ogólnikowe, gdyż nie da się zaplanować takiej polityki pięć lat do przodu w zmiennych warunkach międzynarodowych.

W dokumentacji tej nie znajdziemy pojęcia pułapki średniego dochodu. Albo chińscy ekonomiści nie używają tego amerykańskiego pojęcia, albo nie chciano straszyć własnych obywateli rysującymi się problemami. Mimo to prawie cała dokumentacja tej właśnie kwestii jest poświęcona. W krótszym „Komunikacie" (ang. Communiqué) czytamy, że dalsza modernizacja Chin wymaga „wzrostu wysokiej jakości", czyli „nowej fazy naukowej i technicznej rewolucji oraz transformacji przemysłowej", co wymaga dalszego odchodzenia od ideologicznego myślenia na rzecz „otwarcia umysłów, poszukiwania prawdy za pomocą faktów i dostosowania się do ducha czasów". Pragmatyzm ma pozwolić w 2035 r. zakończyć proces budowy „socjalistycznej gospodarki rynkowej o wysokim standardzie", z czego należy rozumieć, że KPCh tyle sobie daje czasu na przestawienie gospodarki na wysokie technologie. Równocześnie dokument ten jasno stwierdza, że przejście ekonomii chińskiej na wysokie technologie nie będzie procesem łatwym i przejścia tego nie zapewni „niewidzialna ręka rynku", ponieważ ani prywatni przedsiębiorcy, ani państwowi menedżerowie w gospodarce uspołecznionej tych technologii nie znają i nie mają pojęcia, jak je wyprodukować, co nabyć i jak je wdrożyć w życie. Dlatego to centralne sterowanie musi wziąć na siebie państwo, wspomagane przez instytuty naukowe suto dofinansowywane na badania.

W dłuższej „Rezolucji" (ang. Resolution), liczącej aż 90 stron, mamy już szczegółowo opisane konieczne zmiany i rolę państwa w ich przeprowadzeniu. Mamy tutaj opisany ambitny projekt przejścia Chin z państwa produkującego głównie dobra materialne do mocarstwa światowego stojącego na czele przemian prowadzących do e-ekonomii za pomocą „naukowo-technicznej rewolucji". Celem jest model ekonomiczny, „w którym rynek odgrywa decydującą rolę w alokacji zasobów, co pozwala rządowi lepiej wypełniać jego zadania", które polegają na „zabezpieczeniu i wzmocnieniu naukowym i technologicznym, a także promocji rozwoju".

W nastawionym na sukces społeczeństwie państwo musi odtworzyć tradycyjną rodzinę, bo rodzina to konsumpcja

Na czym ta pomoc rządu ma polegać? Na znaczącym wzmocnieniu rynku wewnętrznego. Kierownictwo partyjno-państwowe zdaje sobie sprawę, że Chiny nie mogą rozwijać się wyłącznie jako „fabryka świata", gdzie tylko tanio się produkuje i eksportuje na cały świat. Ze zbliżania się do bariery PKB na głowę, od której zaczyna się pułapka średniego dochodu, chińskie produkty siłą rzeczy muszą być mniej atrakcyjne, szczególnie w porównaniu z tymi, które pochodzą z państw przechodzących pierwszą fazę wzrostu (Indie, Indonezja).

Trzeba się z tym problemem zmierzyć, acz jedyne możliwe rozwiązanie uczyni chiński eksport jeszcze mniej atrakcyjnym. Jakie to rozwiązanie? Chodzi o podniesienie płac i rozbudowę systemu socjalnego (dotąd będącego prawie w powijakach), aby zwiększyć konsumpcję wewnętrzną. Mający środki finansowe chiński konsument musi w większym stopniu napędzać produkcję. Rynek samoistnie szybko tej przemiany nie przeprowadzi (wbrew neoliberalnej teorii „skapywania" bogactwa z góry na dół). Stąd potrzeba przeprowadzenia reform socjalnych. Państwo musi wziąć na siebie przeprowadzenie tych reform, szczególnie istotnych przy powiększającej się liczbie emerytów, a także w celu zapobieżenia problemom demograficznym. Państwo musi uruchomić wielki projekt pronatalistyczny, czyli system zasiłków, wsparcia finansowego dla wychowania i kształcenia dzieci. W nastawionym na sukces społeczeństwie państwo musi odtworzyć tradycyjną rodzinę. Jeśli nie wielodzietną jak dawniej, to przynajmniej większą niż model 2 + 1. Rodzina to konsumpcja.

Drugim rozwiązaniem jest wspomniana już e-rewolucja, powstanie e-gospodarki, która do tej pory traktowana była po macoszemu jako ta część ekonomiki narodowej, która niczego realnego nie wytwarza. Państwowe instytuty muszą wygenerować chipy, Internet rzeczy, najnowsze modele AI, nowoczesne materiały, rozwiązania biomedyczne etc. Państwo równocześnie musi zachęcić przemysł do przeprowadzenia Zielonej Rewolucji, do której Chiny akurat są – w odróżnieniu od Unii Europejskiej – znakomicie przygotowane, będąc prawie monopolistą w dziedzinie metali ziem rzadkich (ok. 90 proc. światowego eksportu).

Trzecim punktem rewolucyjnej zmiany ekonomicznej musi być bezpieczeństwo ekonomiczne. Chiny w ostatnich latach przeżyły kilka załamań giełdy i bankructw wielkich banków, na których ucierpiało kilkadziesiąt milionów ludzi. Z kolei w wyniku wielkiego kryzysu finansowego świata zachodniego i połączonej z nim części Azji (2007–2009) z dnia na dzień stały się drugą gospodarką świata, gdyż zjawisko to prawie ich nie dotknęło, ponieważ Pekin nie zliberalizował zasad spekulacji na giełdzie i nie uległ neoliberalnej modzie na woluntaryzm kredytowy w swoim systemie bankowym. Teraz Komitet Centralny KPCh uznał, że kryzysy takie będą coraz częstsze i coraz groźniejsze. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że e-ekonomia nie jest oparta na realnej produkcji, co sprzyja spekulacji, a więc musi znajdować się pod kontrolą. Po drugie, od kryzysu globalizacji, którego początkiem były sankcje nałożone w 2022 r. na Rosję przez Zachód, wolny rynek światowy został zagrożony w swoich podstawach. Podobnie jak Klaus Schwab w swoich publikacjach, także Chińczycy uznali, że zagrożone zostały łańcuchy dostaw, czyli systemy dostaw rzadkich i strategicznych surowców, chipów i zaawansowanych technologii, a także rynki zbytu przez politykę protekcjonistyczną. Warunkiem stabilnego wzrostu jest zatem stabilność łańcuchów dostaw – produkcji – zbytu. Ochronić te

eprasa.pl ed08a7b740

łańcuchy może tylko państwo poprzez dyplomację i swoje siły zbrojne.

GLOBALNE STARCIE Z USA

Dokument KPCh z planami rozwojowymi na kolejne pięć lat siłą rzeczy nie może szczegółowo omawiać przyszłych kwestii międzynarodowych. Jego autorzy ograniczyli się zatem do stwierdzenia, że Chiny nadal popierają wolny rynek światowy i globalizację ekonomiczną, lecz nie ideologię w postaci globalizmu, czyli budowy rządu światowego lub też hegemonii nad światem Stanów Zjednoczonych. Wielki rynek światowy winien współistnieć z tradycyjną zasadą suwerenności państw. Na temat bieżących wydarzeń w polityce międzynarodowej więcej znajdziemy w wydanym ostatnio tomie piątym „Zarządzania Chinami" Xi Jinpinga (The Governance of China, 2025), będącym antologią wystąpień publicznych prezydenta ChRL z lat 2022–2024.

W swoich wystąpieniach Xi Jinping powtarza i w większych szczegółach rozwija tezy KPCh dotyczące procesu rewolucji ekonomicznej, aby uchronić Chiny przed pułapką średniego wzrostu. Nie będąc ekonomistą, a szczególnie specjalistą od najnowszych technologii i ich skutków ekonomicznych, ograniczę się zatem do tego, co wiąże się z polityką międzynarodową. Zwraca uwagę pozorny brak zainteresowania chińskiego prezydenta konfliktem zbrojnym na Ukrainie, o którym chiński przywódca wspomina tylko czterokrotnie i zawsze zdawkowo. Ten brak zainteresowania jest oczywiście pozorny, ponieważ konflikt ten to część szerszego procesu pęknięcia świata globalnego na skonfliktowane ze sobą mocarstwa: Stany Zjednoczone, Rosję, Chiny i wiecznie bezdecyzyjną Unię Europejską. Narodzinom nowej zimnej wojny między Wschodem a Zachodem na teatrze europejskim w Azji dodatkowo towarzyszą dwa niezabliźnione konflikty z okresu zimnej wojny: konflikt koreański i sprawa unifikacji ChRL z Tajwanem. Xi Jinping podkreśla, że Chiny nie dopuszczą do ogłoszenia przez zbuntowaną wyspę niepodległości i będą taki akt traktowały jako wynik amerykańskiej inspiracji. To zaś godziłoby w „godność i fundamentalne interesy Chin".

Niezgoda na ogłoszenie suwerenności Tajwanu nieraz już padała z ust chińskich przywódców, także Xi Jinpinga. Nowością jest deklaracja, że za winnego tej sytuacji uznane zostaną Stany Zjednoczone i Pekin nie cofnie się przed wojną z tą potęgą. Pekin ogłasza, że w razie konieczności jest gotowy do konfrontacji militarnej z Waszyngtonem. Co ciekawe, większość specjalistów amerykańskich uważa, że by ją wygrał – choćby ze względu na odległość floty USA od swoich baz i zaopatrzenia. W ogóle trudno nie dostrzec, że w porównaniu z wystąpieniami Xi Jinpinga z ostatnich lat więcej się mówi o gotowości do wojny, a proces ten narasta wraz z rosnącą potęgą Chin (także militarną) i słabnięciem pozycji USA w świecie. Nie mając dostępu do wystąpień chińskiego przywódcy w tej chwili, gdy Amerykanie wyczerpali swoje zasoby broni precyzyjnej w Iranie i sami potrzebują przynajmniej kilku lat na ich odbudowę, mogę tylko przypuszczać, że ten ton musi narastać. W dostępnych mi przemówieniach z lat 2022–2024 mnożą się stwierdzenia o godności chińskiej. Charakterystyczna jest także mała zmiana w tłumaczeniach wystąpień Xi Jinpinga na języki zachodnie. Gdy kiedyś przemawiał on w imieniu chińskiego ludu (w dostępnych mi translacjach francuskich peuple, a w angielskich people), to w omawianym tomie V antologii dzieł cały czas pojawia się naród (ang. nation). Konsekwentnie zamiast „interesu ludu" pojawia się „interes narodowy", ten zaś obejmuje nie tylko Chińczyków zamieszkałych w Chinach kontynentalnych, lecz także na Tajwanie. Co więcej, na tę zmianę lingwistyczną nakłada się interpretacja chińskości przez pryzmat etniczny czy wręcz rasowy: Xi Jinping naucza, że Chińczykiem człowiek może się tylko urodzić i nie ma możliwości asymilacji poprzez przyjęcie kultury i wieloletnie zamieszkiwanie. Zasada „krwi" także dotyczy Tajwańczyków.

Imperium chińskie ogłosiło gotowość do walki o hegemonię z Ameryką

Konsekwentnie mamy coraz liczniejsze wystąpienia Xi Jinpinga na temat obrony narodowej i wygłaszane do samych oficerów oraz żołnierzy. Jeszcze niedawno zwracała w nich uwagę troska o wierność wojska KPCh w obliczu zagrożenia ewentualną przyszłą „kolorową rewolucją" w chińskich miastach, inspirowaną przez Zachód, szczególnie przez Amerykanów. Teraz ton ten wyraźnie się zmienia i wojsko służy celom mocarstwowym. Pekin proponuje Amerykanom dwie możliwe formy stosunków: albo współpraca oparta na globalnej wolnej ekonomii, wzajemnym handlu (zasada win-win), a także obopólnym poszanowaniu własnej suwerenności, albo nowa globalna zimna wojna, gdzie Donald Trump prowadzi protekcjonistyczną politykę celną, dokonuje jednostronnych aktów agresji na suwerenne państwa, atakuje je sankcjami ekonomicznymi i na której ekonomicznie wszyscy tracą, lecz Chiny są już przekonane, że są zdolne do tej konfrontacji stanąć. Mają już na tyle rozwinięte zdolności produkcyjne i dysponując zaawansowaną techniką, czują się zdolne do zmierzenia się z USA w zimnej, a jeśli będzie trzeba, to także kinetycznej wojnie na Morzu Południowochińskim i w sporze o Tajwan.

Gotowość do przyjęcia warunków zimno- lub gorącowojennych jest drugim aspektem rewolucji ekonomicznej, o której KPCh i Xi Jinping tyle mówią. Pekin jest świadomy, że lada moment światowy wolny handel może się załamać z powodu polityki USA, które bronią swojej słabnącej pozycji za pomocą protekcjonizmu lub zbrojnie. W warunkach deglobalizacji wielkie straty poniósłby chiński eksport, a Amerykanie odcięliby Chiny od zdobyczy AI i innych swoich technologii. Stąd omawiana wcześniej rola zwiększenia popytu wewnętrznego, co jest wyrazem konieczności pewnej autarkizacji chińskiej gospodarki, a także chęć przyśpieszenia wysokotechnologicznej rewolucji przemysłowej, aby nie tylko nie zostać w tyle, lecz także wyprzedzić technicznie USA w warunkach bezpardonowej konkurencji ekonomiczno-politycznej, a może również militarnej.

Imperium Chińskie ogłosiło gotowość do walki o hegemonię z Ameryką.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Na podstawie:
„Documents of the Third Plenary Session of the 20th Central Committee of the Communist Party of China", Beijing 2024;
Xi Jinping, „Governance of China", t. 5, Beijing 2025.

eprasa.pl ed08a7b740



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wicepremier ds. bankructwa

Nagroda w postaci posady wicepremiera dla ministra finansów (i gospodarki), a raczej ministra ds. bankructwa Polski Andrzeja Domańskiego – nagroda od premiera Donalda Tuska – to kolejny dowód na to, jak szef rządu traktuje swe obowiązki, w tym obowiązek dbania o finanse publiczne państwa. A traktuje je zawsze i wyłącznie tylko tak, „jak on to rozumie".

Tymczasem, jak wiadomo, i to powszechnie – dzięki Moody's, która jako pierwsza agencja ratingowa od niemal 25 lat obniżyła rating Polski – Andrzej „Dziura (budżetowa)" Domański w kwestii zadłużania Polski już dziś nie ma sobie równego wśród ministrów finansów III RP. I to pomimo że nie powiedział w tej sprawie jeszcze ostatniego słowa, ponieważ zamierza zadłużać Polskę na potęgę nadal – także w czwartym (2027) roku swych niepodzielnych rządów w Ministerstwie Finansów.

Gdy u schyłku 2023 r. Domański obejmował fotel szefa MF, zadłużenie naszego państwa wynosiło 1,346 bln zł, natomiast w połowie 2026 r., a więc zaledwie dwa i pół roku później – już aż 2,213 bln zł. Czyli było wyższe aż o ponad 860 mld zł. O niemal bilion złotych! To oznacza – wziąwszy pod uwagę liczbę dni, która upłynęła między zajęciem przez Domańskiego fotela szefa MF a ową połową 2026 r. – że pod jego ministerialną pieczą Polska była (i nadal jest!) zadłużana aż średnio o niemal 1 mld zł na dobę.

A to rzeczywiście nie lada wyczyn, nad którym premier Tusk – szef tak konsekwentnie, tak szybko i mocno zadłużającego Polskę rządu – nie może przejść obojętnie i po prostu musi swego ministra ds. bankructwa Polski Andrzeja Domańskiego w jakiś sposób uhonorować. Tym bardziej że liczy przecież na jego dalszą służbę w zadłużaniu państwa – w tym i kolejnym roku, a jak się da, to i później. A to oznacza, że już na początku 2027 r. minister do spraw bankructwa Polski będzie miał na swym koncie przyrost zadłużenia naszego państwa, czyli nas – jego podatników – na ponad 1 bln zł, a pod koniec 2027 r. – na grubo ponad 1,2 bln zł (łącznie będzie ono wynosiło już grubo ponad 2,5 bln zł). Czyli niewiele mu będzie brakowało do „wykręcenia" w pojedynkę połowy całego długu III RP; czyli on „sam jeden" „w cztery lata" kontra wszyscy pozostali ministrowie III RP razem wzięci.

No a gdyby nie Karol Nawrocki, lecz Rafał Trzaskowski w 2025 r. został prezydentem Polski, to w nagrodę za to konsekwentne prowadzenie Polski do bankructwa czekałaby na ministra Domańskiego nie tylko nagroda od premiera Tuska w postaci tytułu wicepremiera, lecz także pewnie niejedno odznaczenie – kto wie, może z Orderem Orła Białego na czele?

A powinien go czekać Trybunał Stanu. ©℗



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Hipokryzja Mateusza Morawieckiego

8 października. Dzień, kiedy Sejm uchwalił pakiet antywolnościowych, antyrynkowych regulacji – w tym histeryczną ustawę antyalkoholową, wprowadzającą w całym kraju nocny zakaz sprzedaży alkoholu oraz zakaz wszelkiej reklamy tegoż. Za zamordystyczną regulacją opowiedziało się 400 posłów, w tym zdecydowana większość klubu Rozwój Plus – 30 osób z Mateuszem Morawieckim włącznie.

Dziwię się szefom browaru, którzy dali się wykorzystać politycznemu oszustowi

Właściciele małych browarów rzemieślniczych wpadają w rozpacz, bo zakaz reklamy jest zakreślony absurdalnie szeroko i obejmuje również festyny na terenach publicznych czy wpisy w mediach społecznościowych, a więc narzędzia, których właśnie małe rzemieślnicze browary używają, by informować o swoich produktach. Rzadko stać je na duże kampanie reklamowe na billboardach czy tym bardziej w mediach elektronicznych. To domena wielkich producentów, którzy w ten sposób doskonale utrwalili swój obraz i swoje marki w świadomości klientów.

20 dni później Rozwój Plus publikuje na swoim profilu na X wideo pokazujące wizytę byłego premiera Morawieckiego w lokalnym browarze w Przemyślu. Podpis głosi: „Rodzinne firmy to siła polskiej gospodarki! Lokalny browar w Przemyślu pokazuje, jak łączyć tradycję z przedsiębiorczością. Musimy wspierać takie firmy, a nie pozwalać, by dobijały je rosnące koszty energii i paliwa!"

Dziwię się. Nie temu, że Mateusz Morawiecki okazuje się hipokrytą na miarę Alp, Hindukuszu i Karakorum postawionych jedne na drugich. Tu nic nie jest już w stanie mnie zaskoczyć. Bardziej dziwię się właścicielom browaru, którzy dali się wykorzystać bezwstydnemu politycznemu oszustowi. Wiem, że gdy pojawia się znany polityk, niektórym miękną nogi. Niesłusznie. Należało pana premiera przyjąć, następnie włączyć nagrywanie w telefonie i przepytać go na okoliczność poparcia ustawy uderzającej właśnie w małe browary. A potem ten film opublikować.

Przedsiębiorcy, nie dawajcie się używać politykom do ich medialnych gierek. Odwróćcie sytuację: używajcie ich do swojej gry. ©℗

eprasa.pl ed08a7b740



Joanna Bojańczyk

Ten piękny syn

Za nieskazitelną fasadą amerykańskiej success story tragedia dojrzewała od dawna. Presley Gerber, syn Cindy Crawford i Rande'a Gerbera, zmarł w luksusowym ośrodku odwykowym 20 września 2026 r. w wieku 27 lat



Presley Gerber z rodzicami, Cindy Crawford i Rande'em Gerberem, podczas światowej premiery serialu „Palm Royale", 14 marca 2024 r. FOT. PHILLIP FARADONE/GETTY IMAGES

Ten dwudziestoparoletni chłopak miał wszystko, o czym każdy młody człowiek może marzyć. Twarz cherubina, świetnie zapowiadającą się karierę modela, pieniądze, kochającą i wspierającą rodzinę.

W którym momencie coś poszło nie tak? Wiadomo, że wysiłki rodziców, przyjaciół, lekarzy i terapeutów nic nie dały. Było za późno. Przez 10 lat Presley Gerber walczył z uzależnieniami. Ostatnio kilkunastu psychiatrów ośrodka odwykowego usiłowało wyprowadzić go ze stanu zatrucia narkotykami. Ani oni, ani silne lekarstwa nie przywróciły młodemu mężczyźnie życia. Reanimacja się nie powiodła, nastąpiło zatrzymanie akcji serca. Presley Gerber zmarł w luksusowym ośrodku odwykowym Resolutions Living w Santa Monica 20 września 2026 r. rano w wieku 27 lat. Przybyli do ośrodka policjanci nie stwierdzili udziału osób trzecich. Czy było to samobójstwo, wykażą badania toksykologiczne, które potrwają kilka miesięcy.

SZCZĘŚLIWA RODZINA

Ojciec: Rande Gerber, były model, który dorobił się w sektorze restauracyjnym, obecnie świetnie prosperujący biznesmen branży hotelowej. Razem z bliskim przyjacielem George'em Clooneyem zaczęli produkować tequilę Casamigos (po hiszpańsku: Dom przyjaciół).

Matka: Cindy Crawford, supermodelka, gwiazda lat 90., kiedy moda wskoczyła na wysokie obroty, a modelki zajęły miejsce gwiazd kina.

Rodzice, Cindy i Rande, byli małżeństwem od 27 lat. Młodsza o dwa lata od Presleya siostra Kaia gotowa była na wszelkie poświęcenia, żeby ratować brata od lat pogrążającego się w nałogu. Nic to nie dało.

Za nieskazitelną fasadą amerykańskiej success story tragedia dojrzewała od dawna. Rodzina wiodła szczęśliwe życie w Malibu w Kalifornii, kilka kilometrów od Santa Monica. Gerberowie mieszkali w obszernym domu z basenem i widokiem na ocean. W tej dekoracji jak z pocztówki, między zielonymi wzgórzami i brzegiem Pacyfiku, wychowywali dwoje dzieci. Starszy, Presley, urodził się w lipcu roku 1999, siostrzyczka Kaia przyszła na świat dwa lata później.

Gdy dzieci miały sześć lat i cztery lata, Cindy opowiadała amerykańskiemu magazynowi „Elle Decor" o idyllicznym życiu rodziny, w pięknym miejscu, w ciepłym klimacie, kiedy cały rok można przebywać na zewnątrz. „Dzieci są pięć razy w tygodniu w basenie, mamy też zejście do prywatnej plaży. Kiedy mieszka się w takim otoczeniu, trzeba z niego korzystać".

eprasa.pl ed08a7b740

Presley i Kaia chodzili do Malibu High School, lokalnej publicznej szkoły odległej od domu kilka minut jazdy autem. Tam Presley poznał Justina, syna rybaka – to on obudził w nim pasję do surfingu. Chłopcy się zaprzyjaźnili. „Pływaliśmy razem. Był fajnym kolegą, nawet nie wiedziałem, że jego rodzice byli celebrytami" – powiedział Justin francuskiemu tygodnikowi „Express".

Na urodę Presleya trudno było nie zwrócić uwagi: chłopięce rysy, jasne włosy, nawet pieprzyk odziedziczony po matce (chciała go usunąć, zanim doceniono go jako charakterystyczny znak urody) zapowiadały, że i on będzie kontynuował rodzinną tradycję modelingu. W wieku 15 lat Presley podpisał kontrakt z agencją IMG Models; wkrótce zadebiutował na pokazie Moschino w Los Angeles. W 2018 r. wystąpił razem z matką w kampanii reklamowej Pepsi z okazji Super Bowl. Wielka sprawa, meczem finałowym w futbolu amerykańskim żyją całe Stany Zjednoczone; zdobycie biletu uważa się za wygranie losu na loterii.

Rodzice cieszą się sukcesami syna, są szczęśliwi, że zdołał uniknąć niebezpieczeństw wieku nastolatkowego.

„Wielu rodziców przechodzi trudny okres ze swoimi dziećmi w wieku kilkunastu lat. Nam udało się przejść przez ten okres bez problemów. Ale trochę później problemy pojawiły się i nadeszły ze strony, z której wcale ich nie oczekiwaliśmy" – zwierzyła się Cindy w wywiadzie udzielonym amerykańskiemu miesięcznikowi „Vogue".

WOŁANIE O POMOC

Pierwszy zgrzyt pojawia się w roku 2018. Presley ma 19 lat, gdy policja zatrzymuje go na Beverly Hills za prowadzenie samochodu „pod wpływem niedozwolonych substancji". „To był początek zjazdu do piekła" – tak kilka lat później skomentowała to zdarzenie siostra Presleya, Kaia. „Potem było tylko gorzej. Kiedy coś takiego trafia rodzinę, nikt nie jest odporny".

W obliczu sytuacji Kaia postanawia usunąć się w cień, żeby cała uwaga rodziców mogła skupić się na bracie. Ona będzie „the easy one", tym łatwym dzieckiem, które nie przysparza problemów. Dziewczynka sądzi, że dwoje trudnych dzieci to byłoby już za dużo dla rodziców.

Na ostatnim publicznym wystąpieniu Presley opowiadał o presji otoczenia, które wymagało od niego sukcesów, i o samotności

O swoich problemach i zaburzeniach żywnościowych nie zwierza się zatem nikomu.

Tymczasem Presley szarpie się z własnymi problemami. Nie chce nikogo z rodziny poprosić o pomoc, ale postanawia zawiadomić o nich świat. Robi sobie na policzku tatuaż „misunderstood" – niezrozumiany.

Czy to manifest czy wołanie o pomoc? Zdjęcie obiega media społecznościowe, jednak zrozumienie się nie pojawia, a pomoc nie nadchodzi. Za to niektórzy wyśmiewają dramatyczny wpis: Kto nie może zrozumieć syna Cindy Crawford?

Kilka lat później Presley usunie tatuaż metodą laserową. Surfingowy przyjaciel powie dziennikarzom, że Presley zwierzył mu się wtedy: „To już nieprawda, że jestem niezrozumiany. Prawdziwy problem to ja, nie moje otoczenie. To w sobie muszę znaleźć siłę, aby wyjść z problemów".

Czy będzie łatwiej o pomoc, gdy o problemach opowie się w Internecie? W lutym 2023 r. 23-letni model w podcaście studia nagrań muzycznych Studio 22 szczerze opowiada o swoich problemach z depresją i ze zdrowiem psychicznym. Strona w mediach społecznościowych „Mental Health Monday" to kolejna przystań dla osób zmagających się z kryzysem. Na cotygodniowych spotkaniach 23-latek opowiada otwarcie o tym, co rodzina Gerberów ukrywała przed opinią publiczną. O swojej depresji, smutku, zniechęceniu. „Gdybym choć jednej osobie pomógł wydostać się z tych mrocznych miejsc, gdzie sam przebywam, to by mi wystarczyło".

CUDOWNY LEK Z JUKATANU

Czy to wystarczy? W roku 2025 na wideo, które potem sam zniszczy, opowiada o swojej walce z demonami, które go nie opuszczają. Pomoc oferuje kilkunastu psychiatrów, na liście lekarstw są środki uspokajające, niektóre z grupy uzależniających opiatów. Presley zażywa je latami, mają pomóc w walce z atakami paniki, bezsennością, depresją. Jednak kakofonia tych leków rozstraja organizm jeszcze bardziej.

W desperackim poszukiwaniu lekarstwa na swoją niemoc Presley udaje się do Cancun, meksykańskiego kurortu położonego na Jukatanie. Tam podobno można zdobyć psychoaktywny lek pozyskiwany z korzenia afrykańskiego krzewu, stosowany w leczeniu niektórych uzależnień; jest bardzo niebezpieczny, ponieważ potrafi doprowadzić do zatrzymania akcji serca. W Stanach jest zabroniony.

Jednak Presley sądzi, że tylko ten ludowy lek roślinny pomoże mu przezwyciężyć obsesje i wyleczyć go z lekomanii. Wierzy, że zdarzy się cud, że jego życie rozpocznie się od nowa.

Filmuje meksykańskie doświadczenie, filmik posyła rodzicom. Matka jest w euforii: „Jesteś prawdziwym wojownikiem". Rande chwali syna za odwagę. „Dziękuję, tato, nauczyłem się od ciebie" – odpowiada Presley.

POWRÓT DO ZDROWIA?

Ostatnie publiczne wystąpienie ma miejsce w czerwcu na wydarzeniu poświęconym zdrowiu psychicznemu. Presley opowiada o presji otoczenia, które od dziecka sławnych rodziców oczekuje sukcesów, o upadkach, o potrzebie dzielenia się problemami, o samotności. Rodzice są wśród publiczności, z nadzieją słuchają syna wracającego do życia po trudnych przejściach. Do publicznego ujawnienia problemów próbują odnieść się ze zrozumieniem, traktując to jako część terapii.

To ostatnie publiczne wystąpienie Presleya. 2 lipca, w dniu 27. urodzin, publikuje na Instagramie radosne zdjęcia z dzieciństwa. Matka komentuje: „Jestem dumna z ciebie jako z mężczyzny, ale dla mnie zawsze będziesz małym chłopczykiem".

Mały dorosły chłopczyk trapiony demonami, wobec których bezsilne są miłość, pieniądze i sława.

„Presley, byłeś taki miły" – skomentuje jego najbliższy przyjaciel, Brooklyn Beckham.

Ale to już w niczym nie pomoże.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed08a7b740



JACEK KOMUDA

POCZET POLSKICH WODZÓW

Filon Kmita Czarnobylski

Kiedy na Ukrainie w XVI w. działali zagończycy, tacy jak Pretficz czy Daszkiewicz szarpiący Chanat Krymski i Turków i odpierający najazdy tatarskie, tak na wschodnich terenach Litwy osadzeni byli podobni im starostowie pograniczni, oczywiście uwikłani w konflikty i awantury z Moskwą. Jednym z nich był Filon Semenowicz Kmita Czarnobylski, starosta najpierw na Ostrze na dzisiejszej Ukrainie, potem od 1566 r. na Orszy, wreszcie od 1579 r. wojewoda smoleński, biorący udział we wszystkich wojnach i podjazdach.

Już w 1562 r. wziął udział w batalii z Rosją, będącej częścią większego konfliktu, który rozgorzał w Inflantach, gdzie wojska cara Iwana Groźnego zaatakowały zakon kawalerów mieczowych. Jego wielki mistrz, Johann Wilhelm von Fürstenberg, podpisał z królem Zygmuntem Augustem układ sojuszniczy, zamieniony później na hołd lenny kolejnego mistrza: Gotthardа Kettlera, który podobnie jak książę pruski został lennikiem Korony i Litwy. Główne działania wojenne odbywały się w Inflantach najechanych przez wojska cara, Kmita Czarnobylski działał jednak na pograniczu Litwy i Moskwy, rozbijając pod Czernihowem silny oddział moskiewski i zdobywając Czernihów. Później poprowadził niszczycielski zagon na Starodub, a wysłane przeciw niemu siły carskie rozgromił w czasie odwrotu.

W 1564 r., w czasie walk w okolicach Połocka, dowodził zagonem jazdy osłaniającym główne siły litewskie Mikołaja Radziwiłła Rudego. Po zwycięstwie Litwinów, rozpoczął pościg na czele wydzielonego oddziału jazdy, który trwał aż do murów Smoleńska. Rok później przeprowadził na czele 1,6 tys. jazdy ogromny zagon na Siewierszczyznę, zakończony zdobyciem Poczepu. Za tę działalność i skuteczne szarpanie Księstwa Moskiewskiego król nadał mu w 1566 r. jako dobra wieczyste miasto Czarnobyl wraz z kluczem wsi, a Filon Kmita od tego czasu zwał się także Czarnobylskim. W tym samym roku otrzymał też starostwo orszańskie, blokujące tzw. Bramę Smoleńską, czyli najprostszą drogę z Moskwy na Litwę, po utracie w 1514 r. Smoleńska. Od tego czasu dotkliwie dawał się we znaki załodze tej twierdzy. Dwa lata później udało mu się urządzić zasadzkę, wywabiając część garnizonu, a następnie wyprawić w głąb terenów cara, pustosząc Moskwę aż po Wiaźmę. Prowadził też działalność wywiadowczą, utrzymując na terenach wroga licznych szpiegów.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Filon Kmita wziął udział we wszystkich wyprawach Stefana Batorego. W 1579 r. jako zagończyk osłaniał pochód armii pod Połock, wówczas za zasługi został mianowany wojewodą smoleńskim, chociaż część jego województwa razem ze stolicą znajdowała się w ręku Moskwy.

Rok później przeprowadził kolejny wielki zagon jazdy – na czele 9 tys. ludzi uderzył na Smoleńsk, został jednak niespodziewanie pobity przez Iwana Buturlina i musiał uchodzić, pozostawiając w rękach przeciwnika działa i chorągwie. Była to jedyna porażka wojewody i zarazem jedyne zwycięstwo odniesione przez wojska moskiewskie w tej wojnie. Pomimo tego został mianowany przez Batorego komendantem zdobytej i częściowo zniszczonej twierdzy w Wielkich Łukach. W kolejnym roku zdobył Chołm i pod komendą hetmana Krzysztofa Radziwiłła „Pioruna" brał udział w ogromnym zagonie jazdy na Rżew, który bezpośrednio zagroził przebywającemu w Staricy Iwanowi Groźnemu. Była to ogromna, epicka wyprawa na wschód, opisana przez Jana Kochanowskiego w poemacie „Jazda do Moskwy". 5 sierpnia hetman wyruszył spod Witebska, idąc komunikiem na Suraż i Wieliż, następnie uderzył na Białą, której okolice spalił i spustoszył, a wydzielony podjazd Bogdana Ogińskiego rozbił liczący ponad 3 tys. jazdy oddział moskiewski.

Radziwiłł złupił okolice Rżewa i zdobył Urdomę, a pod koniec sierpnia dotarł nad Wołgę. Chorągwie tatarskie przeprawiły się przez rzekę i dotarły w pobliże Staricy, gdzie przebywał sam Iwan Groźny, zmuszając go do ucieczki. Tylko cudem nie schwytano cara! Następnie zagon doszedł do źródeł Wołgi, spalił i zrównał z ziemią Sielizarowo. Gdy nie udała się próba zdobycia Toropca, Radziwiłł i Kmita rozdzielili się; a hetman 24 października 1581 r. triumfalnie wjechał do obozu armii Batorego oblegającej Psków.

Radziwiłł doczekał się za tę wyprawę przydomku „Piorun", a Kmita uwiecznienia na obrazie Jana Matejki „Stefan Batory pod Pskowem", gdzie znajduje się, licząc od lewej strony, jako trzecia stojąca postać za plecami króla Stefana Batorego. Pierwszy jest Jan Zamoyski, potem Mikołaj Sieniawski, który rozmawia z podgolonym, siwym szlachcicem bez czapki. To właśnie Filon Kmita Czarnobylski, który przez całe życie wyznawał prawosławie i walczył z arcyprawosławnym carem Iwanem Tchórzliwym. ©℗

eprasa.pl ed08a7b740

KIA STONIC 1.0 T-GDI MHEV GT-LINE



FOT. JAP

Miejski crossover na niedawnym liftingu istotnie wyładniał. I chociaż książek oraz aut nie ocenia się po okładce, to najnowsze wydanie Stonica z zewnątrz wygląda nowocześnie i zdecydowanie najlepiej ze wszystkich wariantów tego modelu (a od premiery w roku 2017 model ten przeszedł już dwie istotne modernizacje).

Auto mierzy 4165 mm długości i 1760 mm szerokości. Dane techniczne w katalogu nie sprawiają, że serce zaczyna bić mocniej. W wariancie miękkohybrydowym (MHEV) z trzycylindrowym silnikiem 1.0 T-GDI pod maską drzemie moc… 115 KM. W zestawie z automatyczną, siedmiobiegową skrzynią biegów (7DCT) nowy Stonic od zera do 100 km/h przyspiesza w 10,8 s. Teoretycznie szału więc nie ma. A jednak gdy zasiądzie się za kierownicą tego samochodu, odczuwa się zaskakująco dużą frajdę z jazdy. Auto wydaje się dużo bardziej dynamiczne niż na papierze, a sposób, w jaki pokonuje zakręty, sprawia, że można zacząć marzyć o kolejnej wyprawie w góry już nie tylko dla śniegu, zachwytów widokami czy smaku wędzonego oscypka, lecz także po to, aby znów móc pojeździć po serpentynach. Reakcja na gaz jest natychmiastowa, a auto prowadzi się tak pewnie i przewidywalnie, że jestem w stanie uwierzyć w zapewnienia Koreańczyków, że literka „S" w nazwie „Stonic" rzeczywiście pochodzi od słowa „Speedy" (z ang. szybki). Nie ma irytujących szarpnięć, a niewielka kijanka potrafi pokazać, że bliżej jej do żwawego kuguara niż do rozleniwionego miejskiego kocura. A skoro sprawdza się na serpentynach w trasie, to tym bardziej nada się do codziennych dojazdów do pracy, szkoły czy galerii handlowych.

A co z apetytem na paliwo? Stonic w miękkiej hybrydzie na trasie palił podczas testu ok. 5 l/100 km, na autostradzie i w mieście ok. 6,5–7 l/100 km.

Wnętrze w odmianie GT-Line wygląda więcej niż przyzwoicie. Nadal w niektórych miejscach są tu twarde plastiki, ale pojawiły się też nowoczesne ekrany, wygodne fotele, a całość robi zdecydowanie bardziej ekskluzywne wrażenie niż przed liftingiem. Co ważne, Koreańczycy nie ulegli pokusie oszczędności i zostawili też najważniejsze tradycyjne przełączniki (to nie tylko kwestia wygody, lecz także większego bezpieczeństwa).

Wady Stonica w wersji MHEV? Pierwsza: mały kufer. Pojemność bagażnika wynosi tylko 332 l (po złożeniu tylnych oparć rośnie do 1135 l). Druga: hałas w kabinie przy prędkościach autostradowych. Trzecia i czwarta: słaba jakość obrazu z kamery cofania i brak bezprzewodowej obsługi systemów Android Auto czy Apple CarPlay.

Koreańczycy początkowo przesadzili z wyceną, ale ostatnio rozsądnie obniżyli ceny Stonica. Podstawowa wersja z silnikiem 1.0 T-GDI o mocy 100 KM z manualną skrzynią kosztuje obecnie w promocji 83 990 zł, a z automatem 90 790 zł. Wariant z silnikiem 1.0 T-GDI MHEV o mocy 115 KM ze skrzynią manualną został wyceniony na 95 990 zł, a w wersji z automatyczną, siedmiobiegową skrzynią i wyposażeniem GT-Line w promocji można kupić za 110 790 zł.

PROJEKTOR SAMSUNG THE FREESTYLE+



Kompaktowa obudowa, niewielka waga, banalnie prosta obsługa, cichy wentylator oraz świetne odwzorowanie kolorów bez konieczności długotrwałej kalibracji – to największe atuty nowej wersji kultowego, przenośnego projektora marki Samsung.

Pierwszy raz model The Freestyle+ oglądałem na tegorocznych targach technologicznych CES 2026 w Barcelonie. Urządzenie wreszcie można już kupić w Polsce, więc wzięliśmy je do testu. Najnowsza, trzecia już odsłona projektora, który zadebiutował na rynku w roku 2022, jest niemal dwa razy jaśniejsza od pierwowzoru (430 lumenów ISO w porównaniu z 230 lumenami ISO). To istotna zmiana, choć nadal nie jest to projektor, który umożliwia oglądanie filmów w mocno nasłonecznionym salonie.

The Freestyle+ z tłumu innych projektorów wyróżniają niewielka waga (ok. 1 kg), cylindryczna konstrukcja pozwalająca obracać projektor o 180 stopni oraz technologia AI OptiScreen. Ta ostatnia sprawia, że wystarczy podłączyć urządzenie do prądu i ustawić je w pożądanym kierunku (ściany, sufitu etc.), a odpowiednie algorytmy sztucznej inteligencji same zajmują się resztą. System automatycznie koryguje obraz i ustawia ostrość. Błyskawicznie koryguje również ustawienia, gdy przestawimy projektor lub przesuniemy go bliżej lub dalej. AI sprawnie pomaga także w omijaniu przeszkód, które znajdują się między projektorem a powierzchnią, na którą rzucamy obraz.

Niewielkie urządzenie potrafi rzucać obraz o przekątnej od 30 cali do 100 cali. Wielkość obrazu reguluje się, przesuwając projektor bliżej lub dalej ściany czy innej powierzchni w zakresie od 0,8 m do mniej więcej 2,7 m od ściany, sufitu etc. Rozdzielczość wyświetlanego obrazu to Full HD (1920 x 1080 pikseli). Projektor obsługuje również HDR, HDR10+ oraz HLG. Projektor może być także wykorzystywany przez graczy. Nie jest to jednak typowy projektor gamingowy z podrasowanym odświeżaniem.

Wady? Brak natywnego 4K czy ciemnoszara czerń (to skutek ograniczeń technologii LED/DLP) to dwa poważne minusy. Ten projektor nie nadaje się więc na głównego aktora kina domowego. Jest to jednak świetne urządzenie dla szukających mobilnego projektora, który łatwo da się przenosić po mieszkaniu, domu lub biurze, a także spakować do plecaka na zimową wycieczkę. Cena: 5999 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl ed08a7b740



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Sałatka Waldorf

Wybrałyśmy się w podróż do Nowego Jorku na krótki babski wypad. Trzy dni to wystarczająco dużo czasu, by zwiedzić najważniejsze punkty miasta i skorzystać z jego atrakcji, również kulinarnych. Na porządne i dobrze podane steki warto zajrzeć do restauracji Smith & Wollensky. Legendarną kanapkę z pastrami można zjeść w delikatesach Katz (uprzedzamy: zazwyczaj są tam kolejki, ale szybko się przesuwają). Jeśli zaś chcemy poczuć klimat najprawdziwszego, amerykańskiego art déco, klimat elegancji i luksusu, to na małe co nieco warto wybrać się do hotelu Waldorf-Astoria.

Otwarty w 1931 r. wyrafinowany i pięknie zaprojektowany obiekt mieści się przy 301 Park Avenue i powstał z połączonych hoteli Williama Waldorfa Astora oraz jego kuzyna Johna Jacoba Astora IV, który zginął w katastrofie „Titanica". Wnętrze jest zaskakująco duże, bo lobby to w zasadzie szeroki pasaż Peacock Alley, gdzie mieszczą się bar i efektowna kawiarnia. Jeżeli nie jest się gościem hotelowym, to trzeba złożyć zamówienie za minimum 75 dol. od osoby, tak więc nadmiernych tłumów nie ma. Wnętrze jest gustowne, dyskretnie oświetlone, sączy się spokojna muzyka. Nic dziwnego, że kręcono tu wiele filmów, m.in. „Zapach kobiety", „Dwa tygodnie na miłość", „Pan i pani Smith". Jeśli chcemy, nie wychodząc z domu, poczuć smak tego legendarnego miejsca, to proponujemy sałatkę, którą serwowano na otwarciu hotelu Waldorf w 1893 r. Jej autorem był maître d'hôtel Oscar Tschirky, a przepis trafił do książki „The Cook Book by »Oscar« of the Waldorf" w 1896 r.

FOT. ADOBESTOCK / ZDJĘCIE WYGENEROWANE PRZEZ AI



Sałatka Waldorf

Oryginalna składała się z trzech produktów: kwaskowatych jabłek, selera naciowego i majonezu. Potem pojawiły się prażone orzechy włoskie oraz czerwone winogrona. I w takiej postaci zdobyła sobie światową popularność.

Składniki: • seler naciowy • jabłka • majonez, najlepiej domowej roboty (czyli żółtka, olej, musztarda i cytryna) • prażone orzechy włoskie • winogrona • kilka listków sałaty rzymskiej.

Jabłka i seler umyć i zetrzeć na cienkie plastry albo jabłka pokroić w słupki, a seler w talarki. Dodać pokrojone winogrona, majonez, posypać prażonymi orzechami i podawać na liściu sałaty rzymskiej. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Cud z kropli krwi

Elizabeth Holmes była idolką Doliny Krzemowej, kobiecym odpowiednikiem Steve'a Jobsa. Założona przez nią firma Theranos obiecująca badania krwi z jednej tylko kropli miała spowodować rewolucję w diagnostyce. Była warta 9 mld dol., w radzie nadzorczej zasiedli politycy: Henry Kissinger, George Shultz.

Nie tylko ona sama, niebieskooka blondynka, myślała, że będzie drugim Steve'em Jobsem. Tego byli pewni także ci, którzy zainwestowali w jej firmę 900 mln dol. Theranos, start-up w Dolinie Krzemowej, obiecywał rewolucję w dziedzinie badań krwi.

Jednak technologia nie działała tak, jak obiecywali jej twórcy. Gdy dziennikarskie śledztwo ujawniło poważne problemy z technologią, zaczęły się kontrole i dochodzenia. W 2018 r. Holmes została oskarżona przed sądem federalnym o liczne oszustwa. Proces trwał cztery miesiące. 18 listopada 2018 r. zapadł wyrok: 11 lat i trzy miesiące więzienia.

Theranos przestał istnieć, jego szefowa odsiaduje teraz karę w federalnym więzieniu o minimalnym rygorze w Bryan w Teksasie, skazana za oszustwa związane z jej firmą. Wyrok ma do roku 2030, ale to może się zmienić, jeśli wniosek o złagodzenie kary zostanie uwzględniony.

Cała sprawa i jej bohaterka znowu znalazły się w centrum uwagi dzięki dokumentalnemu filmowi „Zobaczysz wszystko", współreżyserowanemu przez Nathana Fieldera i Lance'a Oppenheima. Pokazuje on Holmes w okresie poprzedzającym rozpoczęcie odbywania kary. Film stawia pytania: Czy Holmes świadomie oszukiwała inwestorów czy rzeczywiście wierzyła, że jej technologia zadziała?

Co się stało z jej partnerem, dziećmi i pieniędzmi, które zdobyła dzięki Theranos? Holmes nadal utrzymuje, że jest niewinna. Pod koniec września opublikowała z więzienia wiadomość, w której napisała, że walczy o udowodnienie swojej niewinności i powrót do dwojga dzieci i wieloletniego partnera. Jest nim Billy Evans, którego poznała w 2017 r., gdy skandal wokół Theranos już się rozwijał.

W 2015 r. Forbes szacował majątek Holmes na ok. 4,5 mld dol. Ta wycena wynikała nie z pieniędzy na koncie, ale przede wszystkim z jej udziałów w Theranos. Natomiast łączne odszkodowanie dla poszkodowanych inwestorów wynosi 452 mln dol.

Gdy jego dziewczyna siedzi, Billy Evans nie marnuje czasu. Prowadzi firmę Haemanthus, która wykorzystuje światło laserowe do analizowania próbek biologicznych, takich jak krew, ślina i mocz.

Od inwestorów pozyskał już 20 mln dol. ©℗

eprasa.pl ed08a7b740



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O islamskim strategu

Zapowiedziany na sobotę 24 października kolejny festiwal wandalizmu w Mediolanie jednak się nie odbył. Może dlatego, że w stan pogotowia postawiono policję, a nawet 500 komandosów, a może dlatego, że za kratki trafił rzekomy strateg i taktyk protestów, Youssef Siher.

To 30-letni syn marokańskich migrantów, wydawałoby się, żywy pomnik modelowej integracji. Ukończył z wyróżnieniem komunikację i nauki polityczne na mediolańskim uniwersytecie. Zajmował się Bliskim Wschodem i islamem politycznym. Współpracował z prestiżowym Instytutem Studiów Międzynarodowych ISPI, a także z postępowymi włoskimi mediami jako komentator. Był ozdobą mediolańskich lewicowych salonów.

Poza tym, a może przede wszystkim, jest wybitnym ekspertem od platform internetowych. Jak wykryła włoska policja telekomunikacyjna, Siher zamierzał kierować zdalnie rozruchami w mieście 24 października poprzez stronę internetową Ruch 17 Października. Nie zdążył jednak podać celów ataków ani dać sygnału do natarcia. Policja namierzyła go i wsadziła za kratki. Zapowiedziane demonstracje okazały się fiaskiem.

Gdy poinformowano o jego aresztowaniu, włoskie media przeprowadziły śledztwo. Okazało się, że Siher jest radykalnym, zaślepionym islamistą. Ponoć dostał islamskiej szajby nagle i niespodziewanie kilka lat temu. Gdy 7 października 2023 r. Hamas wymordował ponad tysiąc Żydów, Siher stwierdził, że był to „akt rewolucyjnej dekolonizacji". Użył też ciekawego porównania: „Można powiedzieć, że na wiosnę 1945 r. Hitler bohatersko bronił Niemiec przed inwazją terrorystów amerykańskich, sowieckich i angielskich". Naturalnie podziw dla Hitlera brał się również stąd, że arcyzbrodniarz zaplanował zagładę wszystkich Żydów.

Siher burzył się też przeciw kolonializmowi i imperializmowi. Przekonywał, że jedynym wyjściem dla błądzącego świata jest totalna islamizacja. Mimo to prominentni postępowcy, w tym znani dziennikarze, stanęli w obronie Sihera, tłumacząc, że nie wsadza się za kraty za intencje i poglądy.

Po prawdzie Sihera aresztowano za podżeganie do obalenia systemu państwa i rządu. W Internecie, w vademecum młodego rewolucjonisty, instruował, jak przygotować się do walki z policją i jak uniknąć odpowiedzialności karnej. Tymczasem postępowy sędzia nakazał go zwolnić. Premier Meloni nazwała decyzję jedną wielka hańbą.

Natomiast w Rzymie cierpiąca na Weltschmerz młodzież szkolna rozpoczęła okupację ogólniaków. Jak ogłosili uczniowie, walczą w ten sposób ze wszystkim: z drożyzną, faszyzmem, imperializmem, ze zbrojeniami, z niedoinwestowaniem szkolnictwa, zakazem noszenia burki, rządem Meloni i Netanjahu. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Upadły szantażysta

Prezydent Zełenski znowu poprosił o pieniądze. Ba, tam – poprosił... Coraz częściej te jego prośby mają znamiona groźby lub szantażu. „Jak nam nie pomożecie, to padniemy, a wtedy wy – Europo – zobaczycie, jak to jest pod ruskim butem". Szczerze mówiąc, widać już pewne znużenie nie tylko tą argumentacją, lecz także całą tak uzasadnianą wojną.

A trzeba wreszcie zadać pytanie: Jaka jest wizja zwycięstwa (lub nieprzegranej) w wykonaniu Ukrainy i „koalicji chętnych"? To nie jest pytanie teoretyczne, tylko jak najbardziej praktyczne. Tak, słyszałem, że końcem tej wojny ma być „sprawiedliwy pokój". Ale – sorry – to tylko nowomowna zbitka słowna typu „sprawiedliwa transformacja energetyczna". Nic nie znaczy, ale któż byłby przeciwko sprawiedliwości? Czy ktoś jednak wyjawił, jaki to ma być konkretnie ten „sprawiedliwy pokój"? Warto popytać, a gwarantuję, że dostaniemy tyle odpowiedzi, ilu mamy władców demokracji przedstawicielskiej. Ale żadnego konkretu.

Sprawa jest ważna, bo bez wizji końca wojny ta może trwać wiecznie. A to oznacza walkę do ostatniego Ukraińca i państwa upadłego. Pytanie tylko, czy Ukraińcy o tym wiedzą i czy się na to godzą. A jak do „sprawiedliwego pokoju" zabraknie ukraińskiej siły żywej, to co? Skądś się ją wytrzaśnie czy trzeba się będzie pogodzić z niesprawiedliwą wersją pokoju? Wojny nie kończą się sprawiedliwie, tylko kończą się na warunkach zwycięzcy. A tu nie mamy wizji zwycięstwa. Mamy tylko chętnych. Do kontynuowania wojny.

Ukraina dostała 90 mld euro pożyczki na wieczne nieoddanie. Zełenski teraz przyszedł po następne 70, co ma stanowić i tak poniżej 100 proc. rocznego zapotrzebowania Ukrainy. I – uwaga! – jest to kasa potrzebna nie tyle na kontynuowanie wojny, ile na funkcjonowanie Ukrainy jako państwa. Pora więc zapytać, jak ma wyglądać sprawiedliwy, ale... pokój, czyli jak ma funkcjonować Ukraina po jakiejś formie rozejmu? Widać, że będzie to kraj na ciągłej kroplówce, jeśli nie w procesie ciągłej reanimacji, co jest cechą państw upadłych.

Co ciekawe, mamy do czynienia z krajem, który dostaje m.in. od nas kasę, a jednocześnie wykupuje polskie kopalnie węgla, kiedy okazuje się, że ma niższe koszty eksploatacji, gdyż nie płaci europejskich ETS-ów, bo ma wydobywać w Polsce, a spalać w pozaeteesowej Ukrainie. To, że jednocześnie – pośrednio za nasze – finansuje antypolskie filmy, to już szczegół. Widocznie lubią tam poprawiać sobie humory, robiąc bekę z frajerskich Lachów. Coraz częściej waloru prawdy nabiera powiedzenie, że „Ukraina nie walczy za nas, tylko za nasze". ©℗

eprasa.pl ed08a7b740



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Strachy na Lachy

Wzruszające i podniosłe zarazem wezwanie wygłosił, na spotkaniu wyborczym w Rybniku, prof. Przemysław Czarnek. „Głosujcie, na litość Boską, wszyscy i wszyscy wasi przyjaciele i domownicy na PiS" – zaapelował profesor. Obdarzenie wyborczym zaufaniem polityka innej partii prawicowej skończyć się może sytuacją, w której „ktoś dostanie się do Sejmu i zdradzi prawicę". Zdaniem Przemysława Czarnka jedynie politycy PiS gwarantują swoim wyborcom niewzruszoność prawowiernych poglądów. Trwający od kilku miesięcy festiwal wzajemnego obrzucania się błotem, w którym główne role odgrywają niedawni liderzy Prawa i Sprawiedliwości, dziś „rozwojowi" frondyści, a wczoraj ulubieńcy prezesa Kaczyńskiego, każe do tych mądrości podchodzić sceptycznie. Nawet byli prezesi telewizji publicznej, najbardziej zaufani funkcjonariusze partyjnej propagandy, wyzywają się dziś, ku uciesze widowni, od „mafiosów", „idiotów" i „zdrajców", sprzedających powierzoną sobie instytucję „za garść nędznych srebrników". Takich to wiernych „roninów" wychował sobie prezes PiS. Czy w świetle tych gorszących awantur argument o nadzwyczajnej stałości przekonań, mającej charakteryzować jego wybrańców, nie wydaje się kpiną?

Wyborców, do których nie przemawiają argumenty „na litość Boską", przekonuje prof. Czarnek matematyczną kalkulacją. Choć naukowe szlify zdobywał zapewne na uniwersytetach, poradziłby sobie także w nauczaniu podstawowym, a nawet przedszkolnym. „Żeby wygrać wybory, trzeba pójść po rozum do głowy i zobaczyć ponownie, ile to jest 2 + 2 i że nigdy to nie będzie 5 ani 3" – przekonywał słuchaczy. Jest rzeczą powszechnie znaną, że rodzaj stosowanych argumentów dostosowywać należy do poziomu umysłowego słuchaczy. Czyżby jednak tym razem nie został on oceniony zbyt nisko?

Podobnemu poczuciu wyższości dał wyraz, w przemówieniu wygłoszonym przed Trybunałem Konstytucyjnym, sam Jarosław Kaczyński. Jak przyznał rozczarowany prezes, w ostatnich wyborach parlamentarnych „bardzo wielu Polaków popełniło wielki błąd". „Sądzili, że jak zmieni się władza, to będzie to samo, co było, tylko jeszcze lepiej. A to, co się stało, wszyscy państwo widzą i sądzę, że z czasem więcej Polaków będzie to widziało, bo to będzie się przenosiło na codzienne życie". Nadzieja, że wyborcy, którzy odwrócili się od PiS, pod wpływem rosnących cen przejrzą w końcu na oczy lub po prostu zmądrzeją, może zaprowadzić Jarosława Kaczyńskiego na polityczne manowce. Poszukiwanie błędów najlepiej rozpoczynać od siebie. Konsekwentnie wygłaszane nauki, że dla wygrania wyborów należy „po pierwsze, nie biadać, nie bić się w piersi", pasują, w tej taktyce wyborczej, do wypominania „bardzo wielu Polakom" popełnienia „wielkiego błędu". Czy miliony rozczarowanych wyborców, pomimo szalejącej drożyzny przenoszących swoje poparcie na partie inne niż PiS, zdołają okazać skruchę na czas i z głową posypaną popiołem wrócić do urn wyborczych?

Przekonać do tego może prestiż naukowych tytułów. „Kiedyś wykładałem na uczelni, mam doktorat, krótko mówiąc, jeszcze dużo z tego pamiętam" – zapewniał pod Trybunałem Konstytucyjnym Jarosław Kaczyński. Niczym habilitowane echo wtóruje mu partyjny kandydat na premiera. „Ja, konstytucjonalista, doktor habilitowany nauk prawnych – nigdy się nie chwalę, ale chwalę się tym prokuratorom – zobaczycie, jak was przepytam" – odgraża się po belfersku prof. Czarnek. Zna on zapewne formułę, wygłoszoną niegdyś przez swojego lubelskiego mentora i przyjaciela, nieżyjącego już prof. Waldemara Parucha. „Wyborcy boją się polityków zbyt inteligentnych z wielu różnych powodów, które nie są istotne, ale tworzą negatywny wynik wyborczy" – doradzał on partyjnym kolegom. Czyżby ostatnie wystąpienia dr. Kaczyńskiego i prof. Czarnka miały na celu przekonanie niezdecydowanych wyborców, by raz na zawsze, od teraz, przestali się ich bać? ©℗

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



eprasa.pl ed08a7b740



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zaczynali dzień od kawiorów i koniaków

PRL był długo krajem zamkniętym; wyjazdy na Zachód możliwe były dopiero za Gierka. Nie dotyczyło to jednak wybrańców, m.in. inżynierów dusz, pisarzy, którzy podróżowali, nawet kilka razy do roku, nie tylko do Paryża, Londynu, lecz także do krajów egzotycznych. Jan Kott np. do Chin, Wojciech Żukrowski do Indii, Wietnamu, pozujący na „włóczęgę z chlebakiem" Edward Stachura do Meksyku, Kanady, USA, na Bliski Wschód. To Związek Literatów, zwany Orbisem, finansował ich wyjazdy, diety, umożliwiał kupno dolarów po cenie urzędowej. Najczęściej jednak, niemalże masowo, wojażowali tzw. drużba cugiem do Kraju Rad na najrozmaitsze wymiany kulturalne, „wizyty przyjaźni" . W Związku Sowieckich Pisatieli była nawet polska sekcja, organizująca i nadzorująca ich przyjazdy.

Pierwszy wyjazd odbył się już w styczniu roku 1945. Z PKWN-owskiego Lublina pojechali: Jastrun, Przyboś, Piętak, Minkiewicz. W 1952 r. czołowi „pryszczaci" – Tadeusz Konwicki, Wiktor Woroszylski, Wilhelm Mach. Ich plonem były dwie żenujące propagandówki, „Nigdy nie zapomnę" Heleny Boguszewskiej i „U przyjaciół", zbiór wspomnień uczestników drugiej wyprawy do ZSRS, klasyczne płody tzw. pożytecznych idiotów, zachwycających się bezkrytycznie krajem Stalina, nie dostrzegając zaplanowanej pokazówki, nie tyle bowiem podróżowali, ile byli podróżowani, oglądali jedynie to, co chciano im pokazać. Domy Pionierów, wzorowe kołchozy, spotykali się wyłącznie z podstawionymi, rzekomo prostymi ludźmi. Zakpił z tego jedynie Gałczyński, w swoich felietonach z Moskwy chwalił ją tak, że czytelnicy pękali ze śmiechu. Wszystko bowiem mu się tam podobało, z wyjątkiem nadmiaru mandarynek, przypominała mu więc włoską Taorminę. Nie wszystkim jednak pozwalano na wizyty „u przyjaciół".

Władysława Broniewskiego, głównego poetę proletariackiego, wypuszczono tam dopiero w 1955. Jak się obawiano, ciągle się wymykał, wracał po jednym głębszym i wspominał, jak w 1920 walczył z bolszewikami, a gdy proponowano mu, żeby usiadł, mówił: „Ja już u was siedziałem", bo siedział w sowieckich więzieniach.

Najczęściej jednak wyjeżdżano do Bolszewii po odbiór honorariów za swoje książki wydawane w gigantycznych, stutysięcznych, nieraz milionowych nakładach i nawet niewielki procent od sprzedaży dawał duże sumy. Ale można je było odebrać i wydać na miejscu, choć nie wszyscy. „Złego" Tyrmanda wydano w 180-tysięcznym nakładzie, lecz autora powieści z listy wyjazdowej skreśliło KC. Szczęśliwcy natomiast kupowali lodówki, telewizory, złoto, brylanty, antyki.

W roku 1959 Maria Dąbrowska pojechała po swoje razem z bratankiem, Jurkiem Szumskim, sama nie dałaby rady, zakupy w dusznych, przepełnionych sklepach napawały ją odrazą. Na kupno dla Jurka auta czy motoru potrzebna była zgoda Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Po telewizory stały kilometrowe kolejki, ich obejście wymagało kolejnych zezwoleń, uzyskanych za łapówkę od „pośrednika". Udało się też kupić aparat fotograficzny, adapter, maszynkę do golenia, puchowe chińskie kołdry, kilka butelek koniaku i 10 kg żywności: puszki kawioru, kawy, rodzynki, sery. Mimo obiadów w najdroższych knajpach, jesiotrów i bieług pisarka nie wydała wszystkiego, wróciła skonana.

Jako upokarzający i uciążliwy wspomniał także swój pobyt w Moskwie Jarosław Iwaszkiewicz: „Raczyli mi wypłacić ok. 3 tys. rubli, które trzeba było wydać w 2 dni. Kupiłem futra żonie i córce. Nieprzyjemne takie kupowanie, jakby te pieniądze mi się nie należały" – pisał w 1964. Gdy sześć lat później otrzymał Nagrodę Leninowską, również nie był zadowolony, bo odbierała mu szansę na Nobla, musiał też wydać na miejscu niemałą sumę 25 tys. rubli, a niewykorzystaną resztę przeznaczyć na szczytne cele np. walkę z kolonializmem. Postanowił więc – wspominała jego córka – przepuścić wszystko co do kopiejki. Zabrał ze sobą dwie córki, kierowcę i przyjaciela, Szymona Piotrowskiego, wychowanka Wiesia Kępińskiego, rozpoczynali dzień od kawiorów i koniaków, przepijali ruble i przejadali. Pojechali również w podróż do Leningradu, Carskiego Sioła, Pawłowska. Jej efektem nie była jednak książka o Leningradzie, ale piękny „Petersburg" – o carskiej Rosji i jej wielkich pisarzach: Puszkinie, Błoku, Dostojewskim. ©℗

eprasa.pl ed08a7b740

KLESZCZ



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Kleszcz ma malutką głowę i ogromny odwłok. Najmocniejsze (wciąż jeszcze) światowe Imperium przypomina kleszcza. Opiszę obrazek: mała głowa w kształcie mapy Izraela i wielki odwłok zrobiony z mapy USA. Proporcje wielkości obu państw zachowano, co dodatkowo podkreśla dysproporcję głowy w stosunku do odwłoka.

To bardzo złośliwa karykatura. W sieci jest złośliwości pełno i mnie to nie przeszkadza pod warunkiem, że ktoś złośliwie opisuje prawdę, a nie kłamie.

Dygresja: stanowczo odrzucam karanie ludzi za złośliwe wyrażanie uczuć i opinii, czyli za „mowę nienawiści". Tusk dostał w ręce paragrafy i zamierza je stosować. Będzie wsadzał za złośliwości, bo każdą złośliwość da się podciągnąć pod „mowę nienawiści". A każdą karykaturę da się określić jako „dezinformację", bo przecież Tusk nie ma tak długiego nosa, jak na karykaturach, które pokazują go jako Pinokia. Tusk ocenzuruje, co zechce. Wszyscy jego następcy podobnie, bo narzędzia zostały uchwalone i po wyborach wpadną w kolejne ręce.

Przykład: jestem sobie w stanie wyobrazić sytuację koszmarną, w której siedzę w jednej celi z komunistą Leszkiem Millerem i obaj trafiliśmy tam z tego samego paragrafu, wsadzeni przez tę samą władzę za krytykę polityki wobec Ukrainy. Tak, wiem, Millera nie wsadzą, bo sędziowie będą resortowi. Ale Tusk ma w ręku narzędzia, by wykonać taki scenariusz.

Przed uchwaleniem dowolnego przepisu należy się zawsze zastanowić, jak może zostać użyty w złych intencjach. I warto z góry zakładać, że prędzej czy później władza wykaże się złymi intencjami.

***

Zarówno głowa, jak i odwłok Imperium zapewniają o nierozerwalnym sojuszu. Izrael jest zdecydowanie najważniejszym sojusznikiem USA, choć terytorialnie najmniejszym, i zapewnia o tym Trump oraz zapewniali jego poprzednicy, a nawet przeciwnicy. Fakty to fakty. Ameryka traktuje Izrael jako swojego głównego partnera, sojusz jest nierozerwalny, diaspora żydowska w USA jest mocarna i to do tego stopnia, że niektórzy senatorowie i kongresmeni mają podwójne obywatelstwo. Kilka lat temu to była informacja szokująca – początkowo nie chciało mi się wierzyć, że coś takiego jest prawnie dopuszczalne. Potem sprawdziłem i jest jak jest – można być amerykańskim senatorem z izraelskim paszportem.

W USA okręgi są jednomandatowe i nie ma list partyjnych, czyli to wyborcy w okręgu decydują, a nie miejsce na liście skonstruowanej przez szefa partii. Dlatego w USA mi nie przeszkadza, że senator ma dwa paszporty. Dziwi mnie to, ale nie przeszkadza, irytuję się na wyborców, że im przy urnie nie przyszło do głowy, że senator będzie miał podzieloną lojalność. W pewnych głosowaniach, być może, zagłosuje przeciw interesowi swoich wyborców, bo postawi na lojalność wobec Izraela. No ale skoro został wybrany i wyborcom nie przeszkadzał ten potencjalny problem, to ja zdecydowanie wolę wiedzieć o podwójnym obywatelstwie, niż szukać agentów ukrytych.

Obserwacja: w czasach PRL większość rządzących Polską komunistów to byli Polacy, ale jednocześnie służyli Moskwie. Ten układ nie był ani zdrowy, ani dobry dla Polski. Dla Moskwy był doskonały – oni nas doili jak kleszcz i ostatecznie wydoili nas do kompletnej ruiny. Sekretarz partii Gierek brał zagraniczne kredyty, kupował licencje i linie produkcyjne, Ruscy nas doili, a potem długi płacili Polacy. Czyli nie jest dobrze dla państwa, gdy jego władcy są lojalni wobec innego państwa, bo nawet w sytuacji idealnej, gdy te dwa państwa nie stoją w konflikcie, istnieją między nimi jakieś interesy sprzeczne.

***

Obrazek z kleszczem o małej główce i wielkim odwłoku wydaje się dobrą karykaturą stosunków Izrael-USA. Karykatura oznacza, że pewne elementy są przerysowane, ale ogólnie da się poznać, kto jest kim i jaką rolę pełni odwłok.

Aktualnie, w odstępie tygodnia, przełomowe wybory w obu częściach Imperium. W Izraelu 27 października, w USA 3 listopada. Właśnie państwo obserwują wyniki, a ja – gdy to piszę – jeszcze ich nie znam. Netanjahu walczy o polityczne życie i Trump też.

W USA to są wybory połówkowe, a nie prezydenckie, ale gdyby demokraci przejęli Izbę Reprezentantów i Senat, wówczas Trump straci realną władzę. Jak? Wybory są „połówkowe", dlatego że odbywają się w połowie kadencji prezydenta. Wymienia się wtedy wszystkich członków Izby Reprezentantów i jedną trzecią Senatu.

W tej chwili republikanie mają mikroskopijną, czyli trudną do obrony większość zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie. Jeżeli demokraci przejmą większość, wówczas prezydent będzie miał związane nogi. Nadal może rękami podpisywać dekrety, ale każdy z nich da się potem blokować w Kongresie. Kongres trzyma portmonetkę, a pieniądze z tej portmonetki wydaje prezydent. Wystarczy, że Kongres nie da prezydentowi forsy i wówczas prezydent traci władzę realną – żadnego z jego dekretów nie da się realizować bez pieniędzy. Trump będzie machał rękami i krzyczał, ale kroku nie zrobi.

***

A teraz Izrael: 7 października była rocznica zamachu z 2023 r. i to był najbardziej gorący temat na finiszu kampanii wyborczej. Nie żadna wojna w Iranie, lecz niezagojone rany po zamachu. Opozycja ma wobec Netanjahu zarzuty, że dopuścił do zamachu, że dopuścił do porwania i mordowania zakładników, że dopuścił do gwałcenia izraelskich kobiet przez Palestyńczyków. Hasło „Netanjahu musi odejść" pojawiło się nie dlatego, że on był „rzeźnikiem Gazy", ale dlatego, że nie wyrżnął Hamasu wcześniej, prewencyjnie. Czyli albo władzę utrzyma dotychczasowy „rzeźnik", albo ją straci na rzecz tych, którzy oceniają, że świnię należało zarżnąć wcześniej. ©℗

eprasa.pl ed08a7b740

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~751 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 444 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ed08a7b740



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



LWOWSKA EPOPEJA

„SEMPER FIDELIS" W OGIEŃ ZA POLSKĄ „To właśnie tam padły pierwsze strzały w obronie odradzającej się Polski. Lwów bardzo szybko stał się swego rodzaju wyrzutem sumienia dla tworzących się władz centralnych" – mówi prof. Damian Karol Markowski, autor książki „Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918"

SERCE GALICJI, OSTOJA POLSKOŚCI Status autonomiczny Galicji, z Lwowem jako jej sercem, odegrał niezwykle istotną rolę w przetrwaniu narodu w epoce rozbiorów – pisze Tomasz Stańczyk

ŻĄDZA MAGELLANA „Wyczyn garstki członków ekspedycji Magellana można porównać chyba tylko do powrotu na Ziemię astronautów z Apollo 11 – mówi Roger Crowley, brytyjski pisarz, autor książki „Walka o przyprawy"

MISJA NIEMIECKIEJ KRÓLOWEJ POLSKI Przez całe wieki nasza historiografia wyrażała się o Rychezie niepochlebnie, przypisując jej zdradę. Jednak w końcu nasi historycy zaczęli patrzeć na nią bardziej łaskawym okiem – pisze Leszek Lubicki

ZAGINIONA WARSZAWA PRUSA Pisarz walczył o poprawę życia mieszkańców miasta, w którym umieścił akcję „Lalki" – pochylał się nad losem biednych dzieci i wspierał inicjatywy dobroczynne – podkreśla Tomasz Stańczyk

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ed08a7b740